

KIEDY NIE WIADOMO, CO JEST PRAWDĄ, A CO WYTWOREM
CHOREGO UMYSŁU, ROBI SIĘ NAPRAWDĘ STRASZNIĘ.

ANDRZEJ SYSKA-SZAFRAŃSKI



ZŁODZIEJ, SNOW

NOVAE RES

ANDRZEJ
SYSKA-SZAFRAŃSKI

ZŁODZIEJ
SNÓW



NOVAE RES

Zadzwoił telefon.

- Wiem, kiedy umarłeś - powiedział głos w słuchawce.

- Ale ja przecież żyję - odparłem zdumiony.

- Wszyscy na początku zawsze się dziwią, a później i tak przyznają mi rację.

Strzelające o blaszany parapet potężne krople deszczu za oknem odgrywały symfonię płaczu. „Mówili w telewizji, że będzie świecić piękne słońce, a tu leje od kilku dni bez ustanku” - pomyślałem, snując się od okna do drzwi pokoju jak cieć pilnujący parkingu. Spojrzałem na wiszące tuż nad łóżkiem moje zdjęcie z pierwszej komunii.

- Ależ ja byłem wtedy gruby. Ale co miałem zrobić, jak matka wciskała mi na siłę żarcie do mordy? „Jedz, bo nie urośniesz”, pierdoliła na okrągło. A jak mi już rozepchała tym żarciem kichy i ciągle łąziłem głodny, to później sama wstydziła się zabierać mnie na imprezy rodzinne, bo zjadałem wszystko ze stołu - mówiłem do siebie, obserwując z obrzydzeniem swój portret w zdobionej ramce. - I co, kurwa? Mam sto osiemdziesiąt siedem centymetrów. To po chuj było wciskać mi taki kit, że nie urosnę - zachnąłem się, cały czas patrząc na komunijną fotografię. - I ta aksamitna czarna wstążka zaciśnięta pod grubiotką szyją. Boże, wyglądam tu jak napompowany do granic możliwości odpustowy balon! - Przetarłem dłonią twarz. - Oho! Zaraz jebnie piorunami od Bozi. Czuję, że potężna burza wisi w powietrzu - rzekłem, spoglądając za okno. - W sumie co mnie to interesuje? I tak nie mam na to wpływu. - Przeciągnąłem się leniwie, wyciągając ręce nad głowę, po czym równie niemrawym gestem zgarnąłem ze stołu nabitą tytoniem fajkę. - Ja pierdołę, ale mam kaca po wczorajszym! Nawet nie pamiętam, ile

wychlałem tej wody. Matkę okłamałem rano, bo powiedziałem, że wypilem niecałe pół litra. Widząc, w jakim wróciłem stanie, z pewnością i tak nie uwierzyła - wybełkotałem, wsadzając ustnik między zęby. - Ale fajnie było. Władek jak zawsze robił ludzi w chuja, pokazując numer ze znikającym kciukiem. Po pijaku wszyscy się dają na to nabrać jak dzieci. Udaje, że wyrywa sobie palec, a tak naprawdę sprytnie chowa go wewnątrz dłoni. Albo wyciąga komuś monetę zza ucha. W rzeczywistości trzyma ją cały czas ukrytą między palcami, ale wygląda, jakby naprawdę zgarniał bilon komuś zza małżowiny. Zawsze śmiechu jest co niemiara. - Ostatnią zapalką tkwiącą w wymiętoszonym pudełku podpałem ugniecione liście amfory. Zapach soczystego tytoniu pieścił mój skacowany łeb. - Wiesz co, młody? - Przytknąłem palec do zdjęcia z komunii. - Łażę co dzień do knajpy, by zalewać mordę wodą. Tak, tę samą mordę, którą ty tu się cieszysz jak kretyn z zaciśniętą czarną wstążką wokół szyi. Po co chlam? W zamroczeniu alkoholowym lepiej widzę. Tak, wszystko wydaje się prostsze i bardziej zrozumiałe. Żeby wszyscy chlali, to wszyscy by się rozumieli. A tak? Trzeźwy pijanego nie zrozumie - powiedziałem, zaciągając się dymem z fajki, przeciągając opuszką po zakurzonym szkle, za którym tkwiło zdjęcie. - Ale wiesz co? W sumie ciągle coś nas łączy. Ty se tam wisisz niezmiennie od trzydziestu lat z tą kretyńską aksamitką, uśmiechem przyklepionym do gęby i świeczką w łapie, a ja mam od kilku miesięcy każdy kolejny dzień podobny do poprzedniego. Zamiast siedzieć w pracowni i szyć ludziom ubrania, macham miotłą, czyszcząc bruk z psich gówien w zasadzie tylko po to, by za marne zarobione pieniądze móc chlać wódkę i jarać tytoń. Ciebie oszukiwała matka, że jak nie będziesz jadł, to nie urośniesz, a ja sam siebie oszukuję, że zamiatanie podwórek jest lepsze niż krawiectwo... i wszyscy są zadowoleni. - Kichnąłem trzy razy. - Kurwa, amfora mi się kończy, kac we łbie i jeszcze ten jebany deszcz. Zaraz jebnie z nieba - wymamrotałem pod nosem, krzątając się po pokoju. Zaciągnąłem się. - Jeb! Mówiłem że jebnie - zareagowałem na widok błyskawicy i potężnego huku za oknem, wypuszczając chmurę dymu. Ponownie spojrzałem na komunijne zdjęcie. - Pewnie teraz jak tak

patrzysz na mnie z tego portretu, to kiwasz głową z politowaniem, nie wierząc, że mogłeś się tak stoczyć. Tak, chlam, ale nic ci do tego. Chlam za swoje. - Z dymiącą fajką w ustach poszedłem do kuchni, by zaparzyć sobie kolejną dziś kawę. Spojrzałem na zegarek stojący na lodówce. Jedenasta minut osiem. - Mamo, kawa się skończyła! - krzyknąłem. Cisza. - Mamo, słyszysz? - Bez odpowiedzi. - Jesteś? - Poszedłem do salonu, zajrzałem do jej pokoju, nawet zerknąłem do łazienki. Matki nie było. - Gdzie ona poszła? I to w dodatku w taką ulewę - westchnąłem. Ruszyłem ponownie do salonu. Strzelający w fajce tytoń z każdym pociągnięciem powoli dokańczał żywota. „Za oknem jebie błyskawicami i jeszcze ten pierdolony brak kawy. Same nieszczęścia” - pomyślałem, obserwując wpadające do mieszkania białe światło piorunów. Zerknąłem do wnętrza fajki. Prawie nie żarzyła. Zgasła. Postukując nią o kryształową popielniczkę, nie zwracałem uwagi na wypadające spopielone drobiny liści. Spoglądałem na ściany salonu obwieszane starymi obrazami, szafki z bibelotami, antyki i regały z mnóstwem książek. - Jak tej mojej matce chciało się to wszystko ściągać do domu? I po co to komu? Gromadzi te duperele jak chomik żarcie w pysku. - Pokręciłem głową z pogardą.

Moja matka uwielbia przechowywać pamiątki z przeszłości, a każdy przedmiot z jej kolekcji ma ponoć własną duszę. Ona tak twierdzi. Ja tego nie czuję. Ja zupełnie nie pasuję na jej syna, a tym bardziej do tej rodziny z tak zwanymi tradycjami. Ledwo zdałem maturę, zostałem krawcem, tak, krawcem zamiast muzykiem, jak pragnęła tego matka. Do tego pijakiem. Nie mam potomka, który dumnie reprezentowałby nasz ród. Żona Alicja, którą naprawdę mocno kochałem, odeszła ode mnie dwa lata po ślubie. Dała się uwieść jakiemuś kutasowi. Lekarzynie. Zasranemu okuliście czy interniście... Durne babsko. Z dnia na dzień zmieniła się z kochającej żony w zimną lodową bryłę. Dlaczego skusiła się na tamtego? Tego do dziś nie wiem. Nagle zapragnęła zamienić krawca na lekarza? Trudno. Było, minęło. Żony nie potrafiłem przy sobie utrzymać, ale chuj z tym. Mimo wszystko trzeba przyznać, że jedno potrafiłem doskonale w życiu robić: szyć ludziom ubrania.

- Oho! Zaraz znowu jebnie z nieba - powiedziałem, patrząc przez okno. Huk. Błysk. - A nie mówiłem? - Usiadłem w ulubionym fotelu matki. Ponownie westchnąłem. - Pamiętam, jak czasem wkurwiałem Alę - zaśmiałem się pod nosem. - Powiedziałem jej kiedyś, że chętnie bym wszedł goły na Mount Everest. Nawet nie nago, lecz w gustownej muszce pod szyją. Albo innym razem poważnie oświadczyłem, że uszyję marynarki wszystkim psom w okolicy. Na moje słowa zareagowała stukaniem palcem w czoło. Lubiła natomiast, gdy opowiadałem jej historie zasłyszane od moich klientów, którzy często mi się zwierzali. Krawiec to prawie jak ksiądz, tyle że tu nie obowiązuje tajemnica spowiedzi. To, czego się nasłuchiwałem przez te ostatnie lata, mogłoby posłużyć do napisania niezłej powieści erotyczno-kryminalnej. Nie ukrywam, że od zawsze rozmowy z ludźmi sprawiają mi radość. Potrafię też ocenić emocje człowieka na podstawie choćby jednego jego gestu, ruchu brwi czy niedopowiedzianego zdania. Taka amatorska psychozabawa.

Moją chwilę wspomnień przerwało pukanie do drzwi.

- Kto tam? - krzyknąłem.

- Sąsiadka.

Poszedłem do przedpokoju, przekręciłem zamek. Na wycieraczkę stała pani Celina.

- Macie prąd? - zapytała, rozglądając się po przedpokoju za moimi plecami.

- Jaki prąd?

- No prąd, światło w sensie.

- No światło jest - oznajmiłem, pstrykając przyciskiem w ścianie.

- Myślałam, że wyłączyli w całej kamienicy. U mnie chyba przez tę burzę korki wywaliło. Bary tak się wystraszył tych grzmotów, że mi się zesrał na dywan. Ta psina zawsze boi się burzy. Siedzi zwinięty w kłębek pod fotelem i skamle.

- Biedny Bary - skwitowałem.

Sąsiadka bezradnie pokiwała głową.

- Szczerze mówiąc, to jest u mnie prąd, tylko burzy się boję. Mojego

starego nie ma. Jak zwykle robi fuchę na mieście – oświadczyła Celinka, uważnie mi się przyglądając. – A co pan taki blady, panie Frycku?

Odruchowo spojrzałem do lustra wiszącego tuż obok przy drzwiach. Przetarłem dłonią twarz.

– Nie, może światło takie blade. Mam też niemałego kaca. Pochlałem wczoraj ostro.

Celcia ponownie pokiwała głową.

– Jak się pani boi burzy, to proszę dalej do środka, przeczekamy to razem. – W końcu dotarło do mnie, po co tak naprawdę przyszła. Poszliśmy do salonu.

– Dziękuję, panie Frycku. Wali z nieba niemiłosiernie. Jak byłem mała, to mnie mama straszyła, że jak będę niegrzeczna, to przyjdzie do naszego domu burza i mnie przepyta z tabliczki mnożenia. Do dziś świetnie znam tę cholerną wyliczankę na pamięć. W nocy o północy wstanę i powiem całą bez zająknięcia. I po co to komu?

– Mnie matka straszyła, że jak nie będę jadł, to nie urosnę. I co? – oznajmiłem z delikatnym uśmiechem.

– Widzę, że nie ma Marysi – oceniła sytuację Celina, zapuszczając wzrok w przestrzeń mieszkania.

– No, sam jestem. Mama jak zwykle gdzieś łązi. O, znowu pierdolnęło. Wali dziś naprawdę ostro. Nie wiem, czy wzięła parasol. Chociaż w taką burzę to parasol na nic się zda. Wietrzysko połamie go w drobny mak.

Sąsiadka nie zareagowała na moje słowa. Patrzyła w dywan pod stopami.

– Ale widzę, że coś panią gryzie.

– E tam, wszystko u mnie w porządku, tylko tym moim starym psiakiem się przejmuję.

Czuję, że jest coś jeszcze. Wiem, kiedy coś komuś leży na sercu.

– A, i córka ma problemy z nerkami. Wszystko się na łeb sypie. – Machnęła z rezygnacją pulchną dłonią.

– Wiedziałem, że coś więcej panią trapi, ja się znam na ludziach. Tylko, cholera, tej mojej matki nigdy nie mogę rozgryźć, niech mi pani

wierzy. Ona ma w sobie coś takiego, co nie pozwala przeniknąć do jej wnętrza. Jakby duszę z betonu miała.

- Fakt, Marysia ma swój zamknięty świat. Nawet rzadko się uśmiecha - oznajmiła Celina, zasiadając na kanapie.

- Rzadko?! Ona w ogóle się nie uśmiecha. Zachowuje się, jakby miała paraliż mięśni odpowiedzialnych za mimikę. Zna pani moją matkę od urodzenia. Wychowywałyście się na tym podwórku. Zawsze taka była?

Celina zastygła w zadumie.

- Nie zawsze, panie Fryderyku. Nie zawsze. Ale... - nagle urwała, wlepiając wzrok w podłogę.

- Ale co? - zapytałem wyraźnie zaciekawiony.

- Nieważne. Ooo, znowu zagrzmiało - próbowała zmienić temat.

Przez chwilę wsłuchiwaaliśmy się w milczeniu w burzę za oknem.

- Powiem pani, że swego czasu uratowałem człowieka - oznajmiłem w przerwie między kolejnymi uderzeniami pioruna.

- Tak? - zapytała wyrwana z zamyślenia.

- Tak. Moja intuicja co do ludzkich myśli się sprawdziła. Pamiętam, to było jakieś siedem lat temu. Stałem w długiej kolejce w sklepie po chleb. Coś mnie tknęło i poczułem, że za chwilę wydarzy się jakieś nieszczęście. Przede mną sterczał jakiś mężczyzna. Zwykły gość, pod wąsem i w niemodnej kamizelce na grzbiecie. W pewnym momencie, kiedy zbliżaliśmy się do lady po tym cholernie długim wyczekiwaniu na zakup pieczywa, nagle facet wyszedł z piekarni.

- Idiota? - zapytała wyraźnie zaciekawiona Celina.

- Niech pani słucha. Wydawało mi się to bardzo podejrzane. Tyle czekania, chleb w zasięgu ręki, a on wyłazi? Też mi się w pierwszym odruchu wydawało, że facet stuknięty, ale na tyle mnie to jego nagłe wyjście zainteresowało, że połażem za nim. Również zrezygnowałem z zakupu chleba. - Widziałem, że sąsiadka z niedowierzaniem pokręciła głową. - Facet błąkał się kilkanaście minut po ulicach miasta, aż dotarł nad staw w parku. Ukrył się w przybrzeżnych zaroślach, tam, gdzie rośnie taka stara wierzba i są chaszczce, no wie pani. Po chwili wyszedł z nich z dużym kamieniem przywiązany do szyi. Szykował się do skoku

do wody, kretyn samobójca jeden pierdolony. Dobiegłem do niego w ostatniej chwili i zerwałem ten kamsztor ze łba. Miałem czuja, co?

- Rzeczywiście miał pan nosa.

- W zasadzie powinienem zostać psychologiem, a nie krawcem - zaśmiałem się.

- Ale przecież lubi pan swój fach. Krawiec to piękny zawód.

- Zawód dla mnie doskonały, jednak sama pani wie, jak to jest. Zresztą zna pani moją rodzinę nie od dziś. Na tle muzyków, artystów malarzy, lekarzy, bankierów, których szeregi zapełniali członkowie mojej licznej rodziny, byłem i z pewnością nadal jestem nieudacznikiem, który szyje ludziom gacie na miarę - oznajmiłem z goryczą w głosie.

- Co też pan opowiada za głupoty. Ręka się panu już zagoiła po tym złamaniu, więc do szycia, panie Frycku.

- Ręka jest sprawna, ale chyba straciłem serce do krawiectwa.

- Tego nie można stracić. Pan ma talent i to coś, co pozwala być dobrym krawcem. Tak jak być księdzem. Nie da się być dobrym księdzem bez powołania, tak samo jest z krawcem. A pan właśnie to coś ma. Szył mi pan kilka kiecek, to wiem, co mówię.

- Bardzo pani miła, ale wolę teraz sprzątać podwórka. Zrobię, co mam zrobić i idę pić wodę albo spać - oznajmiłem, krzątając się po pokoju i zaglądając w różne zakamarki. Za oknem burza jakby powoli oddalała się znad miasta. Krocząc po pokoju i leżącym na podłodze grubo plecionym wzorzystym dywanie, muskałem grzbiety równo poukładanych książek, uchyliłem wieko pozytywki, która wydała z siebie dźwięk muzyki Fryderyka Chopina (na którego cześć matka dała mi imię), przyglądałem się bacznie Piłsudskiemu spoglądającemu na mnie groźnym wzrokiem z portretu wiszącego na ścianie obok błyszczącej szabli. - Podobają się pani te rzeczy?

- Ja się na tym nie znam. Ja prosta baba jestem. Ale rzeczy ładne. Chyba burza ustaje. Idę, panie Frycku. Może już mój stary wrócił i będzie mnie szukał. Zobaczę, co z tym moim psem. Dziękuję za przechowanie. - Jej ostatnie zdanie zabrzmiało jak wyznanie starej walizki w dworcowej przechowalni. - Zaraz muszę z tym moim psiną wyjść na spacer, żeby się

załatwił. Mam nadzieję, że wszystkiego nie wysrał na dywan ze strachu – oświadczyła Celinka, po czym skierowała się w stronę drzwi.

Po wyjściu sąsiadki nadal leniwie, próbując zabić nudę, krzątałem się po pokoju i oglądałem bezcenne zbiory mojej matki. W czasie penetracji regału dłonią i wzrokiem natknąłem się na małą szkatułkę obitą czerwonym aksamitem. Włożyłem fajkę do ust i sięgnąłem po to pudełko. Obejrzałem je z każdej strony i zauważyłem, że aby się dostać do środka, należy użyć kluczyka. Rozejrzałem się wokół miejsca, w którym stała szkatułka, jednak nigdzie kluczyka nie było. To puzderko zawsze tu stało, odkąd pamiętam, jednak nigdy nie czułem potrzeby, aby do niego zajrzeć. Poza tym to przedmiot należący do mojej matki, a ona nie lubi, gdy bez pozwolenia rusza się jej rzeczy. „Ciekawość wzięła jednak górę, a poza tym z nudów człowiek jest w stanie zrobić nawet coś, czego mu nie wolno” – pomyślałem, a lekki uśmiech zawitał na mej twarzy.

- Już jestem. Ależ była ogromna burza. Obrabiłeś ziemniaki na obiad? - Z zamyślenia wyrwał mnie dochodzący z przedpokoju głos matki.

- Nie. Nie mówiłaś, żebym obrał - odpowiedziałem, zagryzając mocniej fajkę, by nie wypadła mi z ust pod nogi. - Gdzie ty łazisz w taką burzę? - zapytałem, odstawiając pośpiesznie małe aksamitne pudełeczko tam, skąd je wzięłem.

- Ktoś musi zrobić zakupy. Poza tym mógłbyś czasem się domyślić i obrać ziemniaki, jak mnie nie ma - oznajmiła. Weszła do kuchni. Słyszałem, jak kładzie siatki na stole.

- Kupiłaś kawę? Skończyła się - krzyknąłem w przestrzeń mieszkania.

- Kupiłam. Zawsze wszystko kupuję - odparła z obojętnością w głosie.

- Tytoń mi się skończył - powiedziałem, przygryzając dolną wargę, marszcząc czoło i lekko zaciskając oczy. To było bezczelne stwierdzenie z mojej strony. Ona naprawdę zawsze wszystko kupuje, ja nie dokładam nawet złotówki na nasze utrzymanie i jeszcze upominam się o tytoń. Zrobiło mi się wstyd. W bezruchu wyczekałem kilka chwil na komentarz matki, jednak na szczęście moje stwierdzenie pozostawiła bez echa.

Wzruszyłem ramionami.

- Dawno nie było takiej burzy. - Usłyszałem narzekanie mojej Duńci (tak nazywam matkę), jaka bezszelestnie weszła do pokoju, na którego środku tkwiłem jak słup soli. Ujrzałem jej bezduszny wzrok.

- Leje już chyba czwarty dzień, ale faktycznie dziś dawało mocno - oznajmiłem.

Matka usiadła w swoim ulubionym skórzanym fotelu, przy którego boku dumnie tkwiła wyrastająca z podłogi staromodna lampka nocna z wzorzystym abażurem i kieszonką na gazety u podstawy.

- Mówisz, tytoń ci się skończył. - Zaplotła ręce pod piersią.

Nie powiedziałem ani słowa. Chwila ciszy.

- Spotkałam po drodze Celinę z tym jej psem. Mówiła, że była u nas i razem przeczekaliście burzę.

- Tak, powiedziała, że burza ją przepęta z tabliczki mnożenia - oznajmiłem, śmiejąc się w głos.

Matka spojrzała na mnie wymownie.

- Strasznie wyliniał ten jej pies i okropnie śmierdzi. Chyba niedługo zdechnie - rzuciła, a ostatnie zdanie zabrzmiało jak słowa wężatego hycła. Słowa niegodne jej ust. Moja matka zawsze starannie dobiera słowa, więc tym bardziej odczułem zdziwienie po jej gburowatym stwierdzeniu. Może mieszkanie ze mną odbija się na niej negatywnie ostatnimi czasy? Może powoli zaciera się u niej granica między dobrym wychowaniem a moim prostactwem, jakim ją bombarduję przez ostatnie pół roku? Nie wiem i z pewnością ona mi nigdy wprost nie powie, że jestem chamem spod budki z piwem.

Tak jak zgodnie stwierdziliśmy z Celiną - moja matka ma swój świat, do którego ciężko jest się przebić. Już sam nie wiem, jaka ona właściwie jest. Odkąd pamiętam, zawsze nosiła w sobie niepokojący element tajemniczości. Gdy byłem dzieckiem, ta jej zagadkowość nie wzbudzała we mnie zdziwienia, ale później, gdy dorastałem i coraz bardziej rozumiałem świat, zaczęło mnie to jej zachowanie zastanawiać i nawet drażnić. Nigdy nie wiem, o czym myśli, czego potrzebuje, co zamierza. Jestem jej całkowitym przeciwieństwem. Ona nawet oczy ma puste. Oczy

zawsze zdradzają myśli człowieka, lecz nie jej – jej niebieskie ślepie są zawsze takie same. Bez wyrazu, milczące, zgasłe, przezroczyście, za którymi jest otchłań. Może to oczy wyczekujące? Nie wiem.

Gdy tak teraz siedzi w swoim fotelu wpatrzona we mnie, próbuję odgadnąć jej myśli. Może ma ochotę o czymś ze mną porozmawiać? Może o coś zapytać? Z pustą fajką w dłoni cały czas patrzyłem w jej błękitne źrenice, które niewątpliwie są piękne, ale co z tego? Bez wyrazu, bez treści, bez przyszłości i nawet bez terażniejszości. Jeszcze nigdy nie spotkałem w swoim życiu tak skomplikowanej osoby jak moja rodzicielka. Od chwili gdy byłem zmuszony z nią zamieszkać po rozstaniu z żoną, w naszych relacjach bywało różnie. Czasem częściej, czasem rzadziej, ale zbierało nam się na pogaduchy. Teraz prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiamy ot tak, a jeśli już, to o tym, co bym zjadł na obiad, że trzeba wymienić żarówkę w pokoju, że zimno na dworze. Raz zapytała, ile kilometrów jest z Kielc do Szczawnicy. Tyle. Jeszcze gorzej jest, odkąd zacząłem chlać wóde. Prawie w ogóle nie rozmawiamy. Jedno, co nas łączy, to kawa, którą parzy dla mnie każdego ranka. W sumie jej się nie dziwię. O czym można porozmawiać z wiecznie pijanym albo skacowanym synem?

Wiem, że ma do mnie ogromny żal za moją przeszłość i terażniejszość, za niespełnione pokładane we mnie oczekiwania zawodowe. Niewątpliwie to wszystko, co mnie tyczy, jest skazą na jej wizerunku i honorze. Matka ceniona skrzypaczka, a syn krawiec. Ojciec bankowiec, a syn krawiec, a teraz podwórkowy sprzętacz psych gówien i w dodatku pijak.

- O czym tak zawzięcie myślisz, synu?

W jednej chwili otrząsnąłem się z zadumy.

- O Barym – zełgałem. – Pani Celina też się o niego martwi. Stary już jest. Podobno ze strachu zesrał się jej w mieszkaniu w czasie tej burzy – oznajmiłem, stukając fajką w wewnętrzną część dłoni.

- Tak. Zesrał się w mieszkaniu, powiadasz? Boi się burzy, to i popuścił – powiedziała, przeciągając dłonią po oparciu fotela.

Chwilę milczeliśmy. Patrzyła na mnie, ja krzątałem się po pokoju.

- Pamiętam, mamó, jak dwanaście lat temu Bary przyszedł pod ich drzwi. Tak prosto z ulicy, przybłąda jeden. Sam sobie wybrał to mieszkanie. Ciekawe, czym się kierują psy przy doborze właścicieli.

- To chyba odwrotnie, synku?

- E tam. Psy potrafią doskonale wyczuć przyszłego właściciela i intuicyjnie do niego lgną.

- Być może jest jak mówisz, synku. Ja się na psach nie znam. Ten po prostu wszedł do pierwszej lepszej kamienicy, stanął przy przypadkowych drzwiach, piszczał niemiłosiernie, więc Celina go przygarnęła - rzekła matka, odganiając dłonią zabłąkaną muchę sprzed nosa.

- Może i masz rację. Ale przyznaj, wierna im jest ta psina do dziś - powiedziałem.

- On nie jest rasowy. Taki nijaki i śmierdzi. W moim domu przed wojną też był pies, labrador - oznajmiła, pocierając palcem wskazującym o opuszek kciuka prawej dłoni, jakby strzepywała niewidzialny kurz.

- Nie rasowy, ale jakie to ma znaczenie? Ten Bary to miły psiacek. Mnie się nawet wydaje, że te zwykłe kundle są o wiele mądrzejsze od rasowych kanapowców.

- Rzeczywiście, może to nie ma znaczenia, ale chyba naprawdę niedługo ten Bary zdechnie - odparła, głaszcząc lekko posiwiałe włosy. Zawsze głaszcze wszystko, co ma pod ręką, by sprawdzić, czy jest pokryte kurzem. Widać włosy również.

- Psy też muszą czasem zdechnąć. To nie koty, które mają w zapasie kilka żyć. Pamiętasz, mamó, naszą suczkę Diankę? To też był zwykły kundel. Znaleźliśmy ją gdzieś na spacerze w lesie. Uwziąłem się, żeby ją przygarnąć. Protestowałaś, ale zacząłem potwornie płakać i nie mieliście z ojcem wyjścia. Ile miałem wtedy lat? Pięć, a może sześć? Zaraz po tym ojciec odszedł od nas. - Spojrzałem na matkę. Nawet jej powieka nie drgnęła. - Jak to było dawno, a wydaje się, że wczoraj. Wtedy bardzo chciałem mieć psa. Kochana, wierna Dianka. To był chyba najwierniejszy pies, jakiego w życiu widziałem. Szkoda, że gdzieś zaginęła. Płakałem po niej chyba z tydzień. Pamiętasz?

- Nie zaginęła, synku.
- Jak to?!
- Byłeś mały i baliśmy się z ojcem, że tego nie zrozumiesz.
- Czego?
- My ją wywieźliśmy daleko od domu na jakąś wieś. Miałam jej serdecznie dosyć.
- Dlaczego?!
- Strasznie jej sierść wyłaziła.
- Co ty mówisz?! - krzyknąłem.
- Tak, synku. Ja lubię zwierzęta, ale nie takie, po których trzeba na okrągło sprzątać.

Po słowach matki stałem nieruchomo, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Zatkąło mi krtań bardziej niż po tym, gdy pierwszy raz potajemnie zapaliłem w krzakach papierosa. Zwróciłem twarz w kierunku okna i ponownie zacząłem bezmyślnie wpatrywać się w spadające na parapet krople poburzowego deszczu.

- Przykro mi, synku, ale tego już nie wrócimy. Naprawdę uznaliśmy wtedy z ojcem, że tak będzie lepiej. Nie chcieliśmy ci sprawiać przykrości, więc powiedzieliśmy, że się gdzieś zgubiła. Miałam dosyć tego ciągłego sprzątania po niej, a na sprzątaczkę nie mogliśmy sobie z różnych względów pozwolić.

Krople deszczu spływały po szybie jak łzy. Nie mogłem uwierzyć w to, co usłyszałem. Czułem w sobie potworną złość i bezradność.

- Wiesz co? Mam ochotę na spacer - oznajmiłem po chwili.
- W taką pogodę chce ci się łązić? Jeszcze pada deszcz.
- To nic. Wezmę parasol - oświadczyłem, po czym zabrawszy go z wieszaka przy drzwiach, wyszedłem.

Ulice topiły się w kałużach. Studzienki kanalizacyjne nie nadążały z łykaniem napływającej wciąż wody. Leniwym krokiem szedłem przed siebie, zatapiając stopy po kostki w deszczówce. Wokół mnie panowała pustka. Od czasu do czasu przejechał samochód, z dala widziałem jakąś postać przeskakującą przez kałużę nagromadzoną w dziurawym chodniku, ktoś inny szedł spokojnie z udającą parasol gazetą na głowie,

w oddali przebiegł beżpański pies, poszczekując bez powodu.

„Ciekawe, dlaczego w czasie deszczu nie fruują ptaki” – pomyślałem, patrząc na skraplające się niebo. W czasie deszczowego spaceru zastanawiałem się, czemu matka do tej pory kryła przede mną to, że świadomie, w tajemnicy, pozbyli się mego ukochanego psa. Czy rzeczywiście nie zasługiwałem, żeby mi powiedzieć prawdę? Może myślała, że jestem za głupi, by to zrozumieć? Ja jako dziecko naprawdę dużo rozumiałem z otaczającej mnie rzeczywistości. Co to za powód, by się pozbyć żywego stworzenia? Że sierść mu wyłazi? To tak, jakby wyrzucić z domu męża tylko dlatego, że łysieje i zostawia włosy na poduszce. Ale jakie ma to teraz znaczenie? Gdzie są, do cholery, te ptaki? Wszystkie boją się deszczu? Nawet jeden zabłąkany gołąb nie przefrunął. Puste niebo, pusto w głowie. W zasadzie co mnie obchodzi, że ptaki chowają się przed deszczem? Mają swój ptasi rozum, który każe im się chować, więc się chowają. Każdy ma problemy na miarę swej świadomości. Ciekawe, czy Bóg zsyła na ziemię deszcz po to, by krocący w jego strugach ludzie mogli zmyć swoje największe grzechy. Przyjmując, że tak jest, po cóż mi parasol? Mam trochę na sumieniu.

Złożyłem czarną umbrelkę, przemierzając dalszą drogę w leżącej się na mą głowę oczyszczającej sumienie wodzie. Pogwizdując, stąpałem mocno po kałużach, rozbryzgując je na wszystkie strony. Byłem mokry od stóp do głowy. Poczułem w sobie dziecięcą świeżość ducha, pokonując kolejne ulice miasta. „Tak, potrzebuję oczyszczenia, ale chyba zacznę od jutra” – pomyślałem, przechodząc obok mojej ulubionej knajpy Czardasz, w której wczoraj tak mocno pochlałem. Od kilku miesięcy jestem tu stałym bywalcem. Odruchowo sięgnąłem do kieszeni, z dna wygrzebuując jakieś zabłąkane drobniaki.

– Nawet na piwo nie wystarczy, ale to nic – powiedziałem do siebie, przekraczając próg tej speluny, w której póki co moje szczęście liczę w litrach wypitej wódki. W jedną chwilę przestało mnie interesować, dlaczego ptaki nie fruują w czasie deszczu i czy Bóg celowo skrapia ludzi wodą z nieba, by oczyścić ich nieczyste sumienia.

W Czardaszce (tak ją nazywam) poza ucieszeniem oka oryginalnym

wystrojem wnętrza na węgierską nutę zawsze można liczyć na dobre towarzystwo do kieliszka. W tej knajpie nie spotkam nikogo, kto będzie mnie pytał, czy jestem lekarzem, czy podwórkowym sprzątaczem psich górien. Można tu przyjść również bez grosza przy duszy, a człowiek wyjdzie zawsze najedzony, upity i nikt mu tego nigdy nie wypomni. W progu oczywiście przywitała mnie gromkim krzykiem grupa kumpli, również stałych bywalców tej speluny, przesiąkniętej smrodem wody, potem i dymem z papierosów. Po twarzach znajomków było widać, że ich organizmy wsączyły już spore dawki alkoholu. Spojrzałem na zegarek na nadgarstku. Wskazówki pokazywały czternastą minut trzydzieści dwie. Przeszedłem między zapełnionymi stolikami, jednak dla mnie znalazło się miejsce - jak przy wigilijnym stole dla zbłąkanego wędrowca, którym rzeczywiście się dziś poczułem. Tak, czułem się samotnym zbłąkanym wędrowcem ze swoimi myślami ukrytymi w tobołku zawieszonym na spróchniałym patyku zarzuconym na plecy.

- Witamy naszego Paneczka Fryculę - krzyknął Tomek, kumpel z podstawówki, podnosząc jednocześnie okazałych rozmiarów kufel z piwem.

W ułamku chwili trzymałem w dłoni powitalny kieliszek wódki. Znajomi nazywają mnie Paneczkiem Fryculą. Ksywę tę przypięto mi jeszcze, gdy byłem dzieckiem. Nazwał mnie tak kiedyś jeden z rodziców któregoś z moich kolegów i tak już się przyjęło. W latach dzieciństwa i okresu młodości panowały w moim rodzinnym domu zasady, które z pewnością były zgoła odmienne od powszechnie panujących w domach moich kolegów. Zawsze musiałem być czysto ubrany, używać nienagannego języka, uczyć się gry na skrzypcach i chadzać na lekcje francuskiego. Z tego wszystkiego pozostała mi jedynie umiejętność grania na skrzypcach. Nie jestem wirtuozem, ale jak trzeba, to jeszcze potrafię niezłe pociągnąć smykami po strunach. Matka dbała o to, by mimo podłych powojennych czasów zachować mocno zakorzenione w mojej rodzinie tradycje. Jednak przez te cholerne zasady nigdy nie mogłem grać w kapsle z kumplami, chodzić po dachach okolicznych kamienic, kraść orzechów z pobliskiego sadu państwa Rogackich,

wchodzić na drzewa, nawet stłuc kolana, grając w piłkę, nie mogłem. Nie mogłem robić nic, co na co dzień robili moi kumple, bo to by zepsuło wizerunek mojej rodziny, mój, a zwłaszcza mojej mamy.

„Teraz mogę wszystko” – pomyślałem, wlewając w gardło zawartość kieliszka. Czułem, jak mocno procentowy płyn starannie sterylizuje od wewnątrz moje brudne moralnie ciało, rozgrzeszając ze wszystkich niespełnionych uczynków z długiej listy przykazań i zasad mojej matki. Boski deszcz mi niepotrzebny.

- Mam to wszystko w dupie! – krzyknąłem.

- Co masz w dupie? – zapytał Tomek.

- Nieważne. Jeszcze jedną kolejeczkę poproszę, jeśli można.

- Na zdrowie! Bo zdrowie jest najważniejsze! – krzyknął Grześ, nowy kolega, który zasiliał nasze towarzystwo dopiero od tygodnia.

Po wypiciu czterech powitalnych toastów w końcu poczułem lekkość na duszy. Uwielbiam tę rozkosz upojenia.

- Niestety dziś nie możecie na mnie liczyć. Nie wziąłem zbyt dużo pieniędzy. Jakieś marne drobniaki. Nawet na jedno piwo nie wystarczy – oznajmiłem, wysypując na stół kilka monet wyciągniętych z kieszeni spodni.

- Nawet o tym nie myśl! – krzyknął Tomasz, grożąc mi w powietrzu wychudzonym palcem.

- Moi drodzy, ja już kolejny raz w tym miesiącu piję na wasz koszt, ale w piątek dostanę wypłatę, to się zrewanżuję. Obiecuję – odparłem, złapawszy równowagę na mocno wysłużonym krześle.

- To ja jestem ci winny kilka kolejek przez cały tydzień, a nawet miesiąc – wybełkotał Tomasz, podnosząc kufel z piwskim na wysokość oczu.

- Co masz na myśli, drogi przyjacielu? – zapytałem, naprawdę mocno zdziwiony jego stwierdzeniem. Czułem, jak mrówki ubrane w granatowe kubraczki zaczynają krążyć w moich żyłach. – Chyba za dużo wypiełeś i bredzisz, bo to właśnie ty mi stawiałeś ostatnio najwięcej kolejek – stwierdziłem, sięgając po kolejny kieliszek wódki, uzupełniany przez siedzącego obok mnie Mirka, byłego milicjanta.

- On wie, co mówi - odezwała się Teresa, żona Tomka, której oczy z powodu mocnego upojenia nie mogły znaleźć konkretnego punktu zaczepienia w przestrzeni Czardaszki, nie mówiąc o skupieniu wzroku na naszych twarzach. Chlała wodę od dzieciństwa i jak znam Teresę, nigdy już nie grozi jej zerwanie z nałogiem. Nawet nie wiem, czy Teri - tak ją nazywamy - w ogóle pamięta, jak wygląda świat na trzeźwo.

- Przedwczoraj, jak tu chlaliśmy, powiedziałem ci, że zgubiłem portfel z pieniędzmi. Sporo tego było. Ten jedyny grosz mi gdzieś wpierdoliło na amen - oświadczył Tomasz bardzo poważnym głosem.

- No i? - zapytałem od niechcena.

- No i jak wczoraj tu piliśmy, powiedziałaś, że ci się śniłem ostatniej nocy. - Na te słowa gromki śmiech kumpli rozległ się po całej knajpie.

- To wy się kochacie? Kiedy ślub? - zapytał rozbawiony stwierdzeniem Tomka Piotrek, kolejny kumpel w naszym towarzystwie, człowiek o bardzo wyłupiastych oczach.

- Zakochana para, Tomuś i Frycula! - zaczęli kpić z nas współbiesiadnicy, wydając z siebie potężne salwy śmiechu.

- Zdrowie panów młodych! - krzyknął Grześ, podnosząc do toastu kieliszek z wódką.

Wszyscy w jednym czasie unieśli naczynia wypełnione alkoholem, po czym ich zawartość włąli w swe spragnione mocnych procentów gardła. Nie ukrywam, ja również wziąłem udział w tym niezbyt wyszukany toaście na mą cześć, ale raczej z chęci upicia się niż potraktowania tematu miłości do kumpla na poważnie. Mrówki w kubraczkach coraz szybciej zapierdalały w moich żyłach. Poczułem gorąco na twarzy.

- Mów, o co ci chodzi, bo dziś nie usnę i mi się nie przyśnisz! - krzyknąłem z uśmiechem na gębie, próbując przebić się przez ogólnie panujący knajpiany gwar. Wszyscy zaczęli się śmiać jeszcze głośniejsze.

- Cicho! Kurwa, cicho, bo się wkurwię! - krzyknął Tomasz, uderzając pięścią w stół. Nagle wszyscy zamilkli. Zrobiło się naprawdę cicho w całej knajpie. Nawet moje mrówki na chwilę przystanąły z wrażenia. - Dwa dni temu zgubiłem kasę - kontynuował.

- To mówiłeś, ale co ja mam z tym wspólnego?

- Wczoraj powiedziałaś, że ci się śniło, że widzisz, jak przechodzę przez przedpokój w swoim mieszkaniu, a z tylnej kieszeni spodni wypada mi portfel i ląduje między ścianą a szafką na buty.

- I co? Był tam? - zacząłem się śmiać.

Po moim pytaniu Tomasz przybrał groźny wyraz twarzy i sięgnął po kolejny łyk piwa, zapijając go kieliszkiem wódki. Chrząknął, zmarszczył brwi i przetaił przepoconą dłonią twarz. Wyciągnął z paczki carmena. Zapalił. Chmurę dymu posłał w kierunku sufitu. Wszyscy przy naszym stoliku w milczeniu obserwowali każdy jego ruch.

- A żebyś wiedział, że tam był. Wstałem dzisiaj rano i z ciekawości zajrzałem między szafkę a ścianę. I kurwa, leżał tam ten pierdolony portfel z pieniędzmi!

- Co ty pierdolisz, stary? To zwykły zbieg okoliczności - oznajmiłem, wypijając następny kieliszek wódki.

Tomasz wlał w siebie kolejną dawkę alkoholu, potrząsnął głową i ponownie zaciągnął się dymem z papierosa. Widziałem, że próbuje zebrać myśli, by kontynuować swą opowieść, jednak po wciągnięciu do płuc sporej dawki nikotyny zaczął potwornie kasłać.

- A może to nie przypadek z tym snem? - wtrącił się do rozmowy Grzesiek. - Znałem kiedyś taką kobietę, która potrafiła świetnie odczytać ludzkie myśli. Zupełnie jakby wkradała się do ich głów - kontynuował. - To była moja sąsiadka z podwórka. Niby zwykła kobieta, niczym szczególnym się nie wyróżniała. Pracowała w pralni, miała męża, troje dzieci, do roboty jeździła zawsze autobusem, robiła zakupy w Samie. Ale cipa jedna, nie wiadomo skąd zawsze o wszystkich wszystko wiedziała. Tak, jakby siedziała w twojej głowie. Stale jak rozmawiała z moją matką, to jej mówiła, co się aktualnie dzieje w naszym domu.

- Może was podglądała? Pełno takich ciekawskich bab dookoła - stwierdziłem z kpiącym uśmiechem.

- Nie. Ona wiedziała o sprawach, o których nie mogła naprawdę wiedzieć.

- Wścibskie sąsiadki o wszystkim wiedzą - wydukał Tomasz, ciągle pokasłując.

- Ona była inna. Mówię wam, przeświałała człowieka na wylot, przez co znała jego najskrytsze tajemnice.

- Pi...erdolisz! - krzyknęła Teresa, dostając czkawki.

- Mówię wam - ciągnął wywód Grześ. - To było coś niezrozumiałego dla wszystkich, którym te rzeczy mówiła.

- Pier...dolisz. A ty w k...ońcu polej - wtrąciła znów Teri, patrząc w moją stronę i bezustannie czkając.

- Mówię poważnie. To tak, jakbyś sobie wsadził niechcący palec do dupy podczas podcierania papierem po sraniu. Taką rzecz wiesz tylko ty. Rozumiesz? Nie zwierzasz się nikomu z takich spraw, zwłaszcza jak twój palec przypadkowo ląduje w dupie. Pamiętam, jak ta kobieta raz podeszła do mojej matki i powiedziała, że wie, gdzie mój ojciec ukrył stary dowód tożsamości.

- Po co twój ojciec miałby ukrywać dowód tożsamości? - zapytał Tomasz, przechylając kufel z piwem, by zwilżyć gardło po uporczywym kaszlu.

- Mój stary po wojnie zmienił nazwisko, bo wiedział, że mogą go prześladować za działalność w czasie okupacji. Żeby go nikt nie dręczył, musiał zmienić tożsamość i tamten dowód ukrył. Nikt nic nie wiedział o przeszłości mojego starego, tylko moja matka. Nawet ona nie znała całej prawdy. Wiedziała tylko, że jeśli po wojnie wyjdzie na jaw to, co robił w czasie okupacji, może mieć z tego powodu kłopoty. Ojciec ukrył ten swój dowód w takim miejscu, że tylko on i moja stara wiedzieli, gdzie go schował.

- Jak ten palec w d...upie - krzyknęła Teri chrypiącym głosem, czkając.

- Nikt nie mógł wiedzieć. Na pewno - kontynuował Grześ, nie zwracając uwagi na słowa Tereski. - Ta baba pewnego dnia ni stąd, ni zowąd podchodzi do mojej matki i mówi, żeby ojciec się już nie bał, bo czasy prześladowań dawno minęły i nie musi się ukrywać pod innym nazwiskiem, i żeby ten dowód wyciągnął spod podłogowej deski w kuchni. Moja stara na te słowa osłupiała, ale zapytała, skąd ona wie o tym, że jej mąż, czyli mój ojciec, schował jakieś dokumenty pod

podłogą. Ta powiedziała, że kiedyś spotkała go na ulicy, spojrzała mu głęboko w oczy i poczuła, że nosi jakąś tajemnicę w sercu. A w noc po tym, jak z nim rozmawiała, on jej się przyśnił, i w tym śnie wyjawiał całą prawdę o swojej przeszłości i tym ukrytym dowodzie pod podłogą.

- To niech powie, kiedy przestanie lać ten cholerny deszcz - powiedział Tomasz, spoglądając w stronę okna.

- Nie żartuj sobie. Poza tym ona już nie żyje - oświadczył Grzesiek, upijając łyk piwa.

- A może ta kobitka знаła twojego ojca jeszcze z czasów okupacji i wszystko o nim wiedziała? - zapytałem, słuchając z zaciekawieniem jego opowieści. Moje mrówki w kubraczkach nastawiły uszu.

- Nic z tego, nie mogli się znać. To akurat jest pewne - zdecydowanym głosem oświadczył Grześ.

- Coś buj...asz stary - wybełkotała Teresa, ciągle czkając. Gdy wzniosła kufel z piwem ponad głowę, rozlała jego zawartość na wyblakłą i przepaloną papierosami kieckę. - A może ty, Frycu, też masz takie możliwości para coś tam, coś tam... jak ta kobitka? - Usłyszałem pod moim adresem bełkotliwy głos Teresy. Już nie czekała. - Muszę teraz uważać, jak będę srała, żeby nie przebić się przez papier palcem do dupy, bo będziesz o tym wiedział. - Jej słowa mocno rozbawiły uchlane alkoholem towarzystwo.

- Zdrowie wszystkich wrózek świata! - krzyknął Tomasz. - Ale w każdym razie jestem ci winny dziś wszystkie kolejki za te odnalezione pieniądze, Frycul - oświadczył, pijąc kolejną porcję wódki.

Wyjąłem ukrytą w wewnętrznej kieszeni marynarki fajkę i wsadziłem do ust.

- Tytoń mi się skończył, więc pozostało mi ssanie ustnika - oznajmiłem, czując, jak moje mrówki zdejmują granatowe kubraczki. Zrobiło mi się duszno. W głowie poczułem potworne zawirowanie. Rozbawione towarzystwo śmiało się i żartowało, wznosząc toasty z każdego możliwego powodu.

Po około pięciu godzinach postanowiłem przerwać tę zakrapianą biesiadę, ponieważ rozbolała mnie głowa. Zabrawszy parasol, opuściłem

lokal i wyszedłem chwiejnym krokiem na ulicę, by w końcu iść do domu. Lejący się na mnie z nieba chłodny prysznic deszczu pomagał mi trzeźwieć, przynosząc jednocześnie ulgę pękającej z bólu czaszce. Parasol służył mi jako podpórka. Wiele razy wracając w podobnym stanie, zaliczałem upadki na chodnik. Mocno się dziś wstawiłem, więc oprócz kojącego ból głowy deszczu parasol był mi sprzymierzeńcem w drodze do domu. Moja matka nienawidzi, gdy wracam nachlany, ale już się do tego przyzwyczaiła. Ku mojemu zdziwieniu nigdy nie robi mi wymówek, jedynie kręci głową, okazując swą bezradność w takiej sytuacji. Zwykle po każdej libacji wchodzę do mieszkania, zdejmuję buty i kładę się spać. Tyle. To jest w zasadzie już mój rytuał.

Tym razem było podobnie, z tym że po wejściu do mieszkania i zdjęciu butów, zamiast iść do swojego pokoju, by położyć się spać, zajrzałem do pokoju matki. Siedziała na wersalce i patrzyła w jeden punkt na ścianie przed sobą. Nawet nie spojrzała w moją stronę, gdy bełkotliwym głosem zapytałem, czy coś się stało. W pewnej chwili nawet pomyślałem, że umarła. W mgnieniu oka z przestrachu otrzeźwiałem, a ból głowy ustał. Moje mrówki poszły spać, we mnie wstąpiło nowe życie. Przetarłem dłonią twarz, umysł powoli zaczął ogarniać sytuację. Usiadłem obok matki. W tym momencie odwróciła w moją stronę głowę. Ulżyło mi. Patrzyła na mnie tymi swoimi oczami bez wyrazu.

„Czy ona się kiedykolwiek wkurwi i krzyknie, okazując wściekłość?” – pomyślałem. Nie powiedziałem nic. Podniosłem się z wersalki i poszedłem do drugiego pokoju, tego z Piłsudskim i szablą na ścianie. Mój umysł zaczął coraz wyraźniej ogarniać rzeczywistość. Wyjątkowo szybko trzeźwiałem.

- Przejebane życie ma ze mną ta moja stara – wyszeptałem. Zrobiło mi się jej szkoda. Ona naprawdę jest nieszczęśliwa. W ogóle jej życie jest jednym wielkim smutkiem i matka wygląda jak samotna huba na starym, pozbawionym liści drzewie. Żeby chociaż się spotkała raz na jakiś czas z mężczyzną. Chyba jak każda kobieta potrzebuje komplementów, kwiatów czy dotyku męskiej dłoni. Roman, to znaczy mój ojciec, odszedł od nas, gdy byłem małym dzieckiem. Znalazł sobie inną kobietę, z którą

postanowił spędzić resztę życia. Nawet nie chciało im się rozwodzić, więc formalnie są małżeństwem. Czasem spotykam go przypadkowo na ulicy, czasem też odwiedzam w jego mieszkaniu, choć już od czasu mojego wypadku, czyli od ponad pół roku, nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Jednak gdy się widzimy, dużo rozmawiamy, lecz poruszamy tematy neutralne. Głównie dotyczą spraw bieżących, zdrowia, on pyta, jak sobie na co dzień radzę, jak mi się pracuje, czy mam dużo zamówień na szycie ubrań i takie tam... Ale nigdy nie pyta o matkę. Nawet kilka razy sam próbowałem sprowokować go do tego, żeby o nią zapytał, ale zbywał mnie i zmieniał temat. Szanuję to, ale się troszkę dziwię. W zasadzie matka też nigdy o niego nie pyta, gdy jej mówię, że się z nim spotkałem. W sumie kiedyś się kochali. Musieli się kochać, skoro mnie spłodzili. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Krzążając się po pokoju, rozmyślałem o swoim postępowaniu, o matce, ojcu i o tym, że mi się tytoń do fajki skończył. Spojrzałem za okno. Zmrok powoli zapadał nad miastem. Deszcz cały czas sączył się z nieba. Obszedłem pokój w zadumie. Przeciągnąłem palcem po książkach, otworzyłem pozytywkę, znowu patrzyłem na groźny wzrok Piłsudskiego, wziąłem do ręki szkatułkę obitą czerwonym aksamitem. Chciałem w ten sposób cofnąć czas i wrócić do stanu sprzed chwili, kiedy zszokowany słowami matki o losie mojej suczki Dianki wyszedłem do Czardaszki uchlać się wódą. Gdy ponownie sięgnąłem po aksamitną szkatułkę, zza pleców usłyszałem:

- Zostaw to.
- Wystraszyłaś mnie - powiedziałem, odwracając głowę w jej stronę.
- Przepraszam, ale proszę, nie ruszaj tej szkatułki.
- Ładne pudełko. Co tam jest w środku? - zapytałem, obracając je w dłoniach.
- Mówię zostaw, to zostaw. Ja nie ruszam twoich rzeczy. - Matka podeszła do mnie, próbując wyrwać mi to prostokątne pudełeczko z rąk.
- Jeśli masz tam ukryte oszczędności, to możesz mi powiedzieć. Pijakiem jestem, ale nie złodziejem. Grosza ci nie ruszę bez pozwolenia. - Spojrzałem rodzicielce w oczy.

Pierwszy raz widziałem w nich emocje. Była wyraźnie zdenerwowana. Miała złość wypisaną na twarzy! Wspaniałe zjawisko. Musiałem czekać prawie czterdzieści lat, żeby zobaczyć, że moja matka ma w sobie pierwiastek ludzki. To było prawdziwe otwarcie duszy. Trwało tylko kilka sekund, ale było prawdziwe. Nawet jeśli to była złość, to warto było ją zdenerwować. Nawet gdy odszedł od niej mój ojciec, nie pokazała, że ją to zabolowało. A musiało zabołeć. Z kamienną twarzą patrzyła, jak opuszcza nasz dom zabierając jedynie dwie walizki z ubraniami. Mnie zabolowało, gdy zostawiła mnie żona, więc wiem, jak się człowiek czuje w takiej sytuacji. Moja matka to kamień emocjonalny. Jednak tym razem coś w niej pękło.

- Oddaj to, jak cię proszę! - krzyknęła. Moja matka krzyknęła! Boże, ile ja czekałem na taką chwilę. Duńcia naprawdę żyje!

By wykrzesać z niej więcej emocji, droczyłem się, przekładając szkatułkę z ręki do ręki, ona robiła wszystko, żeby mi ją zabrać, a jej twarz nabierała wyrazu prawdziwego ludzkiego gniewu. Cudne zjawisko! W pewnej chwili matka mocno szarpnęła mnie za rękę, wytrącając aksamitne pudełko z dłoni. Szkatułka spadła na parkiet, pękła na dwie części. Spojrzałem na matkę. Zobaczyłem, że zakryła dłońmi twarz. Nie płakała. Stała nieruchomo. Patrząc na nią, wyobraziłem sobie, jak tysiące płatków róż opada na jej głowę. Przeniosłem wzrok na rozbite pudełko pod naszymi stopami. Schyliłem się po nie, wziąłem obie połówki w dłonie. W jednej części szkatułki zobaczyłem wciśniętą w dno fotografię. Miałem wrażenie, że ta skrzyneczka była zrobiona na miarę, specjalnie na to zdjęcie. By je wyjąć, musiałem wcisnąć paznokieć między ściankę pudełka a karbowany brzeg fotografii.

Ponownie zerknąłem na matkę. Zdjęła dłonie z twarzy i zwinęła je w pięści, podkładając pod brodę. Wyglądała, jakby się bała, że za chwilę jej głowa spadnie na podłogę. Poruszając jedynie oczami, obserwowała każdy mój ruch. Nie protestowała. Trzymając fotografię w dłoni, rozejrzałem się pod stopami, czy coś więcej wypadło z wnętrza rozbitego pudełeczka. Nic. Tam było tylko to zdjęcie. Duńcia opuściła bezradnie ręce i bez słowa usiadła w fotelu. Znowu nie miała na twarzy żadnych

emocji. Pustka.

- Co to za zdjęcie? - zapytałem.

- Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co narobiłeś - powiedziała martwym głosem.

- Co niby narobiłem? Szkoda ci tej szkatułki? Naprawię.

- Coś ty najlepszego narobił, synu?! - Opuściła głowę.

Wzruszyłem ramionami. Spojrzałem na fotografię.

- Coś ty narobił... - powtórzyła cichym, ledwo słyszalnym głosem. Na starej czarno-białej fotografii było kilka postaci, z których rozpoznałem tylko moją matkę.

- Co to za ludzie? Widzę, że dawno było zrobione, bo jesteś na nim bardzo młoda. Pięknie wyglądałaś i do dziś nic nie straciłaś na urodzie - oświadczyłem, cały czas patrząc na zdjęcie.

- Dziękuję ci za komplement, ale jak widzisz, od tamtej pory przybyło mi sporo zmarszczek.

- To są naprawdę szlachetne zmarszczki. - Moja matka rzeczywiście starzeje się bardzo pięknie.

- To pamiątkowa fotografia - odparła, spoglądając w kierunku okna.

- Ale kim są ci ludzie? Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem... Siedem osób. Trzech facetów stoi w drugim rzędzie, trzy osoby siedzą na krzesłach w pierwszym. Tu z przodu jakiś facet, obok jakaś babka i ty z jakimś dzieckiem na kolanach - opisałem w kilku słowach fotografię, wodząc po niej palcem.

- Doskonale znam to zdjęcie, więc nie musisz mi mówić, jak wygląda - oznajmiła, ciągle patrząc w okno.

- Ale kim są ci ludzie? - ponownie zapytałem, podchodząc do matki. Klęknąłem przy fotelu, podstawiając jej przed oczy fotografię i jednocześnie obserwując jej twarz.

Płakała! Płakała! Płakała! Prawdziwe łzy jak ołowiane kule wypadały spod powiek, turlając się po policzkach na bluzkę. Miałem wrażenie, że podziurawia jej całą odzież. Nie mogłem uwierzyć w to, co widziałem. Moja matka płakała pierwszy raz w mojej obecności. Chyba pierwszy raz w życiu płakała. Moja matka dziś pierwszy raz pokazała, że jest

człowiekiem z krwi, kości i łez. Poczułem się zakłopotany. Nie wiedziałem, co mam zrobić. Nawet chciałem ją przytulić, lecz się bałem, bo poczułem, że gdy jej dotknę, ona eksploduje jak granat. Miałem wrażenie, że otula ją niewidzialna szklana kula, w której tkwi z jakąś tajemnicą schowaną za pazuchą. Nadgarstkiem przecierała mokre policzki. Patrzyłem, jak pięknie płacze. Nie chciałem przerywać jej tego wylewu wzruszeń żadnym zbędnym słowem, jednak poczułem wyrzuty sumienia, że naprawdę zrobiłem coś złego, doprowadzając moją Marysię do łez.

Podniosła głowę i spojrzała mi w oczy. Patrzyła na mnie. Jej wzrok był tak przeszywający, że poczułem w sobie dziwny, paraliżujący strach. Miałem wrażenie, że matka bez pukania weszła do mojej duszy. Otwarłem szeroko usta, gdyż z przestachu nie mogłem złapać oddechu.

- Ty płaczesz - powiedziałem po chwili złamanym głosem. - Ty nawet pięknie płaczesz, czekam tylko na dzień, w którym zaczniesz się uśmiechać. Rozmawiałem z Celiną i mówiła, że kiedyś potrafiłaś się śmiać.

- Tak ci powiedziała?

- Kim są ci ludzie na tym zdjęciu? Ja ich w ogóle nigdy nie widziałem - wydukałem.

- To pamiątkowa fotografia.

- Domyślam się. A kim jest to dziecko na twoich kolanach?

Długa cisza. Widziałem, że matce znowu kamienne łzy napływają do oczu, jednak już nie pozwoliła sobie na to, by je stamtąd wyrzucić. Przełknęła ślinę.

- To Ania, córka tej kobiety, która siedzi obok mnie. Jestem matką chrzestną Ani - oświadczyła beznamiętnie.

- Nie mówiłaś, że masz chrześnicę. - Milczała. Usłyszałem, jak drapie poszycie fotela. W tym momencie zauważyłem, że mężczyzna na fotografii stojący za moją matką trzyma dłoń na jej ramieniu. - A ten facet za tobą?

- To ojciec chrzestny Ani. - Po tych słowach jedna łza opuściła jej oko i zatrzymała się w szczelinie między nosem a policzkiem. Była to tylko

jedna łza, lecz równie ogromna i ciężka jak poprzednie. Matka pozostawiła ją na półeczku jakby na pamiątkę.

- A reszta tych ludzi?

- Ten - wskazała stojącego mężczyznę pierwszego po lewej stronie fotografii - to twój wuj Edward. Już nie żyje.

- A ten drugi? - dopytywałem, pokazując palcem kolejnego dżentelmena stojącego obok Edwarda.

- To znajomy naszej rodziny. Mieczysław. Też już nie żyje. Ten kolejny to Wacław.

- Żyje?

- Nie.

- A ten poniżej, który siedzi na krześle obok matki Anusi, to z pewnością jej ojciec, jak się domyślam.

- Dobrze się domyślasz, to Paweł. Nie żyje.

- A matka Ani żyje?

- Niestety zmarła dawno temu. Miała na imię Natalia.

- Mam nadzieję, że chociaż ta Anusia żyje? - zapytałem z przerażeniem w głosie.

- Żyje, ale nie wiem, co się z nią dzieje - oznajmiła oschle.

Odwróciłem zdjęcie na drugą stronę. Przeczytałem datę:

- Czternasty maja tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt jeden. To zdjęcie było zrobione dwa lata przed moim urodzeniem. Dlaczego nie ma na nim mojego ojca? Mówiłaś, że znaleście się pięć lat przed tym, jak przyszedłem na świat.

- Tak, to prawda, ale on właśnie robił to zdjęcie.

- Nie chciał się z wami fotografować?

- Chciał, ale nie było nikogo, kto mógłby nam wszystkim zrobić fotografię, a on nie mógł być jednocześnie przed i za obiektywem aparatu. To było wykonane tu, w domu, a nie w studiu fotograficznym, więc sam rozumiesz... - odparła, obserwując swoje dłonie.

Zapadło milczenie. Długo przypatrywałem się fotografii. Matka z opuszczoną głową patrzyła na bluzkę, jakby liczyła, ile łez wypadło jej z oczu.

- Dlaczego bałaś się pokazać mi tę fotografię? Prawie mnie pobiłaś, gdy się z tobą droczyłem o tę szkatułkę - oznajmiłem, lekko się uśmiechając.

- Nie o to chodzi, ale naprawdę... - urwała tajemniczo. - Zobacz, zniszczyłeś mi moje piękne aksamitne pudełeczko - powiedziała, przenosząc wzrok ze swej bluzki na mnie. Jej oczy znowu zrobiły się nijakie.

- To chyba nie z powodu zniszczonej szkatułki się popłakałaś?

- To są trudne sprawy, synku... - znowu ucięła zdanie. Odwróciła głowę w stronę ściany. Patrzyła na nią długo i nawet nie mrugała oczami. Zastygła jak żołnierz odłany z ołowiu. Naprawdę powstała dziwna sytuacja. Poczułem się, jakbym przymierzał bieliznę mojej matki w jej obecności, a ona w tym czasie nadmuchiwała nosem balon. Przerwanym zdaniem pokazała, że nie chce już rozmawiać na temat owego zdjęcia. Żałowałem, bo dawno ze sobą nie rozmawialiśmy.

To, co się wydarzyło przed chwilą, to była jednocześnie rozmowa, kłótnia, eksplozja emocji i wspomnień. Czy trzeba było rozbić szkatułkę z fotografią, żeby porozmawiać z matką i zmusić ją do otwarcia duszy? Nie lubi wracać do dawnych czasów, to wiem. Ja również nie jestem sentymentalny, jeśli chodzi o wspomnienia, bo twierdzę, że co było, tego się nie zmieni, ale jeśli coś się w życiu zepsuło, zawsze można próbować to naprawić. Potrzebowałem tej rozmowy z matką jak porannego gadania do własnego portretu z komunii. Potrzebowałem rozmowy z matką jak powietrza. Oprócz wspomnień wy dobyłem z niej coś bardzo cennego tego wieczoru: wyrwałem z niej skrytą głęboko wrażliwość. Zobaczyłem, że jest człowiekiem, a nie bezduszną maszyną w fabryce łożysk tocznych. Ja wiem, że Duńcia była wychowywana w warunkach, w których okazywanie emocji stanowiło nietakt. Ale ona jedna z grona całej naszej licznej rodziny w oschłości wyrażania uczuć jest mistrzynią. „To tak, jakbyś wszystkim mówił, w jakim kolorze masz dziś na tyłku majtki” - powtarzała mi zawsze, gdy były sytuacje, w których należało pokazać jakiegokolwiek ludzkie odruchy wrażliwości. Więc dziś mi te majtki pokazała. Nawet na pogrzebie swojego ojca, którego bardzo kochała, nie

uroniła publicznie choćby jednej łzy. Pamiętam, że samotnie, bez wzruszenia, stała w kostnicy nad otwartą trumną. Później na cmentarzu położyła na grobie kwiaty, zrobiła dyskretnie znak krzyża na piersi i to było wszystko. Nic więcej. Nawet byłem ciekawy, o czym wtedy myśli; czy wspomina miłe chwile z dzieciństwa, kołysanie na kolanach ojca, wycieczki za miasto, czy wspólne koncerty na skrzypce i fortepian, jakie urządzali w domu w każdy czwartek. Moja matka grała na skrzypcach, a dziadek, akompaniował jej na ogromnym czarnym fortepianie, na którym stał wazon ze świeżymi kwiatami.

Stasiu, jej ojciec, był przed wojną cenionym bankowcem, ekonomistą, ale jego pasją była muzyka i malarstwo. Cudownie grał na skrzypcach, fortepianie i do tego pięknie malował. Uwielbiał szkicować konie, których był miłośnikiem. Pokładał we mnie ogromne nadzieje jako muzyku. Z opowieści matki wiem, że gdy się urodziłem, pochylił się nad moją kołyską i powiedział do rodziców, że kiedyś będę cenionym artystą. Pamiętam, jak przy okazji jakiegoś rodzinnego spotkania moja matka wspominała wydarzenie z okresu, kiedy miałem dwa latka. Ponoć chwyciłem za skrzypce dziadka, a następnie zacząłem jeździć po nich smyczkiem. W moich dłoniach wydawały się wtedy narzędziem zbrodni dla uszu domowników. Tylko dziadek Stasiu stał nade mną i słuchał tego rzępolenia z ogromną dumą w sercu. On pomimo powściągliwości uczuć potrafił wyrazić emocje. Dziwię się, że moja Duńcia tego nie umie. Jest artystką i wrażliwość powinna mieć we krwi. Rzeczywiście gdy gra na skrzypcach, czuć jej duszę fruującą wokół, lecz gdy odkłada instrument do futerału, staje się oschłą Marią Zaruską. Jednak dziś stał się prawdziwy cud. Moja matka pękła jak żółwia skorupa, w którą tupnął motyl.

Trzymając fotografię w dłoni, pochyliłem się nad Duńcią i pocałowałem ją w czoło. Nigdy nie odważyłem się w dorosłym życiu na taki gest, nie mówiąc już o tym, by ona zachowała się tak samo w stosunku do mnie. Gdy byłem dzieckiem i kładłem się spać, mówiła mi tylko dobranoc. Czułem wtedy bijący od niej chłód. Całowała w policzek wyłącznie przy okazji ważnych uroczystości, jak urodziny, imieniny czy

podczas składania życzeń świątecznych. Nigdy też się przy tym nie uśmiechała. Swego czasu nawet twierdziłem, że moja matka nie umie się śmiać, bo zwyczajnie nikt jej nie powiedział, jak się to robi.

Trzymając delikatnie w dłoniach ową fotografię, poszedłem do swojego pokoju. Duńcia widziała, że zabieram zdjęcie ze sobą, jednak ku mojemu zaskoczeniu nie protestowała. Gdy opuszczałem pokój, dostrzegłem, jak bezustannie bez emocji patrzy w jeden punkt mieszkania.

Położyłem się na łóżku, włączyłem lampkę nocną przytwierdzoną do ściany tuż nad miejscem, gdzie układałem głowę do snu. Leżąc, próbowałem rozszyfrować tajemnicę tej fotografii. Zastanawiało mnie, dlaczego tak naprawdę moja matka ukrywała to zdjęcie przed światem. Na pierwszy rzut oka to zwykła fotka. Kilku elegancko ubranych facetów, dwie piękne kobitki i dziecko w rozłożystej białej sukience na kolanach mojej mamy.

Usiadłem na pościeli, przystawiając zdjęcie bliżej światła lampki.

- Musi tu być jakiś element, który w szczególny sposób je wyróżnia - powiedziałem półszeptem. - Ciekawe, dlaczego pamiątkowe zdjęcie zrobili w mieszkaniu, a nie w studiu fotograficznym. Dawniej tego rodzaju zbiorowe foty były robione przez profesjonalnych fotografów, na efektownym tle podkreślającym charakter wydarzenia. Jestem przekonany, że to dokument pieczętujący jakieś istotne wydarzenie. Co też te osoby łączyło? One muszą być w szczególny sposób powiązane. Matka nie bez powodu trzymała to zdjęcie pod kluczem. Skoro tak, to powinni na nim być wszyscy, którzy w owym wydarzeniu brali udział, łącznie z moim ojcem, bo nie wierzę, że został wyrzucony poza nawias istotnych faktów życia mojej rodziny. Ależ mają zwiśnięte miny - stwierdziłem. - No, może poza tą małą Anusią, która ze swym uśmiechem zupełnie nie pasuje do tych ponuraków.

Odwróciłem fotografię na drugą stronę. Zazwyczaj na starych zdjęciach ludzie pisali różne ciekawe rzeczy związane z okolicznościami ich powstania. Niestety tam była tylko data. Ponownie zacząłem oglądać fotkę od przodu. Tym razem skupiłem wzrok na pomieszczeniu będącym

tłem.

- Po prawej stronie szafa, o nią oparta parasolka, na szafie stoi piękny świecznik w kształcie pędzącego konia, na jego grzbiecie są wypalone do połowy świece. Jest też widoczny kawałek ściany z prądowym gniazdkiem, na ścianie fragment lustra. Hm... W którym pokoju to było robione? - zastanawiałem się, uderzając fotografią w czoło. - Pewnie w salonie. Tam już nie ma tej szafy, ale jest lustro. Tak, to musiał być nasz salon. Świecznik też kojarzę. Gdzieś go kiedyś widziałem. Albo podobny? Teraz go z pewnością tu nie ma. Może go matka sprzedała albo dała komuś w prezencie? - Skupiłem teraz wzrok na Ani. Piękne dziecko. Ciekawe, co się z nią teraz dzieje. Jest starsza ode mnie o trzy lata. Szkoda, że jej nie znam. Właśnie. Dlaczego matka nigdy mi o niej nie wspominała? Czy ma męża, dzieci, czym się na co dzień zajmuje? Fajnie by było ją poznać.

Nagle moją uwagę przykuł fragment lustra na ścianie. Dość niewyraźnie, ale dostrzegłem w jego odbiciu jakąś siedzącą postać. Wyteżyłem wzrok. Po dogłębnym wejrzeniu zobaczyłem tam fragment czyjejs nogi, od kolana po czarny but na stopie. To raczej mężczyzna, bo w spodniach. Więcej nie widać. Ewidentnie tam ktoś jest i zza pleców mojego ojca obserwuje, jak ten robi zdjęcie. Ale dlaczego matka mnie okłamała? Dlaczego powiedziała, że ojca nie ma na zdjęciu, bo to on je wykonywał? Z pewnością ten, kto tam był, mógł to zdjęcie zrobić za niego. I kolejne pytanie: dlaczego mężczyzna nie został sfotografowany? Naprawdę dziwna i tajemnicza sprawa. Zbyt dużo pytań i jeszcze mniej odpowiedzi.

Zamknąłem na kilka sekund oczy. Z nadmiaru wrażeń zaczęła mnie boleć głowa. Zerknąłem na zegarek.

- Boże, już po trzeciej. Zaraz będzie świtać! - Perspektywa wstania z łóżka za trzy godziny i posprzątania trzech podwórek w strugach deszczu wywołała na mym ciele ciarki. - Cholera, leje i leje - powiedziałem do siebie, spoglądając za okno. Odłożyłem fotografię na stolik przy łóżku i w mgnieniu oka zasnąłem.

Sześć niebieskich wron przyfrunęło na parapet mojego okna. Przerazająco mocne światło słońca odbijało się od ich lśniących piór. Nagle wszystkie zaczęły stukać swoimi niebieskimi dziobami w szybę. Każda po kolei. Raz jedna, raz druga, potem trzecia i tak wszystkie kolejno stukały w okno. W pierwszym odruchu chciałem je pognać, jednak zahipnotyzowany patrzyłem na błękit ich piór i wsłuchiwałem się w dźwięk, jaki wydaje uderzana wronim dziobem szyba. Niebieskie wrony? Nigdy nie widziałem niebieskich wron – właśnie do mnie dotarło. Nagle pierwsza z nich zaczęła potwornie głośno krzyczeć ludzkim głosem:

- Musisz nas wpuścić, mamy ci coś ważnego do powiedzenia!

Wrzasnęła również druga.

- To naprawdę ważne, otwórz nam okno, wejdziemy i porozmawiamy! Trudno rozmawiać przez tę szybę!

Trzecia, czwarta i piąta też błagały, bym je wpuścił, panicznie krzycząc, że mają mi coś ważnego do powiedzenia. Szósta wrona zrobiła się nagle biała. Nic nie mówiła i nie stukała w szybę. Stała spokojnie i cały czas mnie obserwowała. Zauważyłem, że trzymała w dziobie jakiś błyszczący przedmiot. Patrzyła tylko w moje oczy smutnym wzrokiem. Mimo wrzasku tamtych wron to właśnie ta spokojna najbardziej przykuła moją uwagę. Nachyliłem się w jej stronę, by zobaczyć, co takiego trzyma w białym dzióbku. Gdy przyłożyłem nos do zimnej szyby, wtem nad białą wroną pojawiła się potwornie gęsta mgła, która skutecznie zasłoniła ją i ów przedmiot. Potarłem dłonią szklaną zasłonę, sądząc, że to para z moich ust. Nic z tego, to mgła otulała białą wronę po drugiej stronie okna.

- Dziwne – powiedziałem półszeptem.

Niebieskie ptaki cały czas stukały i wrzeszczały, bym je wpuścił. Bałem się otworzyć. Machałem rękami, by je odgonić. Bezskutecznie. Po chwili zdecydowałem, że je wpuszczę. Nie widziałem innego wyjścia, by je uspokoić, a jednocześnie zapragnąłem zaspokoić swą ciekawość; co mają mi do powiedzenia? Intrygowało mnie zwłaszcza, co ta biała otulona mgłą trzyma w dziobie. Odwróciłem głowę od okna w stronę

pokoju, by zobaczyć, czy jestem sam. Ku mojemu przerażeniu w pokoju panowała zupełna ciemność. Miałem wrażenie, że unoszę się w czarnej nieograniczonej przestrzeni własnego pokoju. Nie czułem pod stopami podłogi. Nie widziałem zupełnie nic wokół siebie. Dziwne zjawisko. Mocno świecące słońce za oknem nie mogło przebić się ani jednym promieniem przez szybę dzielącą mnie od wron. Kilkakrotnie odwracałem się to w kierunku czarnej przestrzeni za mną, to w stronę okna, by potwierdzić to dziwne zjawisko. Co się tu dzieje?! Krzyżące wrony na parapecie, dźwięk uderzanej dziobami szyby, ich nawoływania, okropna ciemność w moim pokoju i jaskrawe światło za oknem! Drżącą ręką sięgałem do okiennej klamki. Wrony z niecierpliwością patrzyły na każdy mój ruch. Nagle ucichły. W pewnej chwili zauważyłem, że przybierają ludzką postać. Tak! Zamieniły się w ludzi pokrytych niebieskimi piórami. Ich małe wronie łebki miały kształt ludzkich głów, a twarze wydały mi się znajome.

Obudziłem się.

- Kurwa, to był sen! - powiedziałem do siebie, czując ulgę. Mimo to odruchowo spojrzałem za okno, czy rzeczywiście nie ma tam żadnych niebieskich wron o ludzkich głowach, próbujących przekazać mi ważną wiadomość, i tej białej z błyskotką w dziobie. Nie było ptaków, nie było mgły, tylko mokry parapet, który w przebijającym się przez potężne krople deszczu szarego nieba świetnie wyglądał jak brudna gąbka do mycia ciała nasiąknięta wodą. Rozejrzałem się po pokoju, w którym panował półmrok. Jednak był to mój pokój, a nie czarna przerażająca przestrzeń. - Ja pierdolę, co za sen?! - powiedziałem, przekładając dygoczące z przestrachu nogi z łóżka na podłogę. Usiadłem na brzegu wersalki. Przez kilka chwil potrząsałem głową, by poukładać myśli w głowie i uspokoić nerwy.

„Rzeczywiście się wystraszyłem” - pomyślałem, przecierając dłonią mokre od potu czoło. Nagle poczułem potworny ból stóp. Miałem wrażenie, że ktoś włożył moje dolne kończyny w imadło i je zaciska, zadając ogromne cierpienie. Po chwili bolało mnie całe ciało. „Ja pierdolę, w skarpetach usnąłem. No ale żeby przez głupie skarpety

bolało całe ciało? Może rzeczywiście? Kurwa, przed położeniem się spać nawet nie przyszło mi do głowy, by je zdjąć czy choćby zęby umyć”. Poczułem się jak menel, który usnął na parkowej ławce pokrytej ptasimi odchodami. Może te wrony we śnie mi przyszły powiedzieć, żebym zdjął skarpety? Co ja pierdolę!

Nagle odniosłem wrażenie, że ktoś za mną stoi, chwyta za gardło i miażdży krtań potężnymi łapskami. Nie mogłem przełknąć śliny. Uniosłem ciało, wspierając się rękami na wersalce, podniosłem głowę w stronę sufitu i wziąłem głęboki oddech. Poczułem się jak wtedy, gdy w czasie oglądania zdjęcia miałem wrażenie, że matka wchodzi mi do duszy bez pukania. Zakasłałem. Puściło. Przeciągnąłem dłonią po zarośniętej twarzy.

- O kurwa! - westchnąłem. Schowałem głowę w dłonie, powoli wciskając palce we włosy. - Co się ze mną stało? Naprawdę zmenelałem! Do dnia wypadku byłem takim fajnym chłopakiem. Przede wszystkim dbałem o siebie. Zawsze ładnie ubrany, wypastowane buty, czyste zęby, ogolony. A teraz? - mówiłem, by w końcu usłyszeć z własnych ust, co straciłem.

„Może te wrony są dla mnie znakiem, bym się zmienił i był taki jak dawniej? Czyste, niebieskie i ta jedna biała trzymająca w dziobie tajemniczy prezent, który dostanę w nagrodę za zmianę trybu życia?” - pomyślałem, wodząc wzrokiem po mieszkaniu i próbując w półmroku odnaleźć choć cząstkę siebie z nie tak dawnej przeszłości.

- Może moje piękne czasy nie minęły bezpowrotnie? - wyszeptałem, zdejmując przepocone brudne skarpety. - Kim ja właściwie teraz jestem? - Zaświeciłem lampkę nocną. Rozejrzałem się po pokoju i przez chwilę poczułem, jakbym pierwszy raz w nim był. Spojrzałem na stół. Fotografia leżała na nim jak martwa ryba wyrzucona przez wzburzone fale morza na kamienisty brzeg. Delikatnie chwyciłem zdjęcie, podnosząc na wysokość oczu, i zacząłem oglądać je ponownie. Przypatrując się każdej z osób na tym zbiorowym portrecie, przecierałem palcem po ich zastygłych twarzach, jak gdybym chciał zetrzeć tajemnicę, którą w sobie kryją. - Jakież to wszystko jest dziwne. Co miały oznaczać te wrony? Może

naprawdę przyleciały z misją naprowadzenia mnie na drogę do szczęścia? – powiedziałem, kładąc głowę na przepoconą poduszkę. Nagle usłyszałem, jak matka krząta się po mieszkaniu. Poczulem zapach kawy. Był to dla mnie sygnał do tego, by wrócić do realnego życia. Położyłem fotografię na stoliku i boso poszedłem do kuchni. Zapragnąłem poczuć twardy grunt pod stopami, które z każdym stąpieniem czytały najdrobniejszy fragment podłogi, podobnie jak ślepiec czyta przedmioty palcami dłoni.

Gdy wszedłem do kuchni, matka siedziała nad filiżanką gorącej, aromatycznej, świeżo zmielonej społemowskiej extra selekt, której zapach zawisł w powietrzu niczym ważka nad strumykiem.

- Zaparzysz i dla mnie? – zapytałem, wiedząc, że i tak to zrobi. Nie z miłości do mnie, lecz z przyzwyczajenia.

Poranną kawę pijamy od pewnego czasu osobno. Ja zabieram filiżankę z kawą do swojego pokoju i w ciszy celebruję jej smak. Matka w tym czasie przygotowuje dla nas śniadanie, które również konsumuję w swoim pokoju. Po śniadaniu każde zajmuje się swoimi sprawami. Matka najczęściej idzie po zakupy lub udziela się towarzysko, odwiedzając wyselekcjonowaną garstkę znajomych. Ja prawie co dzień wychodzę sprzątać podwórka, później jem obiad przyrządzony przez matkę, a następnie idę chlać wodę z kumplami w Czardaszcze. Szkoda, że ostatnio spierdoliłem to, co było w moim życiu dobre i wartościowe.

Te wrony z pewnością chciały mi dać znak ostrzegawczy. Zmień się, człowieku, a czeka cię nagroda! – to chciały powiedzieć? Tak przypuszczam. Od kiedy zamieszkałem z matką, to jest od dziewięciu lat, mieliśmy ustalony porządek dnia. Zawsze po wspólnie wypitej kawie i śniadaniu brałem kąpiel, później schodziłem do zakładu i pracowałem do godziny trzynastej, gdyż właśnie o tej porze matka podawała obiad. Był biały obrus, serwetki, srebrne sztucce. Po zjedzonym posiłku zasiadałem w fotelu i wypalałem jedną fajkę nabitą tytoniem, którego aromat wypełniał każdą szczelinę naszego mieszkania. Matka w tym czasie czytała jakąś książkę. Około czternastej ponownie szedłem do swojej pracowni szyć ludziom ubrania. Teraz chuj wszystko strzelił.

„Chyba wraz ze złamaną ręką doznałem urazu szarych komórek mózgowych” – pomyślałem, spoglądając na swą gębę w małym lusterku stojącym na lodówce.

W trakcie moich rozmyślań zagotowała się woda w czajniku, matka zaparzyła mi kawę, ja dolałem mleczka i wsypałem dwie płaskie łyżeczki cukru. Jednak tym razem nie poszedłem z filiżanką do swojego pokoju, lecz czułem potrzebę towarzyszenia mamie w przygotowywaniu śniadania, a przy okazji chciałem porozmawiać.

- Miałem dziś dziwny sen – powiedziałem, upijając łyk kawy.

- Tak? Co ci się śniło?

- Śniły mi się niebieskie wrony, które siedziały na parapecie za oknem mojego pokoju i próbowały mnie namówić, żebym je wpuścił do mieszkania bo mają mi coś ważnego do powiedzenia. Potwornie wrzeszczały. – Spojrzałem na matkę. W skupieniu kroїła chleb i wędlinę.

- No i wpuściłeś je?

- Nie. Jedna z nich nagle zrobiła się biała. Później te wrony przybrały ludzką postać. Zauważyłem, że ta biała trzyma w dziobie jakąś błyskotkę.

- Tak? Cóż to było?

- Nie wiem, bo nagle tylko ją otuliła niesamowicie gęsta mgła i nie widziałem, co trzyma. Gdy zdecydowałem się je wpuścić, nagle się obudziłem. Dziwny sen.

- Ale sny są zazwyczaj dziwne i niezrozumiałe, synku. Kiedyś mi się śniło, że jestem żarówką, która wyszła sobie na spacer po mieście.

- Ty żarówką? – zacząłem się śmiać.

- Tak, wykręciłam się z tej mojej lampki nocnej i poszłam na spacer po mieście. Świeciłam sobie na całego.

- To rzeczywiście dziwne i śmieszne – oznajmiłem, cały czas chichocząc. Mimo rzeczywiście zabawnej opowieści usta mojej matki nawet nie drgnęły. Wyglądało to tak, jakby mi przekazywała prawdziwą informację, która jest oczywistością i z której nie ma się co cieszyć. Widząc jej ponury wyraz twarzy, również spowaźniałem, po czym upiłem kolejny łyk z filiżanki. Matka podała do stołu przygotowane na talerzykach potrawy. Zaczęliśmy jeść śniadanie. – Dawno nie jedliśmy

wspólnie – powiedziałem, delikatnie się uśmiechając.

- Rzeczywiście, przyjemniej razem. Ale sam jesteś winny tej sytuacji - oświadczyła.

Zamilkłem. Niebieska wrona przefrunęła przez mą głowę.

- Dosyć długo oglądałem to twoje tajemnicze zdjęcie, zanim zasnąłem – oznajmiłem, konsumując chleb z masłem, szynką i serem.

- Po pierwsze nie mów z pełnymi ustami, a po drugie musisz naprawić moją szkatułkę.

- Pamiętam, dziś to zrobię. Ale naprawdę jest bardzo tajemnicze.

- Gdzie je masz? – zapytała, patrząc mi w oczy.

- U siebie w pokoju na stoliku. W nocy bacznie mu się przyjrzałem i zauważyłem jeden zagadkowy szczegół.

- Ty nie mędrkuj, tylko kończ śniadanie i weź się w końcu do roboty. Podwórko musisz wysprzątać – oznajmiła.

- Mówiłaś, że to zdjęcie robił ojciec, bo nie było nikogo innego, kto mógłby wam wtedy wykonać tę fotkę – nie dawałem za wygraną. Patrzyłem w oczy matce. Nawet nie mrugnęła.

- Bo tak było – oznajmiła po chwili, po czym upiła łyk kawy.

Zerknąłem jej do filiżanki. Na dnie leżały fusy, które wyglądały jak odkryta urna z prochami Witkacego. Dreszcz przeszedł mi po plecach.

- Ale ja dostrzegłem tam jeszcze jedną postać, która była odbita w lustrze wiszącym tuż obok was na ścianie.

- Niemożliwe.

- Zaraz ci pokażę. – Wstałem od stołu i poszedłem do pokoju po fotografię. Gdy wróciłem, matka siedziała z lekko opuszczoną głową. – Zobacz.

Podniosła wzrok. Znowu poczułem na sobie jej duszące spojrzenie przenikające do moich myśli. Bez słowa wzięła w dwa palce zdjęcie.

- Widzisz, tu siedzi jakiś mężczyzna. – Wskazałem prawy dolny róg fotografii.

- Ja tu nikogo nie widzę – oznajmiła, energicznie odkładając zdjęcie na stół.

- Bo to tylko fragment kogoś. Czyjaś noga. Mamo, ten ktoś

przypatrywał się, jak ojciec was fotografuje. Siedział na wersalce czy fotelu za ojca plecami. Wiem, że ta fotka ma swoje lata, pożółkła i wyblakła, ale tu rzeczywiście jest lustro, a w nim naprawdę widać czyjaś nogę. No zobacz, to kawałek nogawki od kolana i jeden but.

Matka przez chwilę milczała.

- A nie pomyślałeś, że tam mogły po prostu leżeć na fotelu spodnie, a przy nich na podłodze stać buty twojego ojca? To zdjęcie było robione w mieszkaniu, więc części jego garderoby mogły leżeć gdziekolwiek. On też potrafił czasem bałaganić i rzucać swoje ubrania, gdzie popadło. Jak wiesz po sobie, mężczyźni często tak robią. Czasem kładziesz portki na krzesło i swoje brudne buciska obok. Czyż nie mówię prawdy? - Tym stwierdzeniem zbiła mnie z tropu.

- Może i masz rację. Nie wziąłem tego pod uwagę.

- No widzisz, synku. W tym wypadku lustro ci prawdy nie powie - skwitowała, łagodząc ton, ale chcąc jednocześnie zakończyć temat tajemniczego portretu.

Dopiłem kawę, podziękowałem za posiłek, wstałem z krzesła i zabrawszy fotografię, poszedłem do swojego pokoju. Położyłem się na wersalce. Podniosłem dzierżone w dłoni zdjęcie na wysokość oczu. Leżałem kilka minut, w zamyśleniu wpatrując się w sufit. Miałem wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Podniosłem głowę i energicznie rozejrzałem się po pokoju. Byłem sam. Przeciągnąłem się, spoglądając jednocześnie za okno.

- Mam trzy podwórka do wysprzątania. Tytoń mi się skończył, cholera jasna. Dziś środa - powiedziałem, spojrzawszy na kalendarz wiszący na ściennej słomiance. Wróciłem do kuchni. Matka sprzątała po śniadaniu. - Po wypłacie muszę kupić sobie ten tytoń. Palić mi się chce jak diabli. A ten deszcz to kiedyś przestanie padać? Dopiero pojutrze pan Władziu wypłaci mi kasę.

Milczała. Wyraźnie nie miała ochoty słuchać moich narzekań. Władek był administratorem kilku podwórek i kamienic w okolicy. Zlecał mi sprzątanie, płacąc za robotę raz w tygodniu w każdy piątek. Marnie płacił, ale nie ma się czemu dziwić. Po pierwsze praca na czarno, a po

drugie marna robota, to i pieniądze marne. Ale na tytoń i piwko mi wystarcza.

Duńcia krzątała się po kuchni, nie zwracając na mnie uwagi.

- A... tak na chwilę wrócę do tej Ani z fotografii - zagadnąłem.

- No, co jeszcze tam odkryłeś, Sherlocku? - zapytała, marszcząc brwi.

- Widzę, że nie masz już ochoty o tym mówić, ale dopytam jeszcze tylko o jedno.

- Słucham - wydusiła z siebie, bezradnie opierając dłonie o blat stołu.

- Zapomniałem cię zapytać, gdzie mieszka ta Ania. Masz z nią jakiś kontakt? Przecież to twoja chrześnica.

Chwila ciszy. Matka wystrzeliła myślami, przebijając sufit, unosząc się gdzieś wysoko ponad dachem kamienicy. Czułem, że coś dziwnego się z nią dzieje. Energicznie zaczęła pocierać dłońią o okienną szybę, udając, że ściera plamkę.

„Jednak ma coś do ukrycia!” - pomyślałem, obserwując każdy jej ruch.

- Już dawno jej nie widziałam - oświadczyła po chwili, przecierając tym razem dłońią kant stołu.

- Nie wiesz, gdzie mieszka?

- Nie. - Znowu zawiesiła myśli w górze. - Tyle lat minęło. Nie wiem.

- Szkoda - odparłem.

- Szkoda - powiedziała oschle, głaszcząc upięte w kok włosy. Potrząsnęła głową, jakby strzepywała z niej pająka.

- A jak już ciągniemy ten temat, to kim była dla ciebie jej matka? - natrętnie dopytywałem. Widziałem, jak Duńcia demonstracyjnie westchnęła, dając do zrozumienia, że bardzo męczy ją ta rozmowa. Po chwili oznajmiła:

- Natalia, matka Ani, była mi swego czasu bardzo bliską osobą. Ale wiesz, jak to czasem bywa...

- No właśnie chciałbym się tego dowiedzieć. Poza tym co miało oznaczać to twoje „co ty narobiłeś?”, gdy wyjąłem zdjęcie ze szkatułki?

Ta fotografia nie znalazła się w niej bez powodu, podobnie jak Natalia na zdjęciu.

To, że ta kobieta umarła, to się zdarza, ale że nie interesował cię los jej córki? Mówiłaś, że ojciec Ani też nie żyje.

Matka wróciła z nad dachu kamienicy do kuchni, zostawiając po sobie ewakuacyjną dziurę w suficie. Zawiesiła wzrok na ścianie.

- Wiem i czuję, mamu, że w tej fotografii jest jakaś tajemnica, tylko nie chcesz mi tego wyjawić. I co takiego ja zrobiłem, pytam kolejny raz? - dodałem, próbując przeciągnąć jej wzrok ze ściany na mnie.

Opuściła głowę, szukając odpowiedzi na podłodze.

- Ludzie z różnych powodów przestają być sobie bliscy, a w pewnych sytuacjach nawet stają się wrogami i robią różne dziwne rzeczy - oznajmiła bardzo tajemniczo.

- Ta kobieta zrobiła ci jakąś krzywdę w przeszłości?

- Nie chcę o tym rozmawiać. W każdym razie stało się, jak się stało.

- Jednak coś ważnego się zadziało - stwierdziłem zdecydowanym głosem.

W końcu spojrzała na mnie.

- Niedługo po tym, jak było zrobione to zdjęcie, oboje rodzice Ani zmarli. Najpierw zmarł na zawał serca ojciec Anusi, a dosłownie po kilku dniach jej matka. Otruła się. Zażyła ogromną porcję jakichś proszków nasennych, popiła wódką i nie dało jej się z tego odratować. Ania ponoć trafiła do sierocińca gdzieś w Polsce.

- To dlaczego jej nie szukałaś? Może potrzebowała twojej pomocy? Przecież została sierotą. Myślę, że po to są matki chrzestne, żeby zajmowały się w takich sytuacjach swoimi chrześnicami. Ona była dla ciebie prawie jak córka.

Matka błędziła wzrokiem po suficie, jakby szukała pozostawionej po sobie dziury ewakuacyjnej. Milczała. Myślę, że wstydziła się tego, że nie zainteresowała się losem Anusi.

- Dobrze. Widzę, że to ciężka dla ciebie sytuacja, ale może powiesz mi, co złego się wydarzyło między tobą a tym Pawłem i Natalią...

- Może kiedyś ci to opowiem.

- Powiedz teraz - nalegałem.

- Idź już sprzątać te podwórka - oznajmiła na mocnym wydechu.

Wokół zrobiło się bardzo cicho i martwo. Miałem wrażenie, że oboje nie żyjemy i świat zmarł z nami. Przypomniały mi się nagle niebieskie wrony na parapecie okna. Dźwięk dziobów uderzających o szybę. Nawoływania i ten potworny wrzask! Ta biała z błyskotką w dziobie - to naprawdę nagroda? Jasność za oknem i przerażająca ciemność pokoju za moimi plecami.

- Prawie wszyscy z tej fotografii nie żyją. To jakaś epidemia? - dopytywałem, wracając życie w nasze ciała.

- Nie męcz mnie już dziś takimi pytaniami. Błagam, synu - oznajmiła spokojnym głosem, potrząsając jednocześnie energicznie głową.

Rzeczywiście widziałem na jej twarzy zmęczenie. Miałem wrażenie, że przez te kilka minut rozmowy przybyło jej ze sto lat. Zrobiło mi się jej żal. Ubrałem się i poszedłem zamiatać podwórka. Zacząłem tradycyjnie od swojego poletka. Deszcz powoli ustawał. Gdzieś tam nawet delikatne słońce zaczęło przebijać się przez chmury. Gdy zbierałem zmiecione w jedno miejsce dziedzińca nieczystości, z kamienicy wyszedł pies sąsiadki - Bary, o którym rozmawiałem wczoraj z jego właścicielką, panią Celiną, i moją matką.

„Rzeczywiście ledwo ta psina powłóczy łapami” - pomyślałem. Kilka chwil za psem dziarskim krokiem wyszła sąsiadka.

- Dzień dobry, panie Frycku - krzyknęła z daleka.

- Serdecznie witam, pani Celinko. W końcu się przejaśnia.

- Też już miałam dosyć tego deszczu.

- Jak się czuje Bary? - zapytałem, by ot tak zagadać.

- Słabnie w oczach, jak pan widzi. Nie wiem, ile jeszcze pociągnie.

- Oj tam, droga pani Celciu. Tak nie wolno mówić.

Bary zrobił kupę na środku placu, który właśnie wysprzątałem. Widziałem ogromny wysięk w jego zapadniętych ślepiach.

- Nawet sranie go męczycy, sam pan widzi, ale bardzo przepraszam za niego. Zapaskudził panu wysprzątaną podwórko - powiedziała sąsiadka.

- Co pani chce od psa? To zwierzę i nie wie, że przed chwilą tu

zamiatałem. Nie zrobił tego złośliwie. To nie człowiek, po którym można się spodziewać wszystkiego najgorszego. Mówię pani, ile ja tu już gównien po ludziach sprzątałem. Po tych kilku miesiącach potrafię odróżnić gówno psa, kota i człowieka. Człowieka najbardziej śmierdzi. Fúj. W końcu przydałby się w centrum miasta jakiś publiczny sraacz.

- To ci przyjezdni tak paskudzą. Ci, co na bazary przyjeżdżają, i ci niedomocy obwoźni handlarze z Sienkiewki, to oni tak srają po naszych podwórkach. Kto to pomyślał, panie Frycku, żeby srać, gdzie popadnie? Poza tym widzi pan, Sienkiewicza, główna ulica miasta ma takiego patrona, a wygląda jak pobojozowisko. Wstyd. Porozstawiali wszędzie te skurwysyńskie brudasy swoje stoiska z leżaków plażowych i przejść się nie da. Jak to wygląda?! Jak na tureckim bazarze!

- No, ale majtki i herbatę może pani kupić, obracając się wokół własnej osi. Wszystko w jednym miejscu.

- Niby racja - krótko oświadczyła sąsiadka, po czym zawołała Barego i wróciła z nim do domu.

Gdy po zakończonym sprzątnięciu podwórka i miłej pogawędce z Celcią miałem przenosić się na sąsiednią posesję, zauważyłem w drzwiach wyjściowych kamienicy moją matkę. Gdy mnie zobaczyła, szybko się cofnęła. „Może czegoś zapomniała z domu?” - zacząłem tłumaczyć jej dziwne zachowanie. Stałem jeszcze, patrząc w tamtą stronę kilka chwil; czekałem, aż wyjdzie. Nie wyszła. Poszedłem sprzątać sąsiednie podwórko. By umilić sobie czas, pogwizdywałem „Nad pięknym modrym Dunajem” i jednocześnie myślałem o śmiejących i srających wszędzie ludziach.

„W sumie dobrze, że napadało sporo deszczu przez te ostatnie dni, to chociaż zmyło ten smród szczołów i gówna” - pomyślałem, biorąc głęboki oddech. Do chwili, w której nie zostałem sprzątaczem, nawet nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo ludzie śmieją. Już nie mówię o tych porzrzucanych wszędzie psich czy ludzkich gównach przypominających małe wyspy na betonowym oceanie, ale o tym, jak moi sąsiedzi z kamienicy rzucają śmieci pod nogi. Chuje zaropiałe. Przecież oni mieszkają w tym środowisku. Nie można dewastować miejsca,

w którym się żyje.

Teraz wiem, co czuje moja matka, która widzi moje powroty do domu z Czardaszki. Kiedy wracam nachlany wodą, a ona obserwuje, jak rzucam gdziekolwiek swoje spodnie, koszulę, skarpety czy buty i nieumyty z zapitą mordą kładę się spać. Myślę, że w tej sytuacji niczym się nie różnię od tych srających i brudzących podwórka ludzi.

Deszcz całkowicie ustał. Po uporządkowaniu wszystkich posesji wróciłem do domu. Matki nie było. Wszedłem do łazienki umyć ręce, następnie udałem się do swojego pokoju, by zrzucić zakurzone łachy. Przebrałem się w czystą odzież i usiadłem na wersalce.

„Nie chcę być już podobny do tych podwórkowych przyjezdnych zasrańców” – pomyślałem, nonszalancko zaczesując grzywkę.

- Chętnie bym teraz zapalił, tylko nie mam tytoniu, cholera jasna – westchnąłem, sięgając po leżącą na stole fajkę, moją Azję. Tak ją właśnie nazywam. – Moja kochana Azja, bezcenny spadek po dziadku Stasiu – powiedziałem, obracając ją w dłoniach, pieszcząc jak dziecko.

Wszystko, co ma dla człowieka szczególne znaczenie, powinno być nazwane. Rodzi się człowiek, nadają mu imię. Kupuję psa, nazywam go pieszczotliwie. Tego rodzaju akty nadają życiu sens. Określają nas, umiejscawiają w przestrzeni społecznej, towarzyskiej i kulturowej – tak swego czasu mawiał mój dziadek, który także nadawał różnym przedmiotom własne nazwy. Na swoje skrzypce mówił „Pola”. Nie wiem do dziś, dlaczego akurat tak je określał, ale domyślam się, że ukrył w tym instrumencie imię swojej pierwszej miłości. Moja Azja wzięła nazwę od kontynentu, który pragnę odwiedzić, a czego do tej pory mi się nie udało. Paląc fajkę, wyobrażam sobie, że tak właśnie pachnie Azja – pięknym fajkowym dymem. Zapachy zwykle przywołują wspomnienia lub – jak w tym przypadku – są pretekstem do marzeń o dalekiej dzikiej podróży. Włożywszy nos do wydrążonego w fajce otworu na tytoń, zrobiłem głęboki wdech, chcąc chociaż poczuć tkwiący w niej uwodzicielski bukiet wypalonego tytoniu i gruszkowego drzewa, z którego jest wykonana.

Kocham palić fajkę. Jej zapach, oprócz obrazu tajemniczej Azji, przywołuje wspomnienia przeżytych miłych chwil w moim życiu.

Pierwsze pocałunki, wyjazdy nad morze, kółko teatralne, w którym grałem małą rolę dzielnego skrzata, jazda na rowerze, na swym niebieskim Wigry 3, w którym co chwila spadał łańcuch. Miło wspominać. Większość z tych rzeczy robiłem, zanim nauczyłem się palić, ale właśnie w czasie palenia przywołuję owe miłe wydarzenia, bez względu na to, kiedy miały miejsce. Wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie od kilku pokoleń palili lub palą fajkę. Mój dziadek był nawet kolekcjonerem tychże. Ponoć posiadał dokładnie sto trzydzieści pięć różnych ich rodzajów, a każda była wyjątkowa. Moja kochana Azja pochodzi właśnie z jego kolekcji i jest jedyną, jaka po nim pozostała, ponieważ cała reszta zaginęła w tajemniczych okolicznościach zaraz po jego śmierci. To naprawdę dziwne, że nagle, nie wiadomo jak i gdzie, zginęła grubo ponad setka fajek. Ta, którą mam, była nawet ostatnią, którą dziadek palił w życiu, a miało to miejsce podczas jego wizyty w naszym domu, i tu też pozostała. Umarł z dymiącą fajką w ustach, siedząc na ulubionym fotelu mojej matki, tym, na którym ona zasiada do dziś każdego dnia i czyta książki.

Pamiętam moment, w którym umarł. Miałem dwanaście lat. Wszedłem wtedy do salonu i zapytałem dziadka, czy w końcu opowie mi o pogromie kieleckim, którego był naocznym świadkiem. Dziadek wygodnie się rozsiadł, a moja matka przyniosła mu filiżankę z kawą. Upił łyk, z głośników adaptera popłynęły pierwsze takty Chopina i w tym momencie ostatni raz zaciągnął się dymem. Nie zdążył wypowiedzieć już ani słowa. W chwili śmierci wyglądał, jakby pozował Michałowi Aniołowi do *Piety Florenckiej*. Zastygł z głową opartą bezwładnie na lewym ramieniu, zamkniętymi oczami i lewą ręką muskającą prawe kolano. W prawej dłoni wspartej na oparciu fotela dzierżył dymiącą fajkę. Wyglądał naprawdę pięknie, plastycznie i rzeźbiarsko. Takie też było jego całe życie. Gdy zabrał go karawan, moja matka zachowała tę faję na pamiątkę, a ja po jakimś czasie przejąłem ją w spadku i nazwałem „Azja”. To dzieło sztuki. Jej brązowo-czarna główka prostej budowy, aksamitnie gładka w dotyku, ewidentnie jest efektem wieloletniego głaskania dziadkowymi dłońmi. Po prawej stronie cybucha ma wygrawerowane

inicjały SW, od jego imienia i nazwiska – Stanisław Wilk. Po przeciwległej stronie wydłubałem małym dłutkiem swoje imię i nazwisko – Fryderyk Zaruski – oraz datę 26 września 1969: dzień, miesiąc i rok, kiedy to pierwszy raz ją zapaliłem. Miałem wtedy szesnaście lat. W młodym wieku zacząłem przygodę z tym nałogiem, ale to był czas, kiedy wszyscy dookoła mnie bez opamiętania kopcili papierosy. Papierosów nie palę, ponieważ nie lubię okropnego swądu, jaki wydzielają podczas spalania. W towarzystwie moich kolegów w Czardaszcze zawsze gdy zażywam Azji – jak często mawiam, część kumpli chowa swoje papierosy, by ich smrodem nie zbeczczyć wydobywającego się z mej fajki aromatu. Powiem szczerze, że również dostojnie wyglądam, gdy ją pykam. Swego czasu, gdy zacząłem sprzątać podwórka, często ją paliłem, dzierżąc miotłę w dłoni. Jednak zrezygnowałem z tego zwyczaju, gdy jakiś przechodzień powiedział, że gdy tak patrzy na mnie z miotłą w łapskach i fajką w ustach, odnosi wrażenie, że widzi tulipana białego w psie gówno. Fakt, gość miał rację.

Z ckliwych rozmyślań o fajce i jej rodzinnej historii wyrwał mnie dźwięk kluczyka przekręcanego w drzwiach wejściowych do mieszkania. Zerwałem się z wersalki i czym prędzej poszedłem do przedpokoju.

– Widziałem cię, mamó, jak wychodziłaś z kamienicy, gdy sprzątałem podwórko. Czemu uciekłaś na mój widok? – zapytałem.

– Nie uciekłam, tylko musiałam się wrócić, bo miałam wrażenie, że żelazka nie wyłączyłam z kontaktu. Mam coś dla ciebie. – Ze swojej czarnej podręcznej torebki wyjęła paczkę soczystej amfory. – Nie mogę patrzeć, jak się męczysz bez palenia tej fai.

– Kochana jesteś. Poszłaś specjalnie kupić mi tytoń? – Pocałowałem ją w policzek, po czym nie czekając na odpowiedź, poszedłem do swego pokoju zapalić Azję. Ugniatając aromatycznymi liśćmi jej mocno przepalone wnętrza wyglądające jak wewnętrzne ściany wulkanu, uświadomiłem sobie, że moja matka pierwszy raz z własnej woli kupiła mi tytoń. Bardzo mnie zdziwił ten gest, a jednocześnie ucieszył. Żeby się jeszcze czasem uśmiechała, to byłby dla mnie dodatkowy prezent, choć muszę przyznać, że jej wczorajszy płacz był dla mnie radością. Włożyłem

fajkę między zęby.

„Cholera, no i czym ja to podpale?” - pomyślałem, obmacując kieszenie spodni.

- Masz. - Usłyszałem zza pleców. Odwróciłem się do drzwi i zobaczyłem matkę z wyciągniętą w moją stronę paczką zapalek z wizerunkiem biegnącego czarnego kotka.

- Czytasz mi w myślach - oznajmiłem, uśmiechając się serdecznie.

- Pomyślałam, że skoro kupiłam ci tytoń, to wypadało do niego wziąć zapalaki. Taki odruch.

- To tak, jak kupujesz chleb i odruchowo prosisz masło? - zażartowałem.

- Można tak powiedzieć, poza tym nie będziesz mi zabierał zapalek z kuchni. Nigdy nie mam czym podpalić gazu w kuchence - oświadczyła, odwróciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

- Dziękuję! - krzyknąłem.

Gdy zniknęła sprzed mych oczu, rozpocząłem proces podpalania liści tytoniu. Wsadziłem ustnik Azji między zęby, lekko zaciskając na nim wargi. Zapalką przeciągnąłem po bocznej ściance pudełka. W jednej chwili usłyszałem kojący szelest tarcia porowatej główki o draskę, a następnie poczułem diaboliczny zapach spalanej siarki. Niby zwykła czynność, a miałem wrażenie, że rozpoczynam jakiś nikczemny rytuał, w którym za chwilę niewinna postać poniesie śmierć na stosie. Odczekałem chwilę, aż ogień ogarnie drewniany patyczek. Gdy byłem pewny, że zapalka nie zgaśnie, delikatnie, z sadystyczną rozkoszą w oczach, przystawiłem ją do tytoniu - mej ofiary. Finezyjnymi ruchami dłoni krążyłem dzierzoną w palcach zapalką po ściankach fajki, kierując powoli żar w stronę jej środka, tak by stopniowo, równomiernie zadawać tytoniowi ból, zmuszając do oddania mi swego aromatu. Upewniwszy się, że liście wchłonęły ogień, odstawiłem zapalkę. Syknąłem z podniecenia. Poczulem sporą dawkę piekielnego dymu w ustach i ulgę w głowie. Oddałem się błogiemu relaksowi. Usiadłem na wersalce. Zapach siarki ciągle wędrował po zakamarkach nosa. Aromat palonego tytoniu, zgodnie z moim żądaniem, poczułem w powietrzu krążącym wokół mnie.

- Mam cię. Długo na ciebie czekałem, a teraz mi służ! - powiedziałem, upajając się jego poddaństwem. Zrelaksowany, uszczęśliwiony i spełniony, zapragnąłem przyjrzeć się ponownie tajemniczej fotografii. Odruchowo sięgnąłem na stolik, w miejsce, gdzie zostawiłem ją rano po śniadaniu. Moja dłoń nie wyczuła jednak niczego poza koronkowym obrusem pokrywającym matowy blat. - Gdzież to zdjęcie? - powiedziałem półszepem do siebie, rozglądając się wokół. Fotografii nie było. - Mamo! Zabrałaś stąd to twoje zdjęcie? - krzyknąłem w przestrzeń mieszkania. Cisza. - Mamo, jesteś tam? - zapytałem podniesionym głosem. Znowu cisza. Zerwałem się z wersalki i poszedłem do kuchni. Matki nie było. Wszedłem do jej pokoju, salonu, nawet łazienki. - A gdzież ją posiało? - Zaciągnąłem się dymem z fajki. Ze zdenerwowania nawet nie czułem smaku palonego tytoniu. - Cała rozkosz psu w dupę! - krzyknąłem. Zacząłem krążyć po mieszkaniu, jeszcze raz zaglądając do każdego pomieszczenia. - No nie ma jej! Nawet nie słyszałem, jak wychodzi. Ale że nie powiedziała, że gdzieś idzie? - mocno się zdziwiłem. Czarne bezokie ryby przepłynęły mi pod czaszką. - Boże, może coś się stało? Zawsze mówi, jak gdzieś wychodzi. - Wyjrzałem na klatkę schodową. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz, co tym bardziej wzbudziło mój niepokój. Matka zawsze zamyka na zamek drzwi, nawet jak jestem w mieszkaniu. Wpadłem w panikę, chodziłem z kąta w kąt jak obłąkany. Nawet odechciało mi się palić. W przedpokoju odruchowo chwyciłem w dłoń słuchawkę leżącego na małej szafce telefonu. Przytrzymałem ją przy uchu kilka chwil, wsłuchując się w długi nierównomierny stłumiony dźwięk oznaczający gotowość aparatu do wykonania połączenia. No ale do kogo mam zadzwonić? Czarne myśli jak fusy kawy i bezokie ryby krążyły mi po głowie. Może zgłoszę zaginięcie na policję? Włożyłem palec w dziurkę z cyfrą dziewięć, po czym zatoczyłem prawie całe koło, skrobiąc paznokciem po tarczy w kolorze brudnego kremu, aż poczułem opór na wystającej z aparatu śmiesznie wygiętej blaszce. Wykręciłem kolejne dwie cyfry, cierpliwie czekając każdorazowo na powrót okrągłej tarczy z numerkami do pierwotnego położenia. Po wykręceniu siódemki

natychmiast odłożyłem słuchawkę na widełki. – Nie, nie będę panikować. Tylko spokojnie. – Bezokie czarne ryby powoli wypływały z mej głowy. Poszedłem do salonu i zasiadłem w ulubionym fotelu matki. Poczulem pozostawione po niej ciepło. Miałem nadzieję, że może tyłkiem pochłonę jej myśli. Gdzie jest? Co robi? W takiej sytuacji człowiek chwyta się wszystkiego. „Popierdoliło mnie!” – pomyślałem, pociągając dym z fajki mocno do płuc, starając się wyciszyć organizm. – Jednak naprawdę się martwię tym, że wyszła, nie mówiąc, gdzie idzie. Co się stało z tym zdjęciem? Co się tu dzieje, do kurwy nędzy?! – powiedziałem, zaglądając w żarzący się w fajce tytoń.

– Nie przeklinaj przy matce. – Usłyszałem.

– Gdzie byłaś?! Szukałem cię w całym mieszkaniu, chciałem nawet zgłosić twoje zaginięcie na policję! – wrzasnąłem, zrywając się z fotela

– Oszalałeś? Musiałam na chwilę wyjść do sklepu. Masło się skończyło. Zająłeś się paleniem, więc nie chciałam ci przeszkadzać – oświadczyła spokojnym głosem, wystawiając mi przed oczy kostkę masła śmietankowego z nadrukiem niebieskiej i czerwonej krowy na opakowaniu, po czym poszła do kuchni.

Nasłuchiwałem, jak otwiera, a po chwili zamyka drzwi lodówki.

– Wystraszyłem się. Nie wiedziałem, co się z tobą stało. Wychodząc, nawet nie zamknęłaś drzwi na klucz! – krzyknąłem. Czułem, że me słowa po odbiciu się od mebli i ścian lecą jak wrony przez całe mieszkanie, wpadając wprost do uszu matki.

Po chwili wróciła do pokoju.

– Co, boisz się, że cię zostawię i pójdę w świat?

Nie odpowiedziałem.

Duńcia podeszła do okna sprawdzić, czy kwiaty w doniczce mają wystarczającą wilgoć. Dłuższą chwilę milczeliśmy. Uspokoilem się.

– Nie wiesz, mam, gdzie jest ta twoja tajemnicza fotografia? Rano, po śniadaniu zostawiłem ją na stoliku w swoim pokoju. Nie ma jej tam – oznajmiłem, przerywając ciszę.

– Zabrałam ją i schowałam. Miałeś naprawić mi szkatułkę.

– Naprawię. Ale dlaczego schowałaś to zdjęcie? Chciałem je sobie

jeszcze raz na spokojnie obejrzeć.

- Już chyba ci wystarczy. Jeszcze chwila i zacznę się o ciebie bać, synku. Widzisz jakieś osoby, których nie ma, niebieskie wrony, niedługo zaczniesz słyszeć głosy z zaświatów. Poza tym mam złe wspomnienia związane z tą fotografią.

- To po co w ogóle ją trzymasz? Skoro ci się źle kojarzy, trzeba było się jej pozbyć.

- To nie takie łatwe, syneczku - powiedziała bardzo zmęczonym głosem, który sprawiał wrażenie wyłowionego z podeszczowego błota.

- Powiesz mi w końcu, co się stało? Dlaczego pokłóciłaś się z rodzicami Ani? Jeśli nawet to było z twojej winy, to się nie wstydz. Wyżal się synowi. Ludzie popełniają czasem w życiu błędy.

Matka słuchała mych słów w zamyśleniu. Przeciągnęła dłonią po liściach kwiatów na parapecie. „Chyba obrzuciłem ją dodatkową błotną breją, namawiając do przywrócenia złych wspomnień” - pomyślałem.

- Nieważne. Było, minęło. Mówiłam, że kiedyś ci o tym powiem, ale jeszcze nie teraz.

Nie nalegałem. Błoto spływało z niej małymi kroplami, kończąc swój błotnisty żywot na podłodze. W oczach znowu miała pustkę. Stała przy parapecie i patrząc w jeden punkt, cały czas głaskała liście kwiatów. Ja paliłem, ona głaskała - scena jak kadr z filmu kręconego w domu wariatów. Para chorych psychicznie ludzi próbuje rozwikłać tajemnicę leżącej z kranu wody.

Wypaliłem tytoń do końca, nie wypowiadając już ani słowa. Tego też dnia nie poszedłem do Czardaszki. Poczułem wewnętrzny wstyd przed samym sobą, a przede wszystkim przed matką - ogromny wstyd, że wracam każdego dnia pijany. Poza tym kupiła mi tytoń, prezent, na który zupełnie nie zasłużyłem. Resztę dnia wykorzystałem na naprawę szkatułki i bezsensowne gapienie się w telewizor, później położyłem swe trzydziestoparoletnie ciało spać, mając wrażenie, że układam do snu staruszkę usranego po pępek z roztartym gównem na plecach. Matka czytała do późna.

Niebieska wrona w ludzkiej postaci zapukała w okienną szybę mego pokoju.

- Otworzysz mi? - zapytała.

Otworzyłem bez wahania.

- A gdzie reszta wron? Przecież było was sześć.

Weszła. Nie wleciała jak ptak, machając skrzydłami, tylko właśnie weszła, tupiąc małymi wronimi nóżkami po parapecie. Wyglądała jak wąsaty facet chodzący na szrudłach, ubrany w pierzasty niebieski płaszcz. Nagle zrobiła się duża. Przybrała rozmiar dorosłego człowieka. Duża niebieska wrona o ludzkiej męskiej twarzy z podkreślonym wąsem. Mocne światło słońca znowu ogarniało przestrzeń za oknem, jednak tym razem jego promienie przebiły się przez szybę i wtargnęły do pokoju. Nie było czarnej pustki za moimi plecami. Poczułem ulgę. Wrona zasiadła na pokrytej kocem wersalce i poprosiła o kieliszek brandy.

- To wrony pijają brandy? - zapytałem zaskoczony.

- Co w tym dziwnego? Zawsze lubiłem brandy.

- Ale ja nie mam w domu żadnego alkoholu. Najczęściej chadzam pić wódkę do knajpy. Moja matka nie toleruje, gdy piję w mieszkaniu. Mogę ci zaparzyć kawę lub herbatę.

- Poproszę jednak brandy.

Schyliłem się pod łóżko i wyjąłem spod niego butelkę.

- Nie wiem, skąd ten alkohol się tu wziął - oznajmiłem, nalewając go do kieliszka, który również nie wiadomo skąd znalazł się na stole.

- Sobie też nalej - oznajmiła niebieska wrona, wskazując opierzonym palcem drugi kieliszek. - To może być długa i interesująca rozmowa, między innymi o twojej matce - powiedziała tajemniczo. - Ciekawe rozmowy lubią towarzystwo alkoholu - dodała z pewnością w głosie, ugniatając wąsa.

Nalałem sobie brandy. Upiłem łyk.

- Dobry trunek. Nie pijam brandy, wolę wódkę.

- Ja uwielbiam brandy.

- Co zatem ma mi do powiedzenia o mojej matce niebieska wrona lubiąca brandy? Nigdy nie spotkałem wrony w ludzkiej postaci, która lubi

alkohol – oświadczyłem, oczekując logicznego wytłumaczenia.

Wrona upiła łyk trunku.

– A słyszałeś, żeby kogoś zabijać i delektować się jednocześnie smakiem tortu i słuchać przy tym muzyki?

– Cóż za przerażające pytanie?

– Są takie pytania. Jednak zanim przejdę do sedna, to ci powiem, że zawsze gdy spotykałem się z twoimi rodzicami na brydżu, pijaliśmy właśnie brandy.

– Znasz moich rodziców?

– Tak, jestem twoim wujem Edwardem.

– Tym z fotografii?

– Tak.

– Ale przecież ty nie żyjesz.

– Wiem, ale mam prawo napić się brandy.

– Rzeczywiście wuj Edward. Nie poznałem cię w pierwszej chwili. Na zdjęciu wyglądasz zupełnie inaczej, taki ogolony, poza tym w garniturze i bez wąsów. Zapaściłeś wąsy?

– Owszem. Po tej drugiej, tajemniczej stronie zdjęcia możesz zapuścić wąsy, możesz je zgolić, nawet nie musisz prać skarpet, choć nikt ci nie broni ich uprać. Ja zapuściłem wąsy – rzekł dumnie.

– Wiedziałem, że skądś cię znam. Nigdy nie słyszałem twojego głosu. Dlaczego jesteś niebieską wroną w ludzkiej postaci? – zapytałem, bacznie mu się przyglądając.

– Myślę, że powinieneś o czymś wiedzieć, choć po części już ci powiedziałem, w czym rzecz – oznajmił niebieski wuj Edek.

– Nie będzie ci przeszkadzało, gdy zapalę fajkę? – zapytałem. Poczułem w żyłach moc alkoholu. – Lubię palić – oświadczyłem.

– Pal. Lubisz palić fajkę. Ja lubię brandy.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Niebieski wuj Edward popijał brandy, ja nabijałem Azję tytoniem.

– Musimy poważnie porozmawiać o tym, dlaczego właściwie tu jestem – oznajmił, robiąc ponownie wstęp do dyskusji.

– No właśnie. Chyba nie z powodu pochwalenia się wąsem, złożenia

mi propozycji gry w brydża i chęci wypicia brandy? – zapytałem, ubijając tytoń palcem.

- To by było akurat przyjemne – oznajmił Edek. Znowu upił łyk alkoholu. – Jak wspominałem, dziwnie wygląda sytuacja, kiedy kogoś zabijasz i zajadasz się w tym czasie tortem i słuchasz muzyki. Twoja matka to... – zaczął myśleć, gdy nagle przez okno do pokoju wbiegła czerwona wrona. Tak, wpadła mała czerwona wrona we wroniej postaci – nie ludzkiej, jak Edek, tylko wronia wrona o wronim wyglądzie – i zaczęła wrzeszczeć na mego towarzysza rozmowy:

- Wynocha stąd! Myślałeś, że jak zapuścisz węża, to cię nie rozpoznam?

- Chciałem napić się brandy. Wiesz, że lubię brandy, a ty...

- Wynocha!

Wuj Edward odstawił kieliszek na stół, przeprosił mnie i po chwili obie wrony wyszły przez okno i odfrunęły.

Patrzyłem, jak odlatują i znikają między drzewami. Pogłaskałem liście kwiatów na parapecie, podobnie jak robi to moja matka. Czułem pod palcami ich delikatność. Teraz wiem, dlaczego ona tak lubi kwiaty. Wrażliwi ludzie kochają kwiaty. Nigdy nie lubiłem kwiatów. Dopilem pozostawione po Edku resztki brandy. Gdy chciałem podpalić w fajce liście tytoniu, na parapecie pojawił się ponownie niebieski wuj.

- Co ty tu znowu robisz? Chcesz dopić brandy? Za późno. Niestety już je po tobie wypilem.

- Szybko, chodź ze mną, to coś ci pokażę, bo widzę, że sprawa będzie bardziej skomplikowana niż sądziłem. Zostaw tę fajkę. Pośpiesz się, bo ona znowu za chwilę może tu przylecieć. Ledwo udało mi się jej pozbyć. Wiesz, po drugiej stronie zdjęcia możesz zapuścić węża, jednak pamiętaj, że na samym zdjęciu go nie masz.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że po śmierci zostawiasz w świecie żywych trwałe ślady, na przykład w formie pamiątki, jakim jest fotografia lub złoty zegarek, i pozostaniesz w pamięci innych właśnie taki – ogolony, w pięknym garniturze z rolexem na nadgarstku i bezpieczny. Jednak tam, gdzie

jestem, życie toczy się dalej swoim torem i tak samo trzeba się pilnować - oznajmił tajemniczo Edek, przełknął ślinę i mówił dalej: - Życie zmarłego nie jest usłane płatkami polnych kwiatów, jak by się komuś mogło wydawać. Tam ci rolex niepotrzebny, garnitur też nie ma znaczenia, dlatego jesteś, kim chcesz, ale pamiętaj, że umierając, zostawiasz niedokończone sprawy, czasem bolesne, swą naiwność, i wiesz, że realnie nic już z tym nie zrobisz. Jednak pozostają żywi, tacy jak ty, których my, zmarli, mamy moralny obowiązek ostrzec lub coś wyjaśnić. Ale teraz nie mamy czasu, by o tym mówić.

- Nic z tego nie rozumiem - oznajmiłem, patrząc na niego oczami pełnymi przerażenia.

- Dlatego teraz leć ze mną, zrozumiesz - oznajmił, po czym złapał mnie za rękę.

- Dokąd mnie zabierasz?

Nie odpowiedział. Frunęliśmy nad miastem. Kielce pięknie wyglądają z lotu ptaka. Lecieliśmy nad Rynkiem w kierunku Silnicy, później wzdłuż rzeki nad park Żeromskiego. Po chwili zatrzymaliśmy się w powietrzu na wysokości Domu Praczek. Tkwiliśmy wysoko w górze, spoglądając na to, co dzieje się pod nami.

- Z dołu musimy komicznie wyglądać, nie sądzisz? Wyleciałem z wujem ptakiem na spacer jak moja sąsiadka z psem na siku - powiedziałem, chichocząc.

- Widzisz tego faceta w kapeluszu, tam na chodniku? - zapytał Edek.

Rzeczywiście stał pod nami jakiś mężczyzna w kapeluszu i zniecierpliwiony rozglądał się dookoła. Nie widział nas. Nagle wszedł do budki telefonicznej. Po niedługiej chwili wyszedł, odwrócił się w prawo i uchylił kapelusza. Nie zdążyłem dostrzec jego twarzy. Wyglądało to tak, jakby dawał komuś sygnał. Podążyłem wzrokiem za jego gestem. W oddali zauważyłem moją matkę, która machała białą chusteczką w kierunku tego faceta w kapeluszu. Też nas nie widziała. Po chwili on podszedł do matki, ona coś mu powiedziała, on jej coś podał i w ułamku sekundy zniknęli, jakby rozplynęli się w powietrzu.

- Kim jest ten facet w kapeluszu? - zapytałem, wskazując go palcem.

Edek nie zdążył odpowiedzieć. Obudziłem się. Poczułem, że od głowy do stóp jestem pokryty lepkiem potem. Spojrzałem za okno. Było jeszcze ciemno. Chwyciłem zegarek leżący na stoliku. Smętny blask ulicznych latarni wpadający do mojego pokoju oświetlił jego tarczę. Druga

zero siedem. Usiadłem na łóżku i zaświeciłem nocną lampkę. Chwyciłem za fajkę. Nabiłem ją tytoniem. Nigdy nie paliłem o tej godzinie w mieszkaniu. Jednak przerażający sen mnie rozbudził i poczułem potrzebę palenia. Dym powoli uspokajał mój umysł.

O co chodzi z tymi wronami? Wuj Edward niebieską wroną pijącą brandy. Co chciał powiedzieć o mojej matce? Ja fruwać nad miastem. Dziwne ptaszyska? Niebieskie, czerwone. Z tego, co wiem, to wszystkie wrony są czarne. Tajemniczy gość w kapeluszu rozmawiający z moją matką! Czułem w głowie totalny chaos.

- No tak, skoro moja Duńcia mogła we śnie być żarówką od lampki nocnej... - powiedziałem do siebie szeptem, posyłając kłęby dymu w kierunku okna. Zgasilem lampkę nad głową. - Fajnie pstryka. Wydaje dźwięk, jakby ktoś łamał sobie paznokciec lub kruszył suchy patyk. - Kąciki ust powędrowały lekko ku górze. Zasiadłem na skraju wersalki z dymiącą Azją w dłoni. - Popierdolone mam te sny. - Rozmyślając tej nocy, wypaliłem trzy nabicia fajki. Nie spałem już do rana.

Gdy świt przebijał się przez zaslonę znikającej nocy, podniosłem się z łóżka i poszedłem do kuchni. Za stołem siedziała matka, a przed nią przygotowane dwie filiżanki gorącego aromatycznego trunku.

- To dla mnie? - zapytałem zaskoczony.

- Dlaczego jesteś zdziwiony? Co rano parzę ci kawę.

- Myślałem, że śpisz. Dopiero piąta dwanaście. Zazwyczaj pijamy troszkę później - oznajmiłem, spoglądając na kuchenny zegar wiszący na ścianie.

- Nie mogłam spać. Poza tym obudził mnie zapach dymu z tej twojej fajki. Nigdy nie paliłeś w nocy.

- Przepraszam, mamó. Obudziłem się kilka minut po drugiej i nie mogłem już zasnąć.

- Wiesz co, synku? Doszłam do wniosku, że ten dym zupełnie inaczej

odczuwam w ciągu dnia. Nocą jest bardzo drażniący.

- Przepraszam, ale znowu śniły mi się jakieś głupoty - powiedziałem, upijając łyk kawy. - Widzę, że posłodziłaś i dodałaś mleczko, tak jak lubię.

- Znam trochę twoje upodobania, więc się nie dziw, że wiem, jaką lubisz pić kawę.

- Znowu śniły mi się te wrony.

- O której idziesz sprzątać? - wyraźnie próbowała omijać ten temat.

- Nie wiem, jak się trochę ogarnę. Ale teraz muszę ci opowiedzieć ten sen. Coś okropnego. Słuchaj.

Matka ciężko westchnęła.

- Weszła mi do pokoju niebieska wrona i poprosiła o kieliszek brandy. Wyobrażasz sobie? Wrona lubiąca pić brandy. Powiedziała, że zna ciebie i ojca i że zawsze jak graliście w brydza, pijaliście brandy. Wiesz, kim okazało się to niebieskie ptaszysko? To był wuj Edward, ten z fotografii. Tak, był niebieską wroną w ludzkiej postaci. Powiedział, że ma mi coś ważnego do powiedzenia. Gdy zbierało mu się na zwierzenia, przyleciała po niego jakaś inna, czerwona wrona, zrobiła mu awanturę i razem odfrunęli.

- Mówiłam, że sny są dziwne.

- Ale słuchaj dalej. Ta niebieska wrona, to znaczy wuj Edward, po chwili wrócił po mnie sam i zabrał na przelot nad miastem, od naszego domu w kierunku parku, nad którym się zatrzymaliśmy. Tam, pod nami, wuj pokazał mi jakiegoś faceta w kapeluszu, który wszedł do budki telefonicznej, a po chwili z niej wyszedł, po czym uchylił z głowy kapelusz w twoją stronę, a ty machałaś białą chusteczką, dając znak, że go widzisz. Podeszliście do siebie, coś mu powiedziałaś, on ci coś dał i nagle zniknęliście. Tak, śniłaś mi się.

Matka z uwagą słuchała mojej opowieści, popijając kawę. Znowu spojrzałem do wnętrza jej filiżanki. Czarny płyn wypełniał do połowy porcelanowe naczynko.

„Ciekawe, co tym razem pokażą fusy na jego dnie, jak matka dopije kawę” - pomyślałem.

- Niepokojące mam te sny od dwóch dni. Myślisz, mamo, że te koszmary to objaw jakiejś choroby? Może to skutki uboczne picia alkoholu? Widzisz, ja już nawet we śnie chlam to świństwo, w dodatku z niebieską wroną będącą moim martwym wujem. Tylko zastanawia mnie jedna rzecz - wuj, to znaczy ta wrona, chciał mi powiedzieć też coś o tobie. Początkowo sądziłem, że te niebieskie ptaszyska naprawdę przyszły w trosce o mnie. Ale Edward wyraźnie skierował moją uwagę na jakiegoś faceta w kapeluszu i ciebie. Co wy macie z tym wspólnego?

- Oj synku, synku. To tylko sny, a ty je bierzesz na poważnie. Zachowujesz się jak małe dziecko. Rzeczywiście najwyższy czas, żebyś się ogarnął - oświadczyła z politowaniem, patrząc w kierunku okna, po czym chwyciła za filiżankę i jednym haustem wlała w gardło jej zawartość.

Spojrzałem na chudą szyję Duńci. Ruchy krtani pokazały, jak kawa przepływa z ust do wnętrza mojej matki. Poczulem mrowienie w głowie.

- Może faktycznie te wrony dają ci znak, żebyś przestał pić wódkę i zmienił swoje życie - powiedziała z troską. - Umyj się, ogól, ja przyszykuję śniadanie.

- Ale co on chciał mi powiedzieć o tobie?

- Mówiłam, że sny są dziwne i naprawdę daj z tym spokój - skwitowała.

Popijając kawę, patrzyłem, jak matka krząta się po kuchni. Wyjęła wędlinę i masło z lodówki, chleb z blaszanego chlebaka otwieranego jak przyłbica, postawiła na kuchence garnek do gotowania parówek. Odruchowo zanurzyłem wzrok we wnętrzu matki filiżanki. Czarne fusy kawy pokryły część jej ścianki w miejscu, którym dopijała ostatni łyk, tworząc wzór uśpionego wulkanu. Miałem wrażenie, że smolista maź za chwilę się obudzi i wystrzeli z dna porcelanowego naczynka prosto w moje oczy. Wziąłem tę filiżankę w dłonie i zacząłem się jej przyglądać. Spostrzegłem, że na zewnętrznej ściance oprócz odcisku ust były brunatne zacieki. Wulkan wypuścił niepostrzeżenie poza swe krawędzie małą cząstkę lawy. Powoli się otwiera? Odwróć wzrok i wybuchnie, aż smoła pokryje całą okolicę. Trzymając w palcach filiżankę matki,

chwyciłem swoją, dopiłem resztki kawy, po czym szybko spojrzałem w jej dno. Obie wyglądały podobnie.

- Co ty robisz? - Usłyszałem zdziwiony głos Duńci.

- Patrzą, czy fusy w naszych filiżankach układają się w ten sam wzór. Może zajmę się wróżbiarstwem? To dziś ponoć bardzo modne. Poza tym, jak wiesz, lubię zaglądać ludziom w dusze. Ostatnio w Czardaszce kolega mi opowiadał, jak jakaś babka odkryła w ten sposób tajemnicę jego ojca. Ta kobieta, patrząc mu w oczy, zajrzała w duszę i odkryła, że facet przez wiele lat ukrywał się pod innym nazwiskiem.

- Wiesz co, przy wódce człowiek widzi nawet fruujące antylopy, więc radzę ci wziąć się w końcu za siebie i myśleć racjonalnie. Miałeś iść do roboty - oznajmiła z delikatnością drwała rąbiącego drzewo, po czym wzięła mi z ręki obie filiżanki i odstawiła do zlewu.

- Może i masz rację. Ale ten sen z wronami cały czas łązi mi po głowie. Wiesz co? W snach musi być jakaś prawda. Też ci tego nie mówiłem, ale niedawno śniło mi się, że odnalazłem zagubiony portfel kumpla. Powiedziałem mu o tym, a ten z ciekawości sprawdził i się okazało, że rzeczywiście ten portfel był w tym miejscu, w którym mi się przyśniło, że go zgubił. I co ty na to?

- Przypadek, synku. A teraz naprawdę radzę ci: zejdź na ziemię z tymi swoimi myślami. Ogarnij się, umyj, zjedz i idź sprzątać - skwitowała.

Bez słowa komentarza wstałem od stołu. Poszedłem do łazienki. Wykąpałem się, umyłem włosy, zgoliłem zarost z twarzy, obciąłem paznokcie u dłoni i stóp. Doprowadziłem się do porządku. Spojrzałem w lustro. Rzeczywiście inny facet. Nawet jako podwórkowy sprzątac powinienem wyglądać porządnie. Założyłem czystą koszulę, spodnie i nawet buty wyczyściłem. Wyglądałem naprawdę schludnie. Zaraz po śniadaniu, wcześniej niż zwykle, wyszedłem sprzątać.

- Co tak z samiotkiego rana pana zebrało do roboty, panie Frycku? - Usłyszałem głos sąsiadki, która jak zwykle wyprowadziła Barego na kupkę.

- Dzień dobry, pani Celciu. Tak jakoś. Spać nie mogłem w nocy,

wcześnie wstałem. Posprzątam i będę mieć to z głowy.

- Postanowiłam, że będę wychodzić z Barym na ulicę, żeby znowu podwórka nie zapaskudził.

- Naprawdę to nie problem - oznajmiłem z uśmiechem.

- Naprawili wam już telefon? - zapytała sąsiadka.

- Dlaczego ktoś miałby nam naprawiać telefon?

- No jak? Wczoraj dosłownie wpadłam na pana matkę, gdy wychodziła z budki telefonicznej, tej tu za rogiem. Zamieniłyśmy nawet w biegu kilka słów. Śpieszyła się. Była zdenerwowana.

- Ona zdenerwowana w publicznym miejscu? - zdziwiłem się.

- Tak, wyglądała, jakby naprawdę coś złego się stało. Zdążyła powiedzieć, że telefon wam się zepsuł i musiała koniecznie zadzwonić.

- Nie, wszystko z nim w porządku. Wczoraj nawet chciałem zadzwonić i jak przystawiłem słuchawkę do ucha, to był normalny sygnał - oznajmiłem, pociągając miotłą po podwórku, jakbym chciał uratować spod stóp przykryte kurzem myśli. - Pamięta pani, o której to było godzinie?

- Tak jakoś przed południem. Zmykam, panie Frycku, bo on znowu tu zaraz napaskudzi - oznajmiła sąsiadka i wyszła z Barym na ulicę.

W czasie sprzątanía zastanawiałem się, dlaczego matka dzwoniła z budki telefonicznej. Tak, to ewidentnie było w tym czasie, kiedy poszła po masło. Co się mogło stać? Ja nigdy nie zrozumieć kobiet. Telefon w domu, a ta dzwoni z miasta. Moja była żona też czasem się dziwnie i niezrozumiale dla mnie zachowywała. Pamiętam, jak miała do mnie pretensje, że nie kupuję jej ot tak, spontanicznie, kwiatów. No to pewnego razu ofiarowałem jej bukiet pięknych róż, więc zaczęła mnie podejrzewać, że pewnie mam jakąś kobietę na boku, a ten marny wiecheć to dla zmylenia przeciwnika i uspokojenia sumienia. Dobrze, że jestem sam, bez kobiety u boku. Teraz to doceniam. Nikt mi nie gdać, o której godzinie mam wstać z łóżka, ani nie ciśnie, żeby więcej zarabiał. Zwłaszcza to drugie. Wiem, jaki los mają moi znajomi, sąsiedzi i koledzy. Żony dręczą ich, żeby przynosili dużo pieniędzy do domu, a ci idioci harują od rana do nocy, by temu sprostać. Same nie wezmą się do

roboty, tłumacząc, że mają dzieci i dom na głowie.

- Jak idzie sprzątanie? - ponownie zaczęła mnie pani Celina wracająca z Barym ze spaceru.

- Jak zawsze. Ale właśnie myślałem sobie o tym, jak dobrze mi bez żony. Dobrze, że Ala ode mnie odeszła.

- A cóż za głupoty pan opowiada? Kobieta jest potrzebna mężczyźnie jak słońce kwiatom - oznajmiła z oburzeniem, choć bardzo poetycko. - Mój stary by beze mnie zginął. Postawny z niego facet, ale w pojedynkę bezradny jak dziecko. Kiedyś musiałam wyjechać na dwa dni. Po powrocie mało mnie w stopy nie całował. Dobrze, że ma pan matkę, to i pranie robi, i obiad ugotuje. Ale to powinna robić żona. Znalazłby pan sobie jakąś fajną kobitkę. Jest pan jeszcze młody i atrakcyjny.

- Rozleniwiłem się, pani Celinko. Poza tym jak sobie pomyślę, żeby mnie jakaś ganiała do zarabiania pieniędzy, to mi się kobiet odechciewa. Nawet zakład zamknąłem i uciekam od tego wszystkiego. Widzi pani, co się teraz wyprawia. Ludziska wpadli w sidła polskiego kapitalizmu nowych czasów. Wykorzystują to gospodarcze zamieszanie. Niektórzy porzucili swoje profesje, pochowali dyplomy do szuflad i zabrali się za handel. Rozmawialiśmy kiedyś o tym, pamięta pani? Wszyscy teraz zaharowują się na śmierć. Kasa i kasa. Handlują, czym się da. Dziś kupi pani wszystko, od majtek po szkliwo. Niedawno kupowałem parówki sprzedawane przez jakiegoś przepoconego faceta z ogromnymi bokobrodami prosto z bagażnika dużego fiata. Mój kolega po geografii przemyca skądś lisie futra w konserwach. Istne szaleństwo, ale z drugiej strony trudno się dziwić. Nie tak dawno tylko w peweksach można było nabyć jakąś ekstra ekskluzywną rzecz.

- No i w komisach i z przemytu z Niemiec czy Turcji - dodała Celcia.

- Racja. Pamiętam, jak chodziłem do peweksu, żeby zobaczyć na własne oczy prawdziwe wranglery z prawdziwego džinsu i zapamiętać ich krój i fason. Próbowałem to nawet odtworzyć i proponować swoim klientom. Wie pani, szybko się okazało, że wykonanie tego rodzaju spodni sprawdza się tylko z wykorzystaniem prawdziwego džinsu. Materiału pani nie oszuka, a co dopiero człowieka. Zwykły bistor nie

nadawał się do tego zupełnie. To tak, jakby pani usmażyła mężowi kotlet ziemniaczany i próbowała mu wmówić, że to soczysty schabowy z kostką.

- Racja, panie Frycku.

- Dziś konkurencją dla peweksu są właśnie ci srający po podwórkach uliczni handlarze, a wranglery stały się dostępne dla każdego. Pamięta pani tamte, w sumie jeszcze nie tak dawne, czasy. Te długie ogonki po chleb i mięso na kartki. Chyba że to z lewego uboju od baby spod płaszcz. Było ciężko.

- Ale z tego, co wiem, to u was w domu nie było najgorzej - skwitowała Celina.

- Owszem. Pod tym względem mieliśmy nawet dobrze. Różnie bywało, ale nie narzekaliśmy. Jak pani wie, matka dużo koncertowała i nieźle przy tym zarabiała. Podróżowała za granicę i zawsze przywoziła rzeczy, których tu nie było. Buty, mydełka, czekolady, alkohol, nawet papier toaletowy. Ojciec też sporo dorzucał na moje utrzymanie, gdy nas opuścił.

- Tak, dziś możemy się pośmiać, ale sama nosiłam korale z rolek tego szarego papieru toaletowego. Paradowałam z tym dumnie przez miasto, jakbym rodowy klejnot na szyi miała. Zazdrość i ciekawość ludzi wzbudzałam. „A gdzież pani to dostała?” - pytali. Dziś wszystko już można kupić bez problemu. Byle tylko ta kasa była. My ze starym jakoś wiążemy koniec z końcem. Dobrze, że moje dzieci poszły na swoje, to nam lżej. Chociaż nie ukrywam, mój Zenek łapie dodatkowe fuchy na mieście, to i ekstra gotóweczka wpada na jakieś frykasy. Teraz dużo ludzi tak robi. Chociaż panu powiem w tajemnicy, że mam ukryty przed moim starym niezły grosz - z zacięciem w głosie oznajmiła sąsiadka, spoglądając na Barego leniwie krzątającego się po podwórku.

- Powiem pani coś. Niektórzy moi kumple z Czardaszki podobnie jak ja postanowili nie wpadać w wir zarabiania pieniędzy za wszelką cenę. Żyją z dorywczej pracy. Jedni podają cegły na budowach, inni przerzucają pudła z towarem na bazarze. Jedynie w takiego Grzesia - porządny z niego chłopak - wstąpił duch kapitalisty. Kilka razy w tygodniu rozkłada przy ulicy łóżko polowe i z niego handluje. To wyrko

to stary przechodzony grat na aluminiowym stelażu, z kolorowym obszarpanym materiałem. Strach by było na nim leżeć, ale jako sklepowa lada jest idealny. Sprzedaje jednorazowe pieluszki, które ktoś mu dostarcza z Niemiec raz w tygodniu. Handel kwitnie i biznes się kręci, powiada i kasę przelicza. Skupuje też dolary i składa do skarpety. Niedawno mało nie płakał, bo go cinkciarze przerobili. Wałek mu podsunęli. No wie pani, rolka pociętych gazet zawinięta w dolara. Stracił ładny grosz.

- Chyba wiem, który to, on ma cały czas katar, bo nosem zaciąga - próbowała skojarzyć Grzesia Celinka.

- Nie, to z innym musiała pani pomylić. Ale nieważne.

- Pan nie myślał do nich dołączyć?

- Ja nie mam smykałki do handlu. Ale szczerze pani powiem, gdybym sprzedał choć część antyków z kolekcji mojej matki, byłbym ustawiony do końca życia albo i dalej. Do takich towarów nie trzeba rozkładać leżaka na deptaku, tu wystarczy jeden dobry znawca antyków. Jednak póki co wolę żyć tak, jak żyję. Patrzę z boku na bogacące się z dnia na dzień społeczeństwo. Dobrze mi z tym. Może kiedyś wrócę do zawodu.

- Nie ciągnie pana? To już z pół roku minęło.

- Nie, jeszcze odczekam. Niech się to wszystko ustabilizuje, a ja odpocznę. Na razie wszyscy są pochłonięci zarabianiem pieniędzy. Jak się poczują bogaci, to będą mieć potrzebę ładnie wyglądać i mieć ładne ubrania. Wtedy może wrócę do zakładu i zacznę dla nich szyć.

- Ale z tego sprzątanina to ciężko chyba wyżyć. Mama nie narzeka?

- No wie pani, jak to jest. Zdaję sobie sprawę, że jestem praktycznie na jej utrzymaniu. Powiem w zaufaniu, że stać ją na to, żeby zapewnić mi byt.

- Oj panie Frycku, panie Frycku. Szkoda mi tej pana matki, jak tego słucham. Potrzebna panu kobieta - westchnęła Celina, po czym zawołała Barego i poszli do domu.

Odprowadziłem ich wzrokiem do drzwi,ostałem chwilę w zadumie i udałem się na sąsiednie podwórko. Po ostatnich słowach sąsiadki poczułem się głupio. Celcia to może i prosta kobieta, ale bystra, widzi

doskonale, co się wokół dzieje. Może i ma rację, może rzeczywiście powinienem znaleźć sobie kobietę i odciążyć matkę? Jednak z drugiej strony ona sama po części jest winna. Gdyby bardziej mnie naciskała, pewnie bym coś z tym zrobił.

Duńcia dostaje emeryturę i mam świadomość, że ma jeszcze odłożone jakieś pieniądze, które nas zabezpieczają. Dodatkowo zgromadzone antyki stanowią również dużą część jej majątku. Większość tych najbardziej wartościowych przedmiotów dopiero od niedawna widzi światło dzienne. Były gdzieś pochowane, by nie drażniły oczu nieprzychylnych naszej rodzinie ludzi – tak kiedyś stwierdziła, gdy ją zapytałem, skąd co jakiś czas donosi te rzeczy. Ona uwielbia drogocenne przedmioty. Zawsze z każdej trasy koncertowej przywoziła jakiś drogi bibelocik i się nim zachwycała. Mnie takie rzeczy w zasadzie nie interesują i nigdy nie interesowały. Jestem krawcem i poza dużym poczuciem estetyki w tej dziedzinie nie mam w sobie wrażliwości na otaczające mnie przedmioty. Nie znam się na obrazach, porcelanie, inkrustowanych meblach, nie mają dla mnie wartości srebrne sztuce, złote broszki czy sygnety, chociaż wiem, że spory grosz można by zarobić na tym, co mamy w domu. Ale nie znałem się na tym i chyba jeszcze nie mam potrzeby się znać.

Odkąd pamiętam, zawsze chciałem być krawcem. Członkowie mojej rodziny początkowo sądzili, że to dziecięce fantazje, później – że to forma młodzieńczego buntu. Nic podobnego. Ja to po prostu bardzo chciałem być krawcem. Lubię to, i co najważniejsze, znam się tylko na tym. Szyję świetnie spodnie, marynarki, sukienki czy spódnice. Potrafię dopasować fason do osoby, umiem doradzić i ocenić w kwestii mody. Ta wiedza w zupełności zaspokaja mój wąski świat szeroko pojętego piękna. Tak swoją drogą moi klienci nie byli wymagający i nie sądzę, żeby przez ostatnie pół roku coś w tej kwestii się zmieniło. Obecnie, z tego co widzę, interesują ich ubrania praktyczne, szybko i tanio kupione na bazarku. Niektórym się ta moda podoba. Nie potrzebują wyszukanych krojów. Kupują byle co, łączą na sobie bez pomysłu wszystko, co im wpadnie w ręce, i sądzą, że są modni. Nie ukrywam, że takie podejście klientów

nie budzi we mnie mistrza kreacji, a wręcz czuję, że taki stosunek do mody podcina mi skrzydła. Może też z tego powodu nie śpieszy mi się z powrotem do pracowni? Dziś na ulicach panuje modowy chaos. Dżins dekatyzowany, tureckie swetry, mokasyny, do tego białe skarpety dominują w codziennym ubiorze Polaków. Moda i sztuka schodzą na daleki plan. Na palcach jednej ręki można policzyć osoby, dla których obecnie ma to znaczenie. W swojej karierze miałem może pięciu klientów, którzy chcieli łamać obowiązujące powszechnie standardy mody i krawiectwo postrzegali jako sztukę. Przynosili własne wzory rozrysowane na kartkach i prosili, bym je zrealizował.

Bycie krawcem jest sztuką nawet w opinii mojej matki, jednak ona uważa, że to zawód dobry dla osób z nizin społecznych. Zawsze sortowała ludzi i robi to do dziś. Twierdzi, że po wojnie został zachwiany porządek klasowy. Przed wojną każdy był przypisany do swojej warstwy społecznej i wiedział, jaka jest w niej jego rola. Teraz wszyscy są wymieszani i przez to zagubieni – tak zawsze powtarza i z pewnością nigdy zdania nie zmieni.

Jeśli natomiast chodzi o kwestię mody mojej matki, to ta kobieta zawsze stara się ubierać w rzeczy wyszukane, nietuzinkowe. Ma swój styl, który z pewnością wyróżnia ją z tłumu na ulicy, i tu rzeczywiście widać ten społeczny podział, jakiego dokonuje. Odzież kupuje przeważnie w Modzie Polskiej lub komisach. Gdy koncertowała po świecie, przywoziła stamtąd wyszukane kreacje. Rzeczywiście ma gust. Często zakłada długie spódnice, proste, klasyczne. Jest bardzo zgrabną kobietą, a mimo to zawsze zasłania swoje piękne smukłe nogi. Szkoda. Nosi żakiety i gustowne koszule z dobrych gatunkowo materiałów, a wszystko to uzupełnia drobną biżuterią w postaci pierścionków, naszyjników czy brosz. Chociaż miałem możliwość eksperymentowania w przeszłości z projektowaniem ubrań na otwartej na modę mojej matce, nie robiłem tego. Nie szyłem dla niej. Raz tylko poprosiła, żebym zaprojektował i uszył jej sukienkę, a było to piętnaście lat temu. Myślę, że chciała sprawdzić moje umiejętności rzemieślnicze. Jak na początkującego krawca zupełnie dobrze mi to wyszło. Założyła tę kieckę kilka razy, a jej

znajomi bardzo chwalili moją pracę. Nie wiem, czy ją jeszcze ma, ale sądzę, że zachowała na pamiątkę. Moja matka ma również swój sposób bycia. Nie mówi dużo. Jest wnikliwym obserwatorem. Nie ocenia zachowań ludzi. Nie komentuje czyichś złych uczynków, nie wdaje się w zbędne dyskusje, które nie wnoszą nic do jej życia. Przez to ma bardzo małe grono znajomych. „Dziś ludzie mówią za dużo i bez treści” – często powtarza. Jest typem samotnika i w dodatku ten jej denerwujący brak okazywania jakichkolwiek emocji... Ja się do tego nigdy nie przyzwyczaję. Gdy jestem zły czy zadowolony, uzewnętrzniam to, ona nie. Moja matka nie pasuje do dzisiejszych rozwydrzonych czasów. Ona ceni sobie ciszę i spokój. Wiem, że żyje przeszłością, ale nigdy o tym nie mówi. Żyje tym, co było, bo widzę, w jaki sposób patrzy na te swoje skarby na ścianach czy półkach. Wtedy tęskni. Pewnie przypominają się jej młode lata. Czasy wielkich koncertów i podróży. Może tęskni za moim ojcem? Nie wiem. Po tym, jak od nas odszedł, o ile wiem, matka już nigdy nie związała się z żadnym mężczyzną. W każdym razie w rozmowach nie wraca do przeszłości. Ma ją tylko w swojej głowie.

W czasie moich rozmyślań zdążyłem posprzątać wszystkie trzy podwórka. Wróciłem do domu.

- Już jestem! - krzyknąłem, zdejmując buty.

- Dobrze, synku. - Usłyszałem głos z salonu. Poszedłem zrobić siku, umyłem ręce, przeczesalem włosy.

- Mam ochotę zapalić - powiedziałem, gdy wszedłem do pokoju. Moja Duńcia siedziała w ulubionym fotelu, na jej kolanach spoczywała otwarta książka.

- To sobie zapal - oznajmiła, patrząc mi w oczy.

Wyjąłem z kieszeni fajkę, tytoń i zapalki, po czym zasiadłem na wersalce. W milczeniu nabiłem Azję amforą i ją podпалиłem. Jak zwykle aromat prażonych liści pieścił moje nozdrza.

- Pamiętam z dzieciństwa zapach tytoniu, który palił mój ojciec - ni stąd, ni zowąd powiedziała moja matka, odkładając książkę na stojącą nieopodal szafkę. - Pamiętam, że ten zapach był bardzo piękny i sądziłam, że tak samo smakuje. Zabrałam z ojca paczki troszkę liści,

wsadziłam do ust i zaczęłam gryźć. Jakież było moje zaskoczenie! Czegoś tak ohydnie gorzkiego nie miałam w ustach od tamtej pory. – Potrząsnęła głową.

Słuchałem matki i nie mogłem uwierzyć, że przywołała przygodę z dzieciństwa. Moje zaskoczenie było w tym momencie równie duże jak jej gorzkie doświadczenie z aromatycznymi liśćmi tytoniu.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Nie czułam potrzeby. Poza tym teraz mi się to przypomniało, jak zaleciało dymem z twojej fajki.

– Może coś więcej ci się przypomni z okresu młodości – zachęcałem ją do zwierzeń, mając ukryty w myśli powrót do rozmowy o postaciach z fotografii.

Chwilę milczała.

– Najlepsze czasy zabrała mi wojna. Gdy wybuchła, miałam dwadzieścia lat. To były okropne lata. Codzienny strach bardzo hartuje charakter, synku. W czasie okupacji zarabiałam, dając lekcje gry na skrzypcach. Ale to była dla mnie też forma oderwania się od okrucieństwa tamtych czasów.

– Dawałaś lekcje gry? – zapytałem, obserwując oczy matki.

– Tak.

– O tym też mi nigdy nie mówiłaś.

– Może też nie czułam potrzeby. W każdym razie zaczęłam naukę gry na skrzypcach w siódmym roku życia, podobnie zresztą jak ty. Miałam wymagającego nauczyciela, więc w wieku dwudziestu lat naprawdę świetnie grałam i mogłam sobie pozwolić na naukę innych. Tak naprawdę naówczas byt zapewniała nam moja mama. Żeby przeżyć, sprzedawała rodzinne drobne pamiątki. Tak więc widzisz, ja troszkę dorobiłam, mama coś sprzedała i tak funkcjonowałyśmy do końca wojny. Twój dziadek, a mój ojciec, walczył w czasie okupacji, ale też musiał się ukrywać. Zwłaszcza pod koniec wojny. Nie wiedziałyśmy długi czas, czy żyje. Dopiero w grudniu czterdziestego czwartego roku jakiś mężczyzna przyniósł nam potajemnie list od ojca. Okazało się, że ukrywał się w Sandomierzu. Troszkę się uspokoiłyśmy. Wrócił do domu zaraz po

wojnie. Ale później też nie dawali mu spokoju. Odsiedział trzy lata za działalność na szkodę towarzyszy radzieckich i ludowej ojczyzny, bo walczył w AK. No i już nie wrócił do pracy w banku. Został kierownikiem tartaku. Na tyle mu pozwolili. – Matka, mówiąc to wszystko, cały czas patrzyła w jeden punkt pokoju. Jakby tam wisiała kartka, z której czyta. Nawet odruchowo spojrzałem w pewnym momencie w to miejsce. Nic. Pusta przestrzeń na ścianie, tajemnicza jak jej przeszłość. Najgorsze było to, że w czasie tych zwierzeń nie widziałem emocji na jej twarzy, mimo że to były naprawdę wzruszające wspomnienia.

– A kiedy poznałaś rodziców Ani?

Matka przerzuciła wzrok ze ściany na mnie.

– Ty ciągle o tym? – Zrobiła długą pauzę, ja w tym czasie zaciągnąłem trzy razy dym z fajki. – Jeszcze w czasie wojny. Natalia była jedną z moich uczennic – krótko oświadczyła, po czym podniosła się z fotela i poszła do kuchni. – Przekąsisz coś? – zapytała.

– Bardzo chętnie – odpowiedziałem, jednak moje myśli błądziły w przeszłości mojej matki. Pałac fajkę w oczekiwaniu na posiłek, zastanawiałem się, dlaczego ona tak bardzo unika tematu Ani i jej rodziców.

– Kanapki gotowe. – Usłyszałem. Przeszedłem z pokoju do kuchni. Usiadłem na krześle. Matka chowała masło do lodówki.

– Dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć o tej sprawie rodziców Ani?

– Jedz.

– Nie zmieniaj tematu. Oprócz tego, że pięknie grasz na skrzypcach i znasz na modzie, ja tak naprawdę nie wiem o tobie nic. Gdzie masz to zdjęcie?

– Nie dam ci go.

– Może jak mi opowiesz, co się wtedy stało, to ci ulży. Widzę, że cię coś męczy.

– Nic mnie nie męczy. Po prostu nie chcę o tym teraz mówić.

Czułem, że w sercu mojej matki tkwi stukilowy głąz. Chciałbym jej pomóc go wyciągnąć, ale skoro nie chce mi nic powiedzieć, nie wiem, jak mam to zrobić. Moja matka jest jedną wielką zagadką.

- Może w końcu zaczniesz pokazywać jakieś emocje? Widzę twoją samotność - stwierdziłem zaczepnie.

- Oj ty mój psychologu! - odparła.

- Lubię i potrafię zaglądać ludziom w dusze, jak wiesz. Powiem ci, że w moim zawodzie taka umiejętność jest nawet wskazana. Często gdy klienci przychodzili do mojej pracowni zamawiać ubrania, widziałem po ich twarzach, że mają problemy. Też na początku nie chcieli rozmawiać, ale tak ich umiejętnie zagadywałem, to powoli się otwierali i zwierali z problemów. Mówili wszystko jak przed księdzem czy taksówkarzem. Czasem wspólnie nawet te problemy rozwiązywaliśmy.

Matka słuchała w zadumie, skubiąc paznokciem stojący obok taboret. Czekałem na jakikolwiek komentarz z jej strony. Milczała.

- Niestety. Doradzałem innym, ale nie znalazłem sposobu na swoje małżeństwo - próbowałem wydobyć z niej choć chrząknięcie. Znowu cisza. - Pamiętasz, jak ci opowiadałem, że swego czasu, niespodziewanie, zauważyłem w duszy Alicji drugiego człowieka?

- No tak. Ona znalazła sobie innego faceta - w końcu przemówiła.

- Nie w tym sensie. Mówiłem ci wtedy, że widzę w niej dwie dusze. Jedna to tej kochającej żony, a ta druga, do końca przeze mnie nieodgadniona, tajemnicza, pojawiła się nagle. Paskudna, okrutna. Takie rzeczy się czuje, jak się kogoś kocha. I w tej kwestii się nie myliłem.

Matka przestała skubać paznokciem taboret.

- Myślę, że każdy człowiek ma dwie dusze, synku. Twierdzę, że każdy ma w sobie gdzieś głęboko ukrytą tę drugą prawdę o sobie i chroni ją przed światem. Rzeczywiście prawdę, czy jak to nazwałeś - drugą duszę Alicji odkryłeś bezbłędnie. Skończyło się tylko rozwodem, ale Bóg wie, jakby to wszystko się dalej potoczyło... To nie była kobieta dla ciebie.

- Jak to „tylko rozwodem”? Rozwód to nie pstrykanie palcem na kelnera w knajpie.

- Przepraszam, źle się wyraziłam.

- Ale ty też nie poradziłaś sobie w małżeństwie. Widzisz, ojciec w stosunku do ciebie zachował się podobnie jak Ala do mnie. Oboje jesteśmy ofiarami działań tych złych drugich dusz naszych bliskich.

Widać to nasza tradycja rodzinna. Wiele związków rozpada się właśnie z powodu śmierci dusz.

- Synu, dusze tak łatwo nie umierają - wtrąciła, potrząsając energicznie, niezrozumiale dla mnie, głową, po czym wstała z krzesła, podeszła do okna i po chwili wróciła na miejsce.

- Wszystko w porządku, mammo?

- Tak. Musiałam rozprostować kości.

Czułem, że coś mi tu nie pasuje.

- Ale ja twierdzę, że wina wszystkich rozpadów związków zawsze leży po obu stronach - mówię po chwili zadumy. - Myślę, że dlatego tak się źle zadziało między mną i Alą, bo nie postaraliśmy się zaraz po ślubie o dziecko. Było nam bardzo wygodnie tylko we dwoje. Gdy rozmawialiśmy wielokrotnie na ten temat, to za każdym razem twierdziła, że możemy jeszcze poczekać. Z czasem temat zanikł. Może gdybym w odpowiednim czasie podjął męską decyzję... Mogę tylko gdybać. Teraz, z tego co wiem, to ma z tamtym facetem dwójkę dzieci i pewnie żyją szczęśliwi gdzieś na drugim końcu Polski. - Wtem zauważyłem, jak nad głową matki pojawiła się nie wiadomo skąd szklana kula wypełniona fioletowym płynem.

„Dziwne zjawisko albo mam omamy wzrokowe” - pomyślałem mocno wystraszony, pozostawiając ów fakt bez komentarza.

- Zastanawiałaś się kiedyś, co ojca urzekło w tej jego pannicy, dla której cię zostawił?

Matka spojrzała w moją stronę.

- Przepraszam... - Usłyszałem z jej ust.

- Za co mnie przepraszasz?

- Myślę, że oboje zasługujemy na zrozumienie. Nie chcę, żebyśmy sobie wzajemnie dokuczali i wskazywali błędy z przeszłości. Nie ma się nad tym zastanawiać.

- To ja cię przepraszam, mammo. Masz rację, te złe wspomnienia nie mają już dziś sensu.

Kula wypełniona fioletową wodą ciągle tkwiła nad jej głową.

- Czy ty planujesz sprzedać moje antyki? - zapytała, zupełnie mnie

zaskakując.

- Nie, ja mówiłem Celinie, że to, co mamy w domu, jest warte dużo pieniędzy, bo jak się domyślam, zdążyła ci powiedzieć o naszej rozmowie, gdy jej oznajmiłem, iż kasa ze sprzedaży choćby jednego z twoich skarbów, zapewniłaby byt na długi czas.

Matka tajemniczo milczała, kręcąc delikatnie głową.

Poszedłem do swojego pokoju. Stałem przy oknie i rozmyślałem. Tak szczerze i otwarcie jak dziś nie rozmawiałem z matką chyba nigdy. Jej wspomnienia naprawdę wprawiły mnie w zdumienie. Poczuję się, jakbym włożył głowę do beczki z napisem „Proch”, a zamiast prochu ujrzałem psi ogon. Nie spodziewałem się aż takiej wylewności z jej strony. Jej niespodziewane zwierzenia wywołały w moim umyśle ogromny napływ emocji, które postanowiłem rozładować spacerem. Spojrzałem na zegarek - dwunasta trzydzieści dwie.

- Duńciu, może wybierzemy się razem na małą przechadzkę po mieście? Piękna pogoda za oknem, szkoda w domu siedzieć. Może zobaczymy, co grają w kinie? - rzuciłem propozycję zmywającej naczynia matce.

- Dawno mnie tak nie nazywałeś, synku. Bardzo to lubiłam.

- Często nazywam cię tak w myślach i w przypiływie szczerzej synowskiej miłości, ale od dawna nie byłaś moją Duńcią. Ciężko mi było ot tak z tobą pogadać - odparłem.

Przez chwilę milczała z opuszczoną głową.

- A kto ugotuje obiad? - zapytała, kierując na mnie wzrok.

- Może zamiast tradycyjnego obiadu zrobisz szybką jajecznicę albo pójdziemy na pyzy do tego baru nad Silnicą? Nie musisz co dzień gotować posiłku z dwóch dań.

- Ale ja to lubię. Masz ochotę, to idź na spacer, tylko bądź na piętnastą - oznajmiła, po czym zajrzała do lodówki.

- Położę trochę i przy okazji zajrzę do kina Moskwa. Tak swoją drogą mogliby już pozbyć się tej nazwy. Ruskich też powinni pogonić do siebie.

- Uśmiechnąłem się, po czym poszedłem do pokoju, założyłem świeżą koszulę, zmieniłem spodnie, przeczesiałem włosy, wsunąłem na stopy

buty i wyszedłem.

Pierwsze kroki skierowałem do pana Władka po wypłatę. Jak zwykle uiścił całą sumę, dziękując za pracę. Uczciwy i miły gość, choć gburowaty z wyglądu. Jest gruby i ma mocno przystrzyżone wąsy, które wyglądają na jego czerwonej buzi jak spleśniałe masło. Po wizycie u pracodawcy wyszedłem w miasto. Przechadzałem się ulicami, kierując się powoli w stronę kina. Dużo rozmyślałem o dzisiejszej rozmowie z matką. Jej wspomnienia z dzieciństwa, gorzki smak tytoniu dziadka, udzielanie lekcji gry na skrzypcach, podziemny handel babki w czasie okupacji, paskudny okres wojny. Wiem, że matka swoje w życiu przeszła, ale któż prześlizguje się przez nie bez przeszkód? Ja też mam ciężki bagaż doświadczeń. Myślę, że najbardziej uciążliwy jest ten dotyczący odejścia Alicji. Ala miała być tą pierwszą i ostatnią kobietą w moim życiu, ale to życie pisze dla nas własne scenariusze. Różnie bywało przez te dwa lata naszego małżeństwa. Wiadomo, na początku wielka miłość. Po ślubie? Cóż, raz lepiej, raz gorzej, jak to w prawdziwym związku. Były czasem sprzeczki, jednak one też nas wzmacniały. Powoli się docieraliśmy. Mieliliśmy własne mieszkanie, mój warsztat funkcjonował świetnie, ona jako nauczycielka była doceniana i zadowolona z tego, że uczy dzieci historii. Może faktycznie gdybyśmy szybko zdecydowali się na dziecko, wszystko potoczyłoby się inaczej? Teraz mogę tylko gdybać.

Tę drugą tajemniczą duszę dostrzegłem w niej rok po ślubie. Pamiętam, że wyjechałem na cztery dni do Torunia na pogrzeb naszego świadka od ślubu. Zmarło się chłopakowi nagle. Ala nie mogła jechać, ponieważ mocno się rozchorowała. Leżała w domu, a opiekę nad nią przejęła moja matka. Wtedy właśnie ich relacje mocno się zacieśniły. Widziałem to w ich późniejszych stosunkach. Świetnie się dogadywały, nawet na zakupy po przysłowiową pietruszkę chadzały razem. Gdy wróciłem z tego pogrzebu, spojrzałem Ali w oczy i stwierdziłem, że coś mi w nich nie pasuje. Po niedługim czasie zobaczyłem w niej tego drugiego człowieka, właśnie tę drugą duszę. Czarną duszę. Miałem wrażenie, że ktoś steruje jej życiem, a ona bez protestu się temu poddaje. Niby wszystko było między nami normalnie, ale czułem, że

z którejś strony idzie zagrożenie. Zgrzytnęło. Pytałem ją wielokrotnie, czy coś się stało, jednak zapewniała, że wszystko jest w najlepszym porządku. Uspokoilem się. Gdy rzeczywiście już byłem pewien, że nic nie jest w stanie nam zagrozić, ona mi oświadczyła, że ma innego faceta.

- Po co ci inny facet? - zapytałem, zupełnie zszokowany jej słowami.

- Nie kocham cię już. - Padło z Ali ust, które nawet nie drgnęły, gdy to mówiła; jej oczy również były bez wyrazu.

O cóż więcej mogłem zapytać w tej sytuacji? Do prawdziwego związku konieczna jest miłość z obu stron. Nie walczyłem. Wyskamlany powrót zawsze jest krótkotrwały i skazany na niepowodzenie. To tak, jakbym stracił dłoń i dopasował w jej miejsce protezę. Po pierwsze nie ma w niej czucia, po drugie prędzej czy później poluzuje się i odpadnie. Wzięliśmy szybki rozwód i każde poszło w swoją stronę. Ona z nowym mężem wyjechała nad morze, ja przeprowadziłem się do matki. Po trzech latach dowiedziałem się od naszej wspólnej koleżanki, że Ala ma już dwoje dzieci i jest szczęśliwa. Po rozstaniu nie potrafiłem mieszkać sam i zamieszkałem z matką. Opuściłem mieszkanie, zabierając z niego tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Duńcia czasem idzie tam sprawdzić, czy nikt się nie włamał i podlać kwiaty. Ja staram się omijać tamte okolice. Podobnie jak nie zaglądam do swojej pracowni od dnia wypadku. Choć powód mej nieobecności w pracowni ma zupełnie inne podłoże - do warsztatu nie zaglądam, bo nie czuję potrzeby, a w tamtym mieszkaniu zostawiłem wspomnienia, do których nie chcę wracać.

Z rozmyślań wytrącił mnie kolorowy afisz za szklaną gablotą na ścianie kina, reklamujący aktualnie grane filmy. Przystanąłem, by odczytać jego treść, i w tym momencie usłyszałem męski głos.

- Przepraszam, czy pan Fryderyk Zaruski? - Potężny bas przerywał mi czytanie treści afisza.

- Zależy, kto pyta - oznajmiłem niegrzecznym tonem. Odwróciłem głowę w stronę owego jegomościa.

Przy mnie stał bardzo chudy facet, troszkę niższy ode mnie, lat około siedemdziesięciu, z trzydniowym zarostem, lekko haczykowanym nosem, zapadniętymi policzkami i oczami w kolorze błota. Na pierwszy rzut oka

zwykły mężczyzna, jakich wielu wokół. Moją uwagę przyciągnął jednak fioletowy kapelusz na jego głowie, w damskim fasonie.

„Który normalny facet nosi taki?” – pomyślałem, nie kryjąc szyderczego uśmiechu, gdy spoglądałem mu na łepetynę.

– Bardzo pana przepraszam, że odrywam od lektury afisza, ale myślę, że to, co powiem, może pana zainteresować.

– Mnie? Dlaczego właśnie mnie? – Odwróciłem się w jego stronę i założyłem odruchowo włosy za ucho, dając do zrozumienia, że nastawiam się na słuchanie.

– Tak, właśnie pana.

– Czym mogę służyć? – zapytałem, spoglądając w jego błotniste ślepie.

– Mam dla pana propozycję – oznajmił, poprawiając nakrycie głowy i odciągając moją uwagę od oczu.

– Mianowicie? – Zaczęła się we mnie rodzić ciekawość. Jakąż to może mieć dla mnie propozycję facet o wyglądzie tyczki do podtrzymywania pomidorów, w damskim fioletowym kapeluszu na czuprynie i błocie zamiast oczu? Uśmiechnąłem się do siebie.

– Mam córkę, która za miesiąc, dokładnie piętnastego sierpnia, będzie obchodzić piętnastą rocznicę utracenia cnoty – oznajmił.

– Gratuluję, lecz ja nie mam z tym nic wspólnego, jak sądzę.

– Chciałbym, żeby pan zagrał minikoncert na skrzypcach podczas przyjęcia na jej cześć.

Patrzyliśmy sobie przez chwilę w oczy. Jego fioletowy kapelusz zszedł na plan nieistotny.

– Ja jestem, drogi panie, krawcem, a nie muzykiem.

– Wiem, jednak wiem również, że potrafi pan świetnie grać na skrzypcach.

Po jego oświadczeniu moja ciekawość jeszcze mocniej zaczęła zapuszczać korzenie w głowie. Zaplotłem ręce pod piersią, przyjąłem pretensjonalną pozę z nogą lekko wysuniętą przed siebie, tworząc niewidzialną granicę prywatności. Delikatnie przymrużyłem oczy.

– Właśnie. Skąd pan wie, że potrafię grać na skrzypcach? – Padło

z moich ust oczywiste pytanie.

- Wiem, a nawet swego czasu wielokrotnie słyshałem pańskie popisy na tym instrumencie. Doskonała technika.

Poluzowałem sylwetkę, nogę cofnąłem.

- Drogi panie, ja nie grałem chyba ze sto lat, mam palce jak z drewna - oznajmiłem, wystawiając kołkowate dłonie przed jego oczy. - Nic z tego nie będzie, ale znam kogoś, kto robi to profesjonalnie. Moja matka jest zawodową skrzypaczką i myślę, że pańska propozycja mogłaby ją nawet ucieszyć.

- Tak, wiem, że pańska matka również gra na skrzypcach, jednak ja chciałbym, to znaczy bardzo bym prosił, by ten koncert wykonał właśnie pan.

Patrzyliśmy sobie cały czas w oczy. Miałem wrażenie, że wzajemnie przepychamy się myślami. Nie wiem, o czym rzeczywiście myślał ów jegomość, ale w mojej głowie roiło się od pytań, stwierdzeń, a nawet tego, dlaczego facet ma oczy w kolorze błota.

- Bardzo mi przykro, ale nie przyjmę pańskiej propozycji, a nawet jestem w stanie stwierdzić, że i pan z niej zrezygnuje, gdy mu powiem, że jestem dobrze zapowiadającym się alkohikiem, a obecnie podwórkowym sprzątaczem. Zmiotam psie kupy i śmieci walające się pod nogami, w dodatku chlamię wodę do upadłego z kumplami w knajpie. Ostatnio miałem wypadek, w którym mocno zdruzgotałem rękę, a ona, jak pan się domyśla, potrzebna jest do wprawnego grania na skrzypcach. Nawet zrezygnowałem między innymi z tego powodu z krawiectwa. Ręce w moim fachu to podstawa wszelkiego sukcesu. Profesjonalnie umiem tylko trzymać miotłę w dłoniach i się upijać. Więc jak pan łaskawie raczy zauważyć, może to wszystko razem wzbudzać niesmak pańskiej córki, tym bardziej jeśli miałbym zagrać na cześć utraty jej cnoty, co było niewątpliwie ważnym i niepowtarzalnym wydarzeniem.

Facet z uwagą przysłuchiwał się moim słowom. Jego powieki mające chronić błotniste oczy nawet nie drgnęły, okazując tym samym, że żadna z mych wymówek nie jest dla niego przeszkodą.

- Ale to jeszcze nie koniec moich propozycji - oznajmił, strzelając

palcem w rondo kapelusza.

- Pan chyba nie zrozumiał, że to, co powiedziałem, oznacza wyraźną odmowę zagrania koncertu, i proponuje mi kolejną rzecz? - zapytałem z niedowierzaniem.

Facet wyciągnął z kieszeni marynarki kartkę i długopis. Ze zdumieniem obserwowałem każdy jego ruch. Na dłoni położył świstek i coś zaczął pisać, po czym mi ją wręczył, mówiąc:

- Do zobaczenia. - I odszedł.

Trzymając w palcach zapiski, patrzyłem, jak gość oddala się i znika za rogiem budynku. Z oczywistej ciekawości zerknąłem, cóż tam naskrobał.

Wit Pol, Świerczewskiego 2, mieszkania 2, poniedziałek godzina 17.00. „To jakiś nonsens” - pomyślałem, miętosząc karteczkę w garści. Ja miałbym zagrać koncert dla kobiety, której w ogóle nie znam? W jakich okolicznościach on słyszał moją grę? To musiało być naprawdę wiele lat temu. Może bywał w domu moich rodziców? Rzeczywiście kilka razy grałem przy ich znajomych, jednak jego nie kojarzę. Nie mogę pamiętać każdego, kto nawiedzał nasz dom, gdy byłem dzieckiem. Co on jeszcze powiedział? Że ma dla mnie dodatkową propozycję? Pewnie będzie chciał, żebym grał na wszystkich imprezach w jego rodzinie. Może kolejna będzie z okazji zamówienia pacierza lub bezpowrotnej utraty ulubionej koszuli nocnej lub kalesonów. „Nonsens do kwadratu” - stwierdziłem, po czym nerwowym krokiem kontynuowałem przechadzkę ulicami miasta, zostawiając za sobą niedoczytany afisz. Nie mogę zagrać publicznie po tylu latach przerwy. Ostatnio grałem jakiś rok temu, ale to było w samotności i z nudów. Owszem, gra na skrzypcach to jak jazda na rowerze, tego się nie zapomina, wystarczy troszkę poćwiczyć i człowiek jest w stanie wrócić do formy, ale nie miałem ochoty. Rozmyślając w czasie spaceru o nietypowej propozycji tajemniczego faceta, znalazłem się pod podanym przez niego adresem. Nie wiem, czy poszedłem w tę stronę przypadkiem, czy coś celowo mnie tu przywiodło. Może to zwykła ludzka ciekawość, a może faktycznie podświadomie ciągnie mnie do grania? Stałem w niedalekiej odległości od kamienicy i zacząłem się jej

przyglądać. Przechodziłem tędy miliony razy, ale nigdy nie zwracałem uwagi na ten budynek. Zwykła ponadstuletnia, jednopiętrowa odrapana bryła wciśnięta w szereg jej podobnych na całej długości tej ponurej ulicy. Na dole sklepiki, warsztaty, na górze mieszkania. Po wyglądzie firanek i zasłon typowałem lokal z numerem drugim. Nagle poczułem, że ktoś mnie obserwuje. Czasem tak jest. Człowiek w pewnych okolicznościach, zwłaszcza niepewności, czuje na sobie czyjś wzrok. Rozejrzałem się wokół, lecz nie zauważyłem nikogo. Mimo wszystko miałem to cholerne wrażenie, że ktoś oblepia mnie swoim spojrzeniem jak śmierdzącym towotem. Czym prędzej postanowiłem oddalić się z tego miejsca. Przyśpieszonym krokiem poszedłem bezpośrednio do domu. Zapragnąłem jak najszybciej opowiedzieć matce o tym, co mnie spotkało.

Duńcia siedziała w swoim fotelu i czytała książkę.

- Już jesteś? - zapytała, odrywając wzrok od lektury. - Miałeś być na piętnastą. Jeszcze nie ma obiadu, właśnie rozmrażam mięso na kotlety, nawet nie zdążyłam obrać ziemniaków.

Spojrzałem odruchowo na stary zegar dumnie ozdabiający komodę. Wskazówki pokazywały trzynastą czterdzieści.

- Muszę ci coś powiedzieć - oznajmiłem, przyklękając przy boku matki.

Odłożyła książkę na etażerkę stojącą obok fotela.

- Słucham cię, synku.

- W czasie spaceru, gdy przystanąłem, żeby przeczytać treść afisza na kinie, podszedł do mnie jakiś facet w fioletowym kapeluszu w damskim fasonie i wiesz, co mi zaproponował?

- No cóż takiego? - zapytała jak zwykle beznamiętnie.

- Chce, żebym zagrał uroczysty koncert na skrzypcach w rocznicę utraty cnoty jego córki. - Zrobiłem pauzę na uzbieranie w ustach śliny. W gardle czułem suchość. Nie wiem, czy z podniecenia, czy dlatego, że chciało mi się pić.

Matka patrzyła bez cienia emocji. Nie wiem, dlaczego, ale właśnie w tym momencie przypomniał mi się fakt z dzieciństwa: dostałem od rodziców pod choinkę konika na biegunach. Zabawka dla prawdziwych

dziecięcych zdobywców przygód. Huśtawka bez początku i końca pobudzająca wyobraźnię. Pamiętam, że godzinami bujałem się w przód i w tył, wydając przy tym dzikie okrzyki, wymachując do tego ręką w powietrzu, udając, że walczę z niewidzialnym wrogiem. Ale też można być romantycznym rycerzem w zbroi podjeżdżającym pod okno ukochanej czy też Kmicicem galopującym po polu walki.

- Zgodziłeś się? - Usłyszałem wyrwany z marzeń.

- Nie, ale powiedziałem mu, że ty możesz zagrać. A właśnie. Ten facet chyba cię zna, bo wiedział, że grywasz na skrzypcach. Mówił, że słyszał swego czasu, jak gram. To by oznaczało, że bywał w naszym domu, ale ja go w ogóle nie kojarzę.

Matka założyła nogę na nogę i przyglądała włosy.

- Właściwie kiedy ja grałem przed ludźmi, mamó? Zdaje się, że gdy byłem dzieckiem. - Przez kilka chwil klęczałem przy niej w zamyśleniu, próbując przywołać w pamięci swój ostatni publiczny koncert na skrzypcach.

Duńcia patrzyła na mnie z ukosa jak na złodzieja, którego chce przyłapać na kradzieży drogocennej broszki.

- To był mocno szpakowaty facet, bardzo chudy, ale nawet przystojny jak na swój wiek, myślę, że ma około siedemdziesiątki, więc faktycznie możecie się znać - oznajmiłem bardzo podnieconym głosem.

- Sądzę, że powinieneś się zgodzić. Ja idę szykować obiad. Dziś zrobię mielone z ziemniakami i sałatką pomidorową - oświadczyła, wstając z fotela, po czym skierowała swe kroki do kuchni.

Poszedłem za nią, prawie deptając jej po piętach. Matczyna obojętność na mą sensację totalnie mnie zaskoczyła.

- Podał mi adres, pod który mam przyjść w najbliższy poniedziałek. To kilka ulic stąd, na Świerczewskiego. Pewnie facet będzie chciał ustalić szczegóły, jakiś repertuar. Co ty na to?

Matka w milczeniu formowała kotlety. Ich kształt jest zawsze idealny. Żadnych nierówności. Mięso w jej dłoniach z każdym ruchem przybierało formę kulistej mazi w błotnisto-krwistym kolorze.

- Wiesz co? On powiedział też, że ma dla mnie jeszcze dodatkową

propozycję.

- Jaką propozycję? - zapytała, biorąc w dłoń ziemniaka do skrobania.

- Tego mi nie powiedział. Oznajmił jedynie, że ma jeszcze coś, podał adres i poszedł. - Wyjąłem z kieszeni podarowaną przez niego kartkę, przedkładając matce przed oczy. Spojrzałem na jej żylaste dłonie. - Facet nazywa się Wit Pol. Znasz kogoś o tym imieniu?

Spojrzała na zapisany świstek. Patrzyła na niego przez chwilę.

- Więc idź i się dowiesz, czego jeszcze chce - oznajmiła bezdusznie.

- Sądzisz, że powinienem?

- Tak myślę, synku.

- Nie uważasz, że to dziwna historia? Podchodzi do mnie obcy facet na ulicy i proponuje zagranie koncertu dla jego córki.

- Nie ma w tym nic dziwnego, synku.

- I ten jego śmieszny damski fioletowy kapelusz. Opowiadałem ci, że ostatnio śnił mi się facet w kapeluszu. Może to był ten sam gość? Nie pamiętam, czy ten kapelusz we śnie był fioletowy.

- Pokrój pomidory do sałatki - powiedziała, obierając kolejnego ziemniaka, którego łupiny spadały spod noża do papierowej torby na stole.

Włączyłem małe radjko stojące na lodówce. Zrobiło się przyjemnie. Z głośniczka płynęła etiuda *Rewolucyjna* Chopina. Sięgnąłem po leżące na kuchennym blacie czerwone jędrne pomidory. Były już umyte. Wyjąłem z szuflady ostry jak brzytwa nóż z czarną rękojeścią, znad zlewu zgarnąłem mocno wysłużoną deskę do krojenia, na której powierzchni widniały pokrzyżowane liczne nacięcia po nożu. Spojrzałem odruchowo na matkę.

Stała przez chwilę zamyślona, patrząc w okno, dzierżąc w jednej dłoni ziemniak, a w drugiej nóż.

- O czym myślisz? - zapytałem.

- Piękna ta etiuda - rzuciła krótko, po czym znowu obierała ziemniaki.

Bez komentarza zacząłem przygotowywać sałatkę. Po każdorazowym zagłębieniu ostrza we wnętrzu pomidora wydobywała się jego soczysta

treść. Czerwone strugi mięszu, wyglądające jak zmieszana z wodą krew, wypływały, pokrywając ostrze, całą deskę, pozostawiając również ślad na moich dłoniach. Miałem wrażenie, że dokonuję zbrodni na niewinnych warzywach, jak czyniłem ostatnio, spalając tytoń w fajce. Odczuwałem potężną przyjemność i podniecenie. Muzyka Chopina idealnie pasowała do tej sytuacji.

- Mamo, nie sądzisz, że te pomidory czują, jak je zabijam? - zapytałem całkiem poważnym tonem.

Spojrzała na mnie z politowaniem.

- Synu, czy ty aby dobrze się czujesz? To są pomidory, a nie krowa skazana na rzeź - oznajmiła, potrząsając głową.

- Ale zobacz, wyglądają, jakby krwawiły.

- Sądzę, że to sprzątanie podwórek nie wychodzi ci na zdrowie. Idź w poniedziałek do tego faceta i powiedz, że się zgadzasz na koncert. Dobrze ci to zrobi. Matka cię o to prosi.

Wyłączyłem radio.

- No właśnie, znasz tego mężczyznę?

Chwila ciszy.

- Znam, to znajomy z dawnych lat. Z bardzo dawnych lat. Swego czasu bywał u nas i rzeczywiście grywał na skrzypcach w jego obecności.

- Fajna ta jego córka? - zapytałem, spoglądając na matkę spod półprzymkniętych powiek.

- Z tego, co wiem, to bardzo dziwna z niej dziewczyna, podobnie jak Wit.

- Czeka, jak on jest w twoim wieku, to ona ile ma lat?

- Starsza od ciebie, ale niewiele.

- Czy ona również u nas bywała?

- Nie. Nigdy tu nie była - oświadczyła matka, nie odrywając wzroku od obieranych ziemniaków.

- Dlaczego?

- Wit przychodził na brydża sam, a ją zostawiał z opiekunką.

- Nie miał żony?

- Kiedyś miał. Ale zmarła już dawno, a on został z tą dziewczynką i z żadną kobietą na stałe się nie związał.

- Boże. Wszyscy twoi znajomi albo poumierali, albo ktoś im umarł, albo pewnie zaraz umrą. Znasz kogoś żywego?

- Znam, synku - powiedziała ponurym tonem.

Patrzyłem na nią przez chwilę. Ona pięknie wygląda, nawet wtedy gdy obiera ziemniaki, jednak te ziemiste szare bulwy w jej delikatnych dłoniach, stworzonych do gry na skrzypcach, stanowiły potworny kontrast. Wyglądały jak ta moja fajka w ustach w czasie, gdy sprzątałem ulicę, trzymając miotłę. Zupełnie do niej nie pasowały. Mimo to owa przyziemna czynność nadawała jej cech, które na co dzień skrywała głęboko w duszy. Zwykłe obieranie ziemniaków zastępowało jej śmiech, płacz, przestrasz, zdziwienie, czyli wszystko to, co pragnąłem w niej widzieć, czuć, słyszeć.

Oplukała kartofle nad zlewem, zalała je w garnku wodą, nakryła pokrywką, po czym postawiła go na kuchence. Wytarła dłonie w ściereczkę, którą następnie powiesiła na haczyku przy ścianie. Otworzyła lodówkę, sięgnęła po olej, następnie małą jego ilość wlała na patelnię leżącą na kuchence. Robiąc te wszystkie czynności, była zamyślona. Czy zamyślenie też jest objawem emocji? Próbowałem znaleźć w niej oznaki jakiegokolwiek wrażliwości.

- Widujesz go czasem na ulicy? - zapytałem, rozpraszając ciszę.

- Kogo?

- Tego Wita.

- Czasem tak. Ale on zawsze się gdzieś śpieszy i nawet nie mamy chwili, żeby spokojnie porozmawiać.

- Dla mnie znalazł chwilę.

- Bo ma do ciebie interes. Tak w ogóle Wit zawsze był inny od całej reszty moich znajomych. Szalony ekscentryk. Ten fioletowy damski kapelusz to jeszcze nic. Pamiętam, jak pewnego razu przyszedł tu na brydża w pięknych różowych damskich pantofelkach na stopach - oznajmiła matka, a na jej ustach pojawił się delikatny uśmiech!

- W damskich butach? To on ma ciągoty do przebierania się

w damskie ciuszki?

- Chyba tak. On często miewał zwariowane pomysły.

- Zaśmiałaś się! - powiedziałem, klaszcząc w dłonie.

- Bo mam go przed oczami w tych bucikach. Śmialiśmy się z niego przez cały wieczór, a on ze spokojem na twarzy rozgrywał partyjkę za partyjką. Cały Wit. To, że cię poprosił o koncert dla swojej córki, nie jest dla mnie zaskoczeniem.

Woda w garnku zaczęła nagle wrzeć. Spieniona ciecz zalewała palnik, wydając dźwięk szeleszczących pod stopami liści. Matka natychmiast zareagowała. Uchyliła delikatnie pokrywkę, zmniejszyła płomień. Obserwowałem bez słowa każdy jej ruch, odrywając się od przyrządzania pomidorowej sałatki. Słysząc było znowu delikatne bulgotanie w garnku.

- Jak to możliwe, że ja tego Wita nigdy nie widziałem na ulicy czy w sklepie? Taki oryginalny facet, ten fioletowy damski kapelusz: to wszystko rzuca się w oczy.

- Nie wiem, synku. Pewnie widziałeś go wiele razy, ale nie zwracałeś na niego uwagi. Ten kapelusz może zaczął nosić od dziś?

- Faktycznie, o tym nie pomyślałem. Wiesz co? Pójdę tam z czystej ciekawości - oznajmiłem, dobijając ostatniego pomidora. Czerwone strugi miąższu spływały z deseczki na blat stołu, a z niego pod moje stopy. Stałem w kałuży pomidorowej krwi.

Znowu przypomniła mi się scena z dzieciństwa, z bujanym koniem pode mną. Walka z niewidzialnym wrogiem. Niekończące się dzikie okrzyki do wszystkiego wokół. Do mebli, dywanu, okna. Po co? Nie wiem. Dziećmi kieruje instynkt, a nie rozsądek. Krew z pomidora. Nóż. Stół. Wrony. Facet w damskim fioletowym kapeluszu, etiuda, wyrwany z twarzy uśmiech matki, wspólnie przygotowywany obiad.

Matka sprawdziła widelcem miękkość ziemniaków.

- Można odcedzać - oznajmiła.

Chwyciwszy przez ściereczkę gorący garnek za ucha, szybko udałem się nad zlew, wylałem z niego wodę. Gorąca para buchnęła jak z piekielnego kotła prosto w moją twarz. Duńcia w tym czasie smażyła

kotlety na patelni. Zapach smażonego mięsa roznosił się po kuchni. Po chwili obiad był gotowy.

- Siadamy do stołu. - Usłyszałem.

Jedliśmy dłuższy czas w milczeniu. Patrzyłem, jak przetyka ziemniaki, nagryza kotleta i wbija widelec w krwiste pomidory.

- Pamiętasz mojego konika na biegunach? - zapytałem. - Tego, którego włożyliście mi pod choinkę, gdy miałem pięć czy sześć lat. Był wypchany trocinami, miał po bokach drewniane uchwyty i brązowe bursztynowe oczy.

- Pamiętam. Bujałeś się na nim całymi godzinami i wrzeszczałeś w niebogłosy, aż uszy bolały.

- Ależ to były fajne, beztroskie czasy. Mogłem wtedy być, kim tylko chciałem. Rycerzem, kowbojem, stajennym - oznajmiłem z uśmiechem, przetykając kęsy ziemniaków pomieszanych z kawałkami kotleta.

Matka powoli kończyła swoje danie. Jej talerz pustoszał. Zostawały na nim tylko smugi brązowego tłuszczu po kotlecie.

- Może byś tak dziś poćwiczył grę na skrzypcach? Z własnego doświadczenia wiem, że ręce naprawdę robią się jak z drewna, gdy się długo nie gra. Talent masz, ale mimo wszystko musisz ćwiczyć. Jak już się zdecydowałeś tam iść, to nie masz wyjścia - oznajmiła, patrząc mi w oczy, po czym przetała usta papierową chustką.

To popołudnie rzeczywiście poświęciłem na grę na skrzypcach. Cały czas towarzyszyła mi matka, udzielając rad i wsłuchując w grane przeze mnie utwory Bizeta, Debussy'ego czy Haydna i Imre Kalmana.

- Może ona sobie zażyczy coś mniej ambitnego? - powiedziałem, odrywając smyczek od strun.

- Ćwicz. Ważne, żebyś rozruszał palce, a to najlepiej wychodzi przy takich utworach.

Ćwiczyłem kilka godzin. Początkowo rzeczywiście czułem, że trzymam w rękach kawałek drewna owinięty strunami i nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Jednak kilkanaście pociągnięć smykami pozwoliło mi przywrócić skrzypcom ich kształt i dźwięk, a moim rękami gibkość palców. Z każdą nutą szło mi coraz lepiej. Nie sądziłem, że powrót do gry

sprawi mi tak ogromną przyjemność. Nagle poczułem, że bawię się tą muzyką. Ona była we mnie. Wkraczała jak Wostok 1 w kosmiczną otchłań. W czasie gry przypominały mi się chwile z dzieciństwa. Dom przesiąknięty sztuką, muzyką, zabawą. Chłonałem każdą nutę. Byłem muzyką.

- Nawet nie wiesz, mamo, jak wspaniale teraz się czuję. Żałuję, że nie zostałem muzykiem, tylko krawcem.

- Też kiedyś tego żałowałam. Ale skoro zdecydowałeś zostać krawcem... - Matka zostawiła miejsce na odpowiedź.

- Już nie mogę się doczekać poniedziałku. Ciekaw jestem tego spotkania. Zabiorę ze sobą skrzypce, pewnie będą chcieli usłyszeć, jak gram.

- Dasz sobie świetnie radę. Teraz zrób przerwę. Jutro poćwiczysz. Zobacz, już po dziewiątej. Zaraz przygotuję kanapki na kolację - oznajmiła, poprawiając spięte w kok włosy.

- Rzeczywiście, nawet nie zauważyłem, że wieczór pojawił się za oknem. Nie jestem głodny. Nasyciłem się muzyką - oznajmiłem, odkładając instrument do futerału.

Matka machnęła ręką i poszła do swojego pokoju, a ja z głową pełną cudownych myśli o grze, o tajemniczym facecie w damskim kapeluszu, jego córce, uśmiechu Duńci, położyłem się do łóżka. Długo nie mogłem zasnąć, myśląc o dzisiejszym pełnym wrażeń dniu. W końcu sen nadszedł.

Stojąc nad ogromną skalistą skarpą, zauważyłem w oddali zbliżającą się w mym kierunku niebieską wronę.

- Wuj Edward? - Dofrunął i stanął obok mnie. - Co ty tu robisz? - zapytałem. Nie odpowiedział, tylko patrzył mi w oczy. - Nie możesz mówić? Boli cię gardło? - Edward spojrział za siebie, wskazując wzrokiem stary szlachecki dwór. - Co to jest za dom? - Wtem wuj zaczął przeraźliwie piszczeć. Tak głośno, że musiałem zatkać uszy. Po chwili umilkł. - Co to za dom? - dopytywałem.

- To moja posiadłość - odparł, przylizując niebieskie pióra.

- Tam mieszkasz?

- Tam mieszkałem - oznajmił i ponownie zaczął niemiłosiernie głośno piszczeć. Chmury nad naszymi głowami przybrały kształt trumny, z której wystawała ręka. W tym czasie przyleciała do nas kolejna niebieska wrona. Edward zamilkł. Ręka z trumny zaczęła machać w naszą stronę.

- Witaj. A ty kim jesteś, niebieska wrono? - zapytałem.

- Mieczysław - oznajmił, podając mi swą niebieską dłoń porośniętą piórami.

- Ten z fotografii oczywiście? - dopytałem dla ścisłości.

- Tenże sam.

- Ale ty także nie żyjesz.

- To wiem.

- Czemu mnie nawiedzacie? Czy ja się w końcu dowiem, o co tu chodzi? - zapytałem, spoglądając raz na jednego, raz na drugiego, po czym wzrok skierowałem na unoszącą się na niebie trumnę. Ręki już nie było.

- Jesteśmy koszmarem twojej matki, a ty, podobnie jak my, jesteś tego ofiarą. A dla ścisłości to ty nas nawiedzasz. Wchodzisz do naszych snów - oświadczył wuj Edek.

- To znaczy, że zmarli też śnią?

- Ciało umiera, poza tym nic się nie zmienia.

- Faktycznie, mówiła mi ostatnio matka, że dusza nie umiera.
- Chyba że umiera prawda, to wtedy i dusza ginie.
- Tego już nie powiedziała.
- Tak ładnie grasz. Słyszeliśmy dziś. Może nam coś zaprezentujesz? -

zapytał Mietek.

- Byliście w moim domu?
- Dusze są wszędzie, a teraz, gdy nawiązaliśmy kontakt, tym bardziej wiemy, co robisz - oznajmił Mietek.

- Myślę, że jeszcze nie jestem w pełni gotowy, by wam zagrać. Ćwiczyłem dziś tylko kilka godzin.

- To nic. Wystarczy, żebyś zagrał - oświadczył Edek, wkładając mi w dłoń mocno zbitą bryłę gliny.

- Jak ja mam na tym zagrać? To nie skrzypce.
- Graj - powiedzieli w tym samym momencie.

Wsadziłem bryłę pod brodę, palcem prawej dłoni dotknąłem jej zimnej skorupy. W tej właśnie chwili z twardej gliny wydobyły się przepiękne dźwięki poloneza *As-dur opus 53* Chopina.

- Ja gram na zbrylonej glinie? - krzychałem, przebijając się głosem przez potężne dźwięki poloneza.

- W tym życiu wszystko jest możliwe. Graj.

Grałem. Grałem pięknie. Później delikatnie położyłem bryłę skrzypiec na ziemi. Edward i Mietek bili brawo.

- Nie masz już odwrotu. Odkrywając fotografię, sam ruszyłeś zastygłą machinę zaszłości. Podobnie jak ożywiłeś zbryloną glinę, grając na niej poloneza, skądinąd mojego ulubionego kompozytora - oznajmił Mieczysław. Edward otrząsnął piórka, poiskał skrzydełko. Polonez Chopina ciągle grał mi w głowie.

- Jaką machinę uruchomiłem? Nic z tego nie rozumiem.

- Zacznę od początku. Przed wojną ja i Mieczysław prowadziliśmy sprzedaż drewna, stali, sprowadzaliśmy egzotyczne przyprawy z różnych części świata. Jednak na czas okupacji musieliśmy nasz interes zawiesić.

- W tym momencie muzyka Chopina ucichła mi pod czaszką. - Zgromadzony majątek musieliśmy ukryć. Pieniądze, obligacje, antyki.

Było tego sporo. Jednak mimo wojennej zawieruchy cały czas mieliśmy apetyt na powiększanie majątku.

- Dziś też ludzie myślą tylko o zarabianiu pieniędzy - wtrąciłem.

- Na to zawsze jest chęć. Do walk nas nie ciągnęło. Wiem, inni ginęli, ale takich jak ja i Mieczysław, unikających bezpośredniego spotkania z wrogiem na polu walki, było więcej. Teraz nie czas to oceniać. W każdym razie prowadziliśmy podziemny handel. Bardzo interesowały nas antyki, ale nie tylko one. Wiedzieliśmy, że wojna kiedyś się skończy i wszystko wróci do normy. Ludzie w tamtym okresie naprawdę pozbywali się drogocennych przedmiotów za małe pieniądze, by mieć za co żyć. W tym czasie poznaliśmy twoją matkę i Mirellę, to znaczy twoją babkę. Maria dawała lekcje gry na skrzypcach, a Mirelka wyzbywała się rodowych antyków. Początkowo Miri - jak ją nazywaliśmy - rzeczywiście robiła to dlatego, żeby obie miały za co żyć, jednak szybko okazało się, że i ona widziała w tym dobry interes. Zawiązaliśmy nieformalną spółkę. Miri miała swoje kontakty. Tanio kupowała, sprzedawała nam, a my sprzedawaliśmy dalej z dużym zyskiem lub wymienialiśmy na inny towar, który miał zbyt. Interes się kręcił. Z czasem do handlu włączyła się Maria. Posiadała do tego niesamowity dryg. Dając lekcje gry, miała kontakty z ludźmi z bogatych domów. Trzeba było tylko uważać, z kim się robi interesy.

- Moja matka nic mi nie wspominała, że zajmowała się handlem, mówiła tylko, że dawała lekcje gry na skrzypcach.

- Może wstydziała się o tym powiedzieć.

- Przecież moja matka jest skrzypaczką, a nie handlowcem - oznajmiłem z wielkim oburzeniem.

- Tak, ale handel miała we krwi. Wszyscy to czuliśmy. Dzięki temu, że mieliśmy dużo pieniędzy, udało nam się wszystkim przeżyć, a sporo też odłożyliśmy. Skończyła się wojna i chcieliśmy odtworzyć doskonale prosperujący interes sprzedaży stali, drewna i egzotycznych przypraw. Ale nie przewidzieliśmy, że czasy mogą być nam nieprzychylnie. Przyszły inne władze, zaprowadziły nowy ład społeczny i ciężko było odbudować dawne interesy. Wtedy takich jak my prześladowano, więc nie mogliśmy

działać tak, jakbyśmy tego chcieli. Jednak mimo wszystko postanowiliśmy spróbować. Małymi krokami wchodziliśmy w różne luki. Wojna spowodowała ogromne zniszczenia, ale - co może brzmieć okropnie - dawało nam to szansę i nadzieję na kontynuację przedwojennego interesu. Było ciężko, lecz pieniądze zarobione na antykach i innych rzeczach oraz wcześniej ukryty majątek przydały się na łapówki, które otwierały właściwe drzwi. Powoli wracała nam wiara w odnowę. Mimo ogromnego ryzyka próbowaliśmy. Zaraz po wojnie zmarła Miri, ale Maria zdecydowała, że pozostaje z nami w tej nieformalnej spółce. W międzyczasie poznała twojego ojca, swoją drogą to świetny facet. Oczywiście koncertowała, dużo podróżowała, dzięki temu nawiązała sporo kontaktów handlowych, jak mówiłem. My obaj zatrudniliśmy się w zakładach Społem, gdzie nasze doświadczenie w handlu bardzo się przydało. Dużą rolę w naszym interesie odegrał twój dziadek Stanisław. Jako doświadczony bankowiec miał ogromną wiedzę. Dostał zatrudnienie nie w banku, lecz w tartaku, co jeszcze mocniej rozszerzyło pole naszych działań. Niestety w pewnym momencie władza się zorientowała, że Stasiu prowadzi szemrane interesy, sprzedając drewno na lewo, i odsiedział za to trzy lata w więzieniu na Zamkowej. Nam się upiekło, bo był honorowy i nas nie wydał. My z twoją matką działaliśmy dalej. Maria nawet została nieformalnym prezesem naszej spółki. Apetyt rósł w miarę jedzenia, jak to się mówi. W tym czasie twoja Duńcia poznała nas z Pawłem i Natalią, oni też weszli do interesu, dając potężny kapitał. Biznes szedł lepiej, niż zakładaliśmy. Pod okiem władzy żyliśmy jak królowie. Świat leżał u naszych stóp. Brandy lała się strumieniami, brydż do białego rana, drogie cygara, imprezy. Jedynie twój ojciec zachowywał dystans. Widzieliśmy, że nie do końca popiera nasz styl życia. Później dołączył też niejaki Pedro - tak kazał na siebie mówić i nikt nie znał jego prawdziwego imienia. Zawsze trzymał się z dala, ale miał niesamowitą intuicję handlowca. Przed wojną pracował w jakimś banku.

Przełknąłem ślinę z wrażenia, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszę. Nagle zauważyliśmy, że z oddali zbliża się w naszą stronę czerwona wrona. Mieczysław i Edward zaczęli nerwowo machać skrzydłami,

przeraźliwie krzyczeć i pisać. Robili wszystko, by ją odgonić. Ich wrzask udzielił się i mnie. Zacząłem krzyczeć. Nic to nie pomogło. Przyfrunęła i zaczęła wrzeszczeć na moich towarzyszy.

Obudziłem się. Zerwałem się z łóżka i spojrzałem w kierunku drzwi. Stała w nich moja matka.

- Co ty tu robisz? - zapytałem przerażonym głosem. Czułem, że serce bije mi z siłą pneumatycznego młota.

- Mówiłeś przez sen. Gadałeś tak głośno, że słychać było w moim pokoju. Zacząłeś w pewnym momencie krzyczeć, to się zaniepokoiłam i weszłam zobaczyć, co się dzieje. Wszystko w porządku?

Przetarłem dłońmi twarz, sięgnąłem po fajkę. Włożyłem ją do ust. Nie zapaliłem, chciałem jedynie potrzymać ją między zębami.

- Wszystko w porządku - uspokoilem Duńcię. Ale wcale w porządku nie było. Senny koszmar tej nocy przeraził mnie potwornie.

„Na chuj mi było otwierać to pudełko ze zdjęciem?” - pomyślałem, czochrając włosy.

Matka w tym czasie opuściła bez słowa mój pokój. Spojrzałem na zegar. Piąta minut dwie. Za oknem świt. Słońce pomarańczowym blaskiem oświetla ściany sąsiadujących kamienic. Poszedłem do kuchni. Duńcia siedziała przy stole, popijając poranną kawę.

- Mnie nie zaparzyłaś?

- Myślałam, że jeszcze sobie pośpisz.

Bez słowa komentarla wyjąłem filiżankę z szafki, wsypałem do niej arabikę, wlałem wodę do czajnika, postawiłem go na kuchence, odkręciłem kurek i podpaliłem zapalką gaz.

- Mam dosyć tych snów, mam - wydukałem, siadając na taborecie.

Patrzyła na mnie jak zwykle beznamiętnym wzrokiem.

- Nie zapytasz, co mi się śniło?

- Nie.

Jej odpowiedź w sumie mnie nie zaskoczyła. W milczeniu obserwowaliśmy, jak woda w czajniku powoli zaczyna wrzeć. W głowie cały czas krążył mi senny koszmar. Zalałem kawę w filiżance, posłodziłem i dolałem mleka.

- Nie uważasz, mamo, że każdy nasz poranek jest podobny do wszystkich poprzednich? Dlaczego nic nie mówisz? Znowu śniły mi się te cholerne niebieskie wrony.

- Wiem - oznajmiła.

- Skąd wiesz?! - zapytałem zdumiony.

- Przez sen mówiłeś o niebieskich wronach, rozmawiałeś z wujem Edwardem i tym jego współnikiem, Mietkiem z fotografii. Mówili ci o swoich interesach z czasów wojny. Tak?

- Tak. I ja to wszystko mówiłem przez sen?

- Oczywiście, inaczej skąd bym wiedziała?

- Grałem też poloneza Chopina na kawałku glinianej bryły, która okazała się skrzypcami. To jakaś paranoja, mamo.

- Grałeś we śnie - powiedziała z nostalgią.

Dopiłem kawę. Podparłem głowę dłońmi, opierając łokcie na kolanach. W takiej pozycji siedziałem około godziny. Analizowałem dzisiejszy sen klatka po klatce. Z każdym kadrem ogarniało mnie coraz większe przerażenie. Matka w tym czasie sama zjadła śniadanie, gdyż ja odmówiłem, posprzątała w kuchni, rozmroziła lodówkę.

- Może jednak coś zjesz? - zapytała.

- Nie jestem głodny. Jestem przerażony. Te wrony śnią mi się już kolejną noc. One mi powiedziały, że ty ze swoją matką w czasie wojny miałyście tajną spółkę z Edkiem i tym Mietkiem? Ponoć oprócz tego, że udzielałaś lekcji, handlowałaś antykami i czym się tylko dało, byle zarobić.

Matka stanęła nade mną i zaczęła głaskać po głowie. Poczułem ogromny chłód jej kościstej dłoni. Miałem wrażenie, że położyła mi na głowie tafłę lodu. Ciarki przeszły mi po całym ciele.

- Naprawdę musisz zmienić swoje życie, synku - powiedziała i poszła do swojego pokoju.

W tej chwili pragnąłem się upić. Zalać mordę w trupa z kumplami w Czardaszce i mieć to wszystko głęboko gdzieś. Szurając stopami o posadzkę, poszedłem do siebie. Zapaliłem fajkę. Nawet ona miała dziś inny smak. Położyłem się na łóżku. Stopy zwisały mi poza krawędź.

Bałem się zamknąć oczy, by znowu nie usnąć. Dym z Azji leniwie unosił się pod sufit. Moja Ala nie lubiła, gdy paliłem, leżąc w łóżku. Ciekawe, co u niej słychać... Boże, to już dziewięć lat, jak ode mnie odeszła. Ułożyła sobie życie, poszła śmiało do przodu, a ja cofnąłem się do czasów kawalerskich, z tym że w okropnym wydaniu.

Zerwałem się z pościeli, odłożyłem fajkę na stół i czym prędzej ubrałem się, pragnąc wyjść z domu.

- Gdzie są klucze od mojego mieszkania? - zapytałem matkę, która w tym czasie pastowała swoje buty.

- Zgubiłeś klucze? Trzeba będzie zmienić zamki.

- Nie od tego, potrzebuję klucze od tamtego drugiego mieszkania, na Kopernika.

- Chcesz tam iść?

- Tak. Nie byłem w nim od chwili rozstania z Alą. Przy okazji cię wyręcę i podleję kwiaty.

- Synu, tam nie ma żadnych kwiatów. Ja zaglądam do niego tylko po to, by sprawdzić, czy nikt się nie włamał. Poza tym w ogóle w nim nie sprzątam.

- Nic nie szkodzi. Jak wiesz, brud mi nieobcy. Po prostu mam potrzebę odwiedzić stare kąty.

Matka bez słowa wyjęła z torby pęk kluczy. Z małego kółeczka odczepiła jeden, który następnie położyła na szafce w przedpokoju, obok telefonu. Założyłem buty, schowałem klucz do kieszeni spodni i wyszedłem.

Trzypokojowe mieszkanie, w którym żyłem z żoną, mieściło się na drugim piętrze w starej trzykondygnacyjnej kamienicy. Dostaliśmy je w prezencie ślubnym od mojej matki. Miała gest. Przed oknami sypialni rosła i rośnie do dziś piękna potężna brzoza, dlatego nasze mieszkanko nazywaliśmy pieszczotliwie Brzozia. Gdy uprawialiśmy seks, ta brzoza wszystko widziała. Patrzyła, jak się wijemy, turlamy, pocieramy, całujemy, pocimy i pijemy kawę. Ala była naprawdę świetną żoną i kochanką w jednym. Czułem, że mnie kocha i ja również darzyłem ją ogromną miłością. Dlatego tym bardziej ciężko mi było zrozumieć jej

odejście. Z tego właśnie powodu nie przychodziłem do tego mieszkania. Znienawidziłem je, znienawidziłem siebie i cały świat. Teraz jednak, po tylu

latach, postanowiłem sprawdzić, czy emocje opadły i czy zatraciłem całkowicie sentyment do tego miejsca.

Przekroczyłem drzwi kamienicy. Zapach klatki schodowej był niezmienny od lat: połączenie starego drewna z zalegającą pod schodami pleśnią. Trzymając się poręczy, powolnym krokiem wchodziłem stopień po stopniu na górę. Drewniane schody skrzypiały pod moimi stopami niczym gnieciony w dłoniach skórzany portfel. Zdawało się, że za chwilę cała konstrukcja pęknie pode mną, a ja rozsypię się na drobne. Mocniej chwyciłem za poręcz. Brudny brąz spoglądał na mnie ze ścian zaspanym wzrokiem. Nawet ziewał. Zacieki przy suficie i podłodze zatrzymały się w czasie, wstrzymując oddech. Miałem wrażenie, że nawet żarówka stercząca ze ściany jest ta sama co kiedyś. Byłem u celu. Stałem na wprost drzwi mojego mieszkania. Potężne wrota przywodziły myśl o twierdzy. Przesunąłem dłoń po framudze. Pod palcami poczułem chropowatość zleżałej, spękanej, odpadającej małymi płatkami farby. Wyjąłem z kieszeni klucz. Przekręciłem zamek w drzwiach. Trzask przesuwanych sztab rozniósł się echem po klatce schodowej. Przełknąłem ślinę. Chwyciłem za klamkę. Po chwili byłem w środku.

„Rzeczywiście tu nie było sprzątane od lat” – pomyślałem, czując w nozdrzach unoszący się kurz. Wszedłem do sypialni. Małe łóżko wyglądało, jakby czekało niecierpliwie na właścicieli. Brzoza na zewnątrz niezmiennie patrzyła w okno.

- Nic z tego, kochana, możesz tylko wspominać - powiedziałem, patrząc na migoczące w słońcu liście.

Wycofałem się do salonu. Czubkiem buta odchyliłem dywan, pod którym zobaczyłem rzeczywisty kolor podłogowych desek. Wszystko wokół niego miało sinobrunatną barwę od zalegającego kurzu. Obrazy na ścianach z politowaniem patrzyły na tę ponurą przestrzeń. Zasłony i firanki w oknie przypominały listopadowy deszcz. Spojrzałem na komodę stojącą w kącie pokoju. Swego czasu ten mebel zdobił srebrny

świecznik w kształcie konia szykującego się do skoku przez przeszkodę, z łbem mocno wyciągniętym do przodu. Tak, to ten ze zdjęcia! Przypominam sobie, dostaliśmy go od mojej matki w prezencie, tyle że nie pamiętam, z jakiej okazji. Z pewnością Ala zabrała go na pamiątkę. Westchnąłem, drobiny wspomnień połechtały gardło. Przeniosłem wzrok na podłogę. Tuż obok komody spostrzegłem pożółkłą karteczkę. Wziąłem ją w dłoń i zacząłem czytać. *Ziemowit Perczak, Żeromskiego...* i w tym miejscu papier był przerwany. Rozejrzałem się wokół, by sprawdzić, czy gdzieś leży brakujący fragment zapisków. Nie było.

- Żeromskiego ile? Kto to jest Ziemowit Perczak?

Zacząłem przywoływać w pamięci osoby z kręgu znajomych z dawnych lat. Nie znałem nikogo o tym imieniu. Schowałem świstek do prawej kieszeni spodni, z lewej wyjąłem nabitą tytoniem fajkę i zapalki. Zapaliłem. Dym wypuściłem w przestrzeń mieszkania. Przez chwilę poczułem się jak za dawnych lat. Miałem wrażenie, że Ala jest w kuchni i przygotowuje obiad.

- Podsmaż mi bardziej ziemniaki, a mortadela może być jak zawsze bez panierki - krzyknąłem. Uśmiech pojawił się na mych ustach. Zasiadłem w swoim ulubionym niegdyś fotelu. Kurz spod tyłka buchnął większy niż dym z mojej Azji. Wróciły wspomnienia. - Po chuj ja tu przyłożyłem? - powiedziałem do siebie, rozglądając się po pokoju. Ściany, meble, obrazy i wszystko inne w mieszkaniu umarło, a we mnie odżyło wspomnienie. Czułem, jak łzy napływają mi do oczu. Energicznie przetarłem wilgotne policzki nadgarstkiem. Tytoń w fajce wygasał. - Spierdalam stąd. - Moje słowa odbiły się od spragnionych ludzkich słów i spojrzeń ścian. - Muszę się dziś uchlać, umoczyć mordę jak świnia ryj w korycie - rzuciłem, kierując się do wyjścia. Te ściany nigdy nie słyszały podobnych zdań.

Po opuszczeniu Brzozi kroki kierowałem do Czardaszki. Południowe słońce ogrzewało mi głowę. „W końcu zrobiło się prawdziwe lato, dosyć tego deszczu” - pomyślałem, mrużąc oczy. Na horyzoncie migotało w wibrującym powietrzu obskurne wejście do speluny, która miała być moim mordercą wspomnień. Stąpając zwawo przed siebie, nagle

potknąłem się o dziurę w roztrzaskanej płycie chodnikowej.

- To jakiś znak? Nie, gównno, mam dość. Naprawdę mam dość. Koniec z chlaniem. Ja muszę ćwiczyć. Ćwiczyć grę na tych cholernych skrzypcach - powiedziałem, potrząsając głową. Skręciłem w najbliższą ulicę i wróciłem do domu. Matki nie było. Wszedłem do salonu, wyjąłem skrzypce z futerału i zacząłem się im przyglądać. - Muszę ćwiczyć - wymamrotałem. Usiadłem na fotelu, wpatrując się w leżący na mych kolanach instrument i drapiąc jednocześnie smykiem za uchem.

- Więc ćwicz. Ja ci pomogę.

- Jesteś? Nie słyszałem, jak wchodzisz. - Odłożyłem skrzypce na podłogę.

- Nie kładź ich byle gdzie, bo zniszczysz, są naprawdę sporo warte. Bez słowa podniosłem instrument i włożyłem do czarnego futerału.

- Dziś nic z tej gry nie będzie, mamo.

- Co się stało, synku?

- Niepotrzebnie tam poszedłem. Wróciły wszystkie wspomnienia.

- Sam tego chciałeś - skwitowała.

- Ale jestem z siebie dumny, bo miałem zamiar iść się upić do Czardaszki i w ostatniej chwili zmieniłem zdanie.

Duńcia patrzyła na mnie jak zwykle pustym wzrokiem. Przeszła przez pokój do okna. Miałem wrażenie, że zaczyna tańczyć. Jej ciało wibrowało, a kolorowe kwieciste wzory na sukience zaczęły zmieniać barwy. Migotała? Nie. To mnie łyzy zacierały realny obraz.

- Ty płaczesz? - zapytała.

Milczałem. Popołudnie i wieczór spędziliśmy razem, oglądając telewizję, jedząc prażone orzeszki, ja popalałem fajkę. Gdy wstałem z fotela, by szykować się do snu, przypomniałem sobie o kartce znalezionej w Brzozie.

- Mamo, znasz może niejakiego Ziemowita Perczaka? Chyba mieszka przy Żeromskiego, tylko nie wiem, pod jakim numerem, bo tu papier jest urwany - oznajmiłem, pokazując Duńci wyjęte z kieszeni zapiski.

Spojrzała na mnie, po czym wzrok przerzuciła na karteczkę.

- Znalazłem to w tamtym mieszkaniu. Leżało na podłodze przy

komodzie, tam, gdzie stał ten świecznik w kształcie konia, prezent od ciebie - wyjaśniałem.

- Nie. Nie znam nikogo takiego, a tobie radzę: nie zabawiaj się znowu w detektywa, bo ciągle będą cię dręczyć nocne koszmary.

- Ta karteczka musiała tam leżeć dziewięć lat. Ciekawe, kim jest ten facet.

- Mówię ci, nie zaprzataj sobie głowy takimi rzeczami. Skoro to leżało dziewięć lat, to już chyba straciło ważność.

- Zobacz, to jest pismo Ali. Zawsze tak śmiesznie zakręcała litery. Zwłaszcza to zet fajnie wywijiała.

- Kładź się już spać, synku. Jutro niedziela, nie musisz iść sprzątać. Wyśpij się, odpocznij i daj już spokój z tymi wspomnieniami przeszłości. Mnie naprawdę zaczyna to męczyć. Najpierw ludzie z fotografii, niebieskie wrony, teraz jakiś mężczyzna z żółtej karteczki.

Bez słowa poszedłem do swojego pokoju. Zegar wskazywał dwudziestą drugą minut sześć. Wcześniej jeszcze na spanie. Rozejrzałem się po pokoju, spojrzałem za okno. Zdjąłem spodnie, koszulę, skarpety. Czas wziąć kąpiel. Wyjąłem z szafki świeże majtki i poszedłem do łazienki. Szum wody wypełniającej wannę zagłuszał dręczące wspomnienia dzisiejszego dnia i narastającego strachu przed nocą. Zanurzyłem ciało w gorącej wodzie, chowając pod jej taflą również głowę. Otworzyłem oczy. Przejrzysta ciecz oddzielała mnie od brudnego świata. Światło żarówki na suficie wydawało się drogowskazem, morską latarnią. Wyciągnąłem rękę spod wody, kierując palec w stronę żółtego blasku, jakbym chciał go dotknąć. Wynurzyłem się. Poczułem chłód.

- Wszystko w porządku? - Usłyszałem zza drzwi. - Siedzisz tam prawie godzinę.

- Już wychodzę - zawołałem, sięgając po ręcznik.

Wróciłem do pokoju, rozebrałem łóżko. Boję się usnąć. Z półki wziąłem *Złego Tyrmanda*. Nienajlepsza lektura przed zaśnięciem, ale na dziś dla mnie idealna, bo długa, do rana pozwoli przetrwać. Gdybym był jak ten dociekliwy redaktor Edwin Kolanko... Godzina pierwsza minut osiem, strona trzydziesta siódma. Redaktor Kolanko daje do przeczytania

Kubusiowi artykuł w „Ekspresie Wieczornym”. Ktoś ich ubiegł i był na miejscu bójki pierwszy. Kubuś się wścieka. Wszedłem na wysokie drzewo, z którego widok rozpościerał się na morze. Wziąłem głęboki oddech, czując, jak gęste powietrze napełnia mi płuca. Przede mną morskie fale leniwie zaczepiały piaszczysty brzeg, opowiadając mu historie z głębin. Wyjąłem z kieszeni fajkę i zapaliłem. Świeży powiew morskiego wiatru wymieszał się z zapachem amfory – szarlotka z bitą śmietaną! W pewnej chwili obok mnie usiadła czerwona wrona.

- Też lubię morskie powietrze – oznajmiła, patrząc mi w oczy.

- Mamo, to ty?

- To ja, matki nie poznajesz?

- Poznaję. Teraz poznaję. Tyle że... – Bałem się dokończyć myśl.

- Tyle że dziwi cię, że jestem czerwoną wroną.

- Tak, podłą, okrutną, czerwoną wroną.

Domyślałem się, nawet byłem tego pewny, ale nie dopuszczałem tego do siebie. Dlaczego, mamu, przeganiaasz ludzi, z którymi się spotykam?

- Ciesz się nadmorskim wiatrem, synku, póki możesz.

- Co masz na myśli?

Milczała. Spojrzałem na stopy. Nie dotykałem ziemi. Trawa pode mną była czerwona. Nagle wszystko wokół przybrało taką barwę. Niebo, morze, ziemia, trawa, drzewa, nawet ja. Moja matka zawładnęła wszystkim dookoła. Wybuchnęła potężnym śmiechem.

- Ty umiesz się śmiać, mamu! – krzyknąłem.

- Umiem się śmiać nawet na czerwono, synku.

Nie wiem, jak to zrobiła, ale rzeczywiście zaczęła śmiać się na czerwono. Nagle z jej oczu popłynęły czerwone łzy.

- Ty płaczesz!

- Płaczę, śmiejąc się czerwonią.

Byłem przerażony. Fajka wyleciała mi z rąk i upadła na trawę. Nie zgasła. Dym wydobywający się z niej również był czerwony.

- Wkradłeś się, synku, do świata, który cię przeraża. Nie zrozumiesz go.

- Oni powiedzieli, że już jest za późno, by się wycofać. Ty nie chcesz

rozmawiać ze mną o przeszłości, a oni bardzo chętnie to robią.

- Tak, przywołałeś ich dusze i teraz mam problem. Bardzo duży problem i raczej nie mam wyjścia. Mówiłam, żebyś nie dotykał tej szkatułki.

- Co zamierzasz zrobić, mamó?

Otworzyłem oczy. Z przerażeniem rozejrzałem się wokół. Za oknem świtało. Książka Tyrmanda leżała na podłodze. Nakryłem głowę kołdrą i zacząłem gryźć poduszkę.

- Zasnąłem, kurwa, zasnąłem! - wydusiłem z siebie stłumionym głosem. Chciało mi się wycić, krzyczeć, gryźć, rzygać, tańczyć, wchodzić na drzewa. Co się ze mną dzieje?! Dziś niedziela, jutro mam iść do tego faceta i jego córeczki. Spojrzałem na zegarek. Ósma minut siedem. Jeszcze nigdy chyba tak długo nie spałem. Podniosłem się z łóżka i posuwistym krokiem poszedłem do kuchni. Matka siedziała przy stole wpatrzona w okno.

- Długo spałeś, synku. Już wstawiłam wodę na kawę.

Miałem wrażenie, że żyję w beczce. Ostatnie kilka dni zaczynały i kończyły się dokładnie tak samo. Kawa, śniadanie, matka, potem chuj wie co, spanie, popierdolony koszmarny sen i znowu kawa, śniadanie, matka, znowu chuj wie co.

- Znow miałem koszmar!

Matka odwróciła twarz w moją stronę. Jej oczy były czerwone.

- Płaczesz?

Jej twarz powoli pokrywała się czerwienią, z ciała zaczęły wyrastać czerwone pióra. Woda na kawę wrzała, gwizdek czajnika zaczął niemiłosiernie głośno wycić, a wydobywająca się z niego para miała kolor czerwony. Nagle cała kuchnia pokryła się czerwienią. Odchyliłem koszulę, spojrzałem na dłonie.

- Kurwa, zarastam niebieskimi piórami! Mamó, co się tu dzieje?! - wrzeszczałem na całe gardło. Czajnik gwizdał, matka zaczęła się głośno śmiać na czerwono. - Mamó, pamiętasz, jak poszliśmy kiedyś do cyrku? - wykrzyczałem. Nagle wszystko umilkło. Woda przestała wrzeć, gwizdek przystawił palec do ust, matka spoważniała. - Pamiętasz tego klauna,

który chodził w tych za dużych butach dookoła areny i wymachiwał parasolem?

- Pamiętam.

- Od tamtej pory nienawidzę cyrku. Ten idiota łąził w kółko, kręcił parasolem i robił idiotyczne miny. Wszyscy się z niego śmiali. We mnie wzbudzał strach i obrzydzenie. Zrobił chyba ze sto okrążeń. W trakcie jego popisów wyszli też facet w meloniku, który wyciągnął królika z kapelusza, kobieta-guma, połykacz sztyletów, a na koniec inny klaun i udawał, że zabija z pistoletu tego krążącego po arenie idiotę w za dużych butach. „Bang!” - wyskoczył napis z lufy, klaun padł i wszyscy zaczęli się jeszcze głośniej śmiać. Cała arena pokryła się czerwonym światłem jak teraz nasza kuchnia. Wyszedł konferansjer w czarnej muszce i ogłosił, że za chwilę pojawią się dzikie zwierzęta, a ich występ nam wszystkim zmrozi krew w żyłach. Zastrzelonego klauna wywieźli na różowych taczkach przy dźwiękach bębnów, trąb, harmonii i gromkich braw - paranoja. Ja teraz właśnie mam wrażenie, że jestem tym pojebanym klaunem łążącym w kółko bez sensu z tym parasolem. Wszyscy się ze mnie śmieją i tylko czekam na to, aż przyjdzie inny kretyn przebrany za klauna i mnie zastrzeli, wywiozą mnie na różowych taczkach, a publika będzie wyć ze śmiechu i bić brawo. Numeru z dzikimi zwierzętami już nie zobaczę i mi nic nie zmrozi krwi w żyłach. Nie chcę kawy, nie chcę śniadania i nie chcę tych piór pod ubraniem! - krzyknąłem.

- Co ty tu robisz? - gwałtownie przerwała mój wywód matka.

Jej wzrok powędrował za moje plecy. Odwróciłem się. W kuchennych drzwiach stała Ala z malutkim dzieckiem na ręku.

- Ala! Co ty tu robisz? - Miałem ochotę zerwać się z krzesła, podejść do niej i ją przytulić.

„Jak ja ją kiedyś kochałem!” - pomyślałem, patrząc w jej niebieskie oczy. Kiedyś miała brązowe.

- Zmieniłaś kolor oczu?

Nic nie powiedziała. Przenosiła wzrok raz na mnie, raz na matkę.

- Wczoraj byłem w naszej Brzosi. Pierwszy raz od dziewięciu lat

przekroczyłem próg naszego gniazdko. Łza się kręci w oku.

Ala stała i patrzyła na nas bez słowa. Dziecko mocno wtuliło się w jej ramię.

- Właśnie przed chwilą zagotowała się woda. Może napijesz się kawy? - zapytałem.

Milczała.

- Powiedz coś.

Podniosła wzrok w kierunku sufitu. Odruchowo podążyłem za jej spojrzeniem. Ala podała mi dziecko, wzięła w dłonie taboret, postawiła na środku kuchni, weszła na niego i ołówkiem napisała na suficie tuż przy lampie liczbę pięćdziesiąt sześć.

- Trzeba to zamalować, synku. Nie można pisać po suficie, droga Alicjo - spokojnym głosem zareagowała matka.

- Co to za liczba? - Z sufitu przeniosłem wzrok na byłą żonę.

- Tego ci brakuje, by poznać prawdę. - Jej twarz zaczęła czerwienić jak wszystko wokół. - Znowu to robisz? - spokojnym głosem skierowała słowa do mojej matki.

- Co robi? Wytłumacz, co znowu robi moja mama.

Ala spojrzała w oczy swojej byłej teściowej.

- Daj mi Carysława - powiedziała, po czym bez słowa zabrała mi dziecko z rąk, mocno przytuliła i wyszła.

- Co znowu robisz, mammo?

- Widzisz, że siedzę spokojnie. Nic nie robię.

Spojrzałem na sufit.

- Pięćdziesiąt sześć - powiedziałem na głos. Matka w tym czasie przyrządzała mi kawę.

- Mleka mam dolać czy sam to zrobisz?

- Doleję sam, ale więcej niż zwykle.

- Pamiętaj, że jutro idziesz do Wita. Jeśli chcesz, to dziś poćwiczmy grę na skrzypcach - oznajmiła, zalewając wrzątkiem porcelanową filiżankę, na dnie której czekały spragnione wody drobinki arabiki.

Rzeczywiście niedzielny poranek rozpocząłem jak zwykle od pierdolonej porannej kawy z mlekiem w towarzystwie matki. Chuj by to

strzelił. Co się dzieje?! Siedzieliśmy naprzeciw siebie. Dłuższy czas nie byłem w stanie wydobyć z siebie słowa. Jaki Carysław? Znowu koszmary sen?! Matka z obojętnością patrzyła na mnie, za okno, coś mówiła pod nosem, piła kawę. Kuchnia jak co dzień chłonęła nasze życie jak gąbka do zmywania naczyń, która przyjmie każdy brud.

- To co, poćwiczmy dziś tę grę na skrzypcach? Jutro idziesz do Wita i jego córki Iv - oświadczyła, wytrącając mnie z zadumy.

- Jak ona ma na imię?

- Iv.

- Od jakiego to imienia zdrobnienie?

- Nie wiem, ale Wit zawsze nazywał ją Iv. Czasem Iwi. Iv to chyba skrót od Ivett albo od Iwony lub Ewy. On lubił słowne gry. Do dziś tak naprawdę nie wiem, czy ta dziewczyna ma na imię Iwona, Iwetta czy może Ewa. Zawsze bawiło go nadawanie różnym ludziom, sytuacjom lub przedmiotom nazw własnych. Twój dziadek miał identyczną skłonność, ty zresztą masz to samo. Dziwaki z was. Ma to swój urok, lecz nie każdy potrafił zrozumieć sens tych nazw.

- Mnie się to podoba. Kryje w sobie swego rodzaju tajemnicę. Jak wiesz, swoją fajkę nazwałem Azja. Wszystko, co istnieje, powinno mieć imię. - Upiłem łyk kawy. - Śniłaś mi się tej nocy - powiedziałem ponurym głosem. - Byłaś czerwoną wroną i śmiałaś się na czerwono. Siedzieliśmy nad brzegiem morza. Nagle wszystko wokół zrobiło się czerwone. Później śniła mi się Ala. Przyszła do nas z jakimś dzieckiem o imieniu Carysław. Podała mi je, weszła na taboret i na suficie napisała dwie cyfry - pięć i sześć, a może to była liczba pięćdziesiąt sześć? Dodała, że mi tego brakuje do poznania prawdy, zabrała dziecko i wyszła. Dziwne imię - Carysław. Ona też chyba miała skłonności do przeinaczania imion.

- Musisz, synku, odpocząć.

- Mamo, może ja zacznę znowu pić tę cholerną wodę? Od kilku dni, kiedy jej nie chlam, dziwne rzeczy mi się przytrafiają.

- Zrobię dziś dobry obiad. Twoje ulubione kotlety mielone z koperkiem. Potem poćwiczmy przed jutrzejszą wizytą u Wita i jego córki Iv czy Ivi. On zawsze lubił Mozarta, ale nie wiem, co lubi ona. To

naprawdę specyficzna dziewczyna - ciągnęła myśl. - Pamiętam, jak swego czasu Wit opowiadał, że kiedyś weszła na czubek wysokiego drzewa i nie chciała zejść, dopóki ojciec nie ściągnie orkiestry strażackiej, która na harmoniach ma odegrać *Ode do radości*. Co się chłopina nabiegał po mieście, szukając facetów z harmoniami!

- To nie mógł tych strażaków wykorzystać do tego, żeby ją stamtąd zdjęli?

- Nie, powiedziała, że jak ktoś będzie ją chciał ściągnąć, to skoczy i się zabije. Wit nie miał wyjścia. Poszedł do filharmonii i tam znalazł ochotników. Potem w straży wypożyczył dla nich stroje galowe. Sporo go to kosztowało, ale dziecko uratował. Ona miała wiele podobnych pomysłów.

- Ale to dla mnie cenna wskazówka, mamo, bo już wiem, że lubi Beethovena. Ma męża?

- Kto by chciał taką dziwaczkę? Kto o zdrowych zmysłach obchodzi rocznicę utracenia cnoty?

- Interesująca ta Iv czy Ivi.

- Może i interesująca - zakończyła rozmowę matka.

Niedzielę rzeczywiście spędziłem na treningu gry na skrzypcach. Rzecz jasna ćwiczyłem między innymi *Ode do radości*. Skrzypce od trzech pokoleń przechodziły w ręce kolejnych członków naszej rodziny. Miały wciąż piękny dźwięk. Ich dusza chyba naprawdę pochodzi od Boga. Aż grzech źle na nich zagrać.

- Mamo, boję się wizyty w domu tego Wita. Im więcej ćwiczę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że nie potrafię grać. Czarno to widzę.

- Nie bój się. Po pierwsze masz jeszcze sporo czasu, po drugie Witek jest naprawdę świetnym, mocno wyluzowanym facetem, jak zdążyłeś zauważyć. Z pewnością doskonale się porozumiecie. Tą jego Iv, jak sądzę, też nie musisz się zbytnio przejmować.

- Jak mam się ubrać?

- Jutro normalnie. To wizyta robocza. Wystarczy czysta koszula.

- W moim przypadku normalne to są stare łachy z przetarciami. Nie kupowałem nowych ubrań chyba od roku.

- Masz tę flanelową koszulę w kratę, a jakieś spodnie wygrzebiemy z szafy.

- Może jutro do południa pójde kupić porządniejsze ubrania?

- Nie panikuj, synku - oznajmiła krótko.

Rzeczywiście miała rację. Ubiorę się zwyczajnie. To nie wizyta u królowej angielskiej. Zabrałem się do gry. Matka pichciła w kuchni. Za oknem słyhać było ujadanie jakiegoś psa. Przeszkadzało mi to, bo czekał okropnie głośno i długo. Podszedłem do okna. Żadnego psa nie widziałem, ale szczekanie było wyraźnie słyszalne. Mój wzrok przykuły krążące nad kamienicą białe gołębie. Klasnąłem w dłonie. Pies, jak gdyby zczarowany sztuczką magika, przestał szczekać. Wróciłem do gry. Dźwięki *Ody do radości* rozchodziły się po całym mieszkaniu i przez otwarte okno wylatywały na podwórze. Zapach smażonych przez matkę kotletów z koperkiem unosił się jak moja muzyka. Pociągnięcia smyka po strunach przypomniały mi pieszczoty z pierwszą sympatią. Tuliłem ją w ramionach, dociskałem raz mocniej, raz delikatniej, przeciągałem palcami po jej talii, ona wydawała cichutki szept rozkoszy, poddając się każdemu poleceniu mych dłoni. Pocałowałem ją w szyję. Miałem wrażenie, że zostawiam na niej podpis. Autograf ust. Naznaczam ją. Będzie moja? Nie była.

- Chyba brakuje mi kobiety - powiedziałem, opuszczając skrzypce i smyk.

Na dziś koniec. Odłożyłem instrument do czarnego futerału. Usiadłem w fotelu. Dźwięki granej przed chwilą muzyki krążyły jeszcze w mojej głowie.

- Strasznie wpadłeś! - Usłyszałem z kierunku drzwi.

- Słucham? - zapytałem mocno zdziwiony. Muzyka ucichła. - Kim pani jest?

W progu stała piękna niebieska wrona.

- Natalia.

- Jaka Natalia?

- Ta ze zdjęcia - oznajmiła, przeczesując niebieskie piórka. - Ciągle wypytywałeś o moje relacje z twoją mamą. Rzeczywiście uczyła mnie

grać na skrzypcach. Ona naprawdę jest doskonałym pedagogiem. Ma w sobie dużo delikatności muzycznej. Ale tylko muzycznej. Szkoda mi cię.

- Ona ma rację. Bardzo wpadłeś i nie ma odwrotu. - Zza pleców Natalii dobiegł mnie męski głos.

- A pan to kto?

- Paweł - oznajmił porośnięty niebieskimi piórami mąż kobiety.

- Rodzice Ani. Boże, znowu wszystko robi się czerwone - rzekłem z przerażeniem. Natalia i Paweł nagle zniknęli. - Mamo, nie rób mi tego! - krzyknąłem w myślach.

„Wszystko mi, kurwa, znika, jak wokół robi się czerwono. Całe życie znika jak pierdolona kamfora na dupsku” - pomyślałem. Ci dwoje rozplynęli się jak żeglarze na pełnym morzu, ginąc w jego niekończącej się przestrzeni.

Poczułem potrząsanie za ramię.

- Kotlety już na stole. Przysnąłeś, synku.

Poszliśmy do kuchni.

- Tak niesmacznego mielonego nie jadłem nigdy. Z czego ty zrobiłaś tego kotleta, z psa?

- Frycku, co się stało? - zapytała Duńcia spokojnym jak zawsze głosem, przeciągając palcami po włosach.

- Przepraszam, mamo. Ja nawet na chwilę nie mogę przysnąć, bo mi się te koszmary śnią. Ale zastanawia mnie, dlaczego akurat ci wszyscy ludzie ze zdjęcia. Są niebieskimi wronami, a ty czerwoną, której się wszyscy boją. Wuj Edek, Mietek, teraz Natalia i Paweł mnie nawiedzili.

- Synku... Naoglądałeś się tego zdjęcia i dorabiasz sobie do niego jakąś teorię. Prawie wszyscy ludzie z tej fotografii nie żyją, a ty co chwila o nich wypytyujesz, dociekasz, analizujesz, a potem się dziwisz, że masz koszmary. Naprawdę weź się do pracy, ćwicz grę na skrzypcach, a przestanieś myśleć o głupstwach. Ja już nawet nie mam ochoty wysłuchiwać tego, co ci się śniło. Mówisz przez sen, krzyczysz i palisz fajkę po nocy, zamiast spać. Naprawdę się ogarnij.

Słuchałem w skupieniu słów matki, która rzeczywiście miała rację. Zbyt mocno zająłem się analizowaniem jakiejś starej fotografii.

- Nawet Ala mi się przyśniła, już ci mówiłem.

- No widzisz, sam się pogrążasz, a potem jesteś przerażony. Niepotrzebnie tam poszedłeś. Wystarczy, że ja od czasu do czasu doglądam tego mieszkania. Nawet się zastanawiałam, czy komuś je wynająć.

- A to pięćdziesiąt sześć, które Ala napisała na suficie, co miało oznaczać?

- Synu, w snach naprawdę dzieją się dziwne rzeczy. Budzisz się i nie wiesz, czy jeszcze śnisz, czy już można iść myć zęby.

- Właśnie, kiedy ja byłem u dentysty? Ale muszę ci się pochwalić, że ostatnio ząb bolał mnie dwa lata temu. Nie lubię chodzić do stomatologa. Tam zawsze śmierdzi i denerwuje mnie dźwięk tej maszyny wolnoobrotowej. Pamiętam, jak w podstawówce byłem w szkolnym gabinecie wyleczyć ząb. W ustach grzebała mi taka stara raszpla dentycha, która co chwilę drapała się pod spoconą zarośniętą pachą, a później wkładała mi te palce do ust. Myślałem że się porzygam. Ala, a ty kiedy byłeś u dentysty?

- Ja chodzę regularnie. Odkąd od ciebie odeszłam, jeszcze bardziej dbam o zęby. Carysława też często posyłam do dentysty. Zdrowe zęby to podstawa.

- Jak czyste buty. Każdy porządny człowiek powinien mieć czyste buty i zadbane zdrowe zęby.

- I paznokcie. Paznokcie też świadczą o człowieku. Miałam kiedyś koleżankę, która miała wiecznie poogryzane paznokcie i długo nie mogła znaleźć męża - oznajmiła Alicja.

- Przez paznokcie? - zapytałem, spoglądając na swoje dłonie.

- Przez paznokcie. Nigdy nie wiemy tak naprawdę, dlaczego szczęście nas omija. Ją omijało przez poogryzane, postrzępione paznokcie. Każdy facet, który całował ją w rękę na powitanie, patrzył na nie. Odstraszały wszystkich kawalerów.

- Odeszłaś ode mnie do innego faceta, bo miałem zaniedbane paznokcie?

- Nie, paznokcie miałeś zadbane. Odeszłam, bo...

- Dbaj o siebie, synku. - Matka spojrzała czerwonymi oczami na Alę, a ta zamilkła i zniknęła.

Wszedłem na ulicę. Było pusto. Nawet samochód nie przejechał. Przejrzałem się w sklepowej witrynie. Dobrze wyglądam. „Faktycznie ładnie mi w tej kraciastej koszuli” - oceniłem. Skrzypce w futerale pod moją pachą czuły, że szykuje im się coś niezwykłego.

- Nie martw się, zagram jak najlepiej. Poza tym nawet nie wiem, czy oni będą chcieli, żebym coś grał. Wziąłem cię na wszelki wypadek. - Pogłaskałem futerał jak ukochaną. Czułem, że pocę się na całym ciele. Potknąłem się. Lewą nogą, to na szczęście.

„Widzisz, wszystko będzie dobrze. Ulice mojego miasta są jak poszarpane tasiemki od starego gorsetu” - pomyślałem, wystawiając twarz w kierunku słońca. Gdzie się podzieli ci wszyscy handlarze, przechodnie, zabłąkane psy, gołębie? Pomór w Kielcach? Wszedłem na główny plac miasta, którego wizytówką jest stara fontanna przed ratuszem. W czasie wojny Niemcy zrobili sobie w tym miejscu zbiornik na wodę i tak już zostało. Nowe władze po wojnie posadziły wokół niej trawnik, a całość stanowi rondo, od którego odchodzi sześć uliczek obstawionych ściśle przylegającymi do siebie obskurnymi, poszarzałymi i odrapanymi kamienicami. Czy to miasto zyska kiedyś blask? Woda z fontanny tryskała tak niemrawo, jakby jej się nie chciało tryskać. Kawiarnia Sołtyków, niegdyś miejsce tętniące artystycznym życiem, teraz śpi twardym snem. Nagle wokół mnie pojawił się tłum ludzi. Nie wiem, skąd wyszli, ale zjawili się zupełnie znikąd. Stres przed wizytą u Wita i Iv zeżre mnie łapczywie jak wygłodniały kot schwytaną mysz. Spojrzałem na zegarek - szesnasta dwadzieścia. Jeszcze czterdzieści minut. Obok mnie przebiegł zabłąkany pies. Zabawnie rozgonił małe stadko gołębi przy pomniku Świętej Tekli. Jakiś pijak siedzący na zardzewiałym ogrodzeniu oddzielającym świętą od pospólstwa puścił pawia na chodnik. Cham jeden, nawet takiego miejsca nie potrafi uszanować. Wyrzygał się, przetaił brudnym łapskiem gębę, po czym

wziął do ręki stojącą przy nodze butelkę po piwie i wrzucił w pobliskie krzaki.

Czas mijał mi bardzo wolno. Miałem wrażenie, że moje nogi są zanurzone w zastygającym powoli asfalcie. Z futerałem pod pachą wyglądałem jak zbłąkany uliczny grajek szukający dogodnego miejsca do chałturzenia. Pełzałem przy kamienicy z numerem dwa niczym dżdżownica w błocie w podeszczowy dzień. Piętnaście minut. Klakson dużego fiata przebił się przez uliczny gwar. Ktoś krzyknął „Spierdalaj!”, szybkim krokiem przeszedł obok mnie ksiądz, pewnie na ostatnią posługę; gdzieś dalej przejechał radiowóz na sygnale. Zaschło mi w gardle. Podszedłem do saturatora przy wejściu do Społem. Pani w białym fartuchu i czepku na włosach po świeżo wykonanej trwałej ondulacji i z przerysowanym różowym makijażem nawet nie patrzyła na mnie, gdy poprosiłem o wodę z sokiem.

- Malinowy czy truskawkowy? - zapytała, biorąc w pulchne ręce szklanke.

- Obojętne.

- Teraz obojętne, a jak mu nie będzie smakować, to niech nie ma pretensji - burknęła, wlewając malinowy i uzupełniając go następnie wodą sodową.

Ugasiłem pragnienie. Pięć minut. Powoli dochodziłem do bramy kamienicy z numerem dwa. Obrzuciłem ją wzrokiem. Wszedłem. Przedemną kamienne schody wijące się na pierwszą kondygnację niczym zaskroniec w leśnej ściółce. Ciemno jak w rodzinnym grobowcu mimo świetlika na dachu, który był jednak tak brudny, że przepuszczał tylko nikłe promienie słońca. Po omacku znalazłem na ścianie włącznik światła. Pstryk. Zrobiło się jaśniej. Chwyciłem zimną jak lód poręcz. Klatka schodowa śmierdziała moczem. Czy w każdej kamienicy szczają ci cholerni ludzie? Przyciągnąłem do siebie mocniej futerał z boskim skarbem wewnątrz, jakbym chciał go ochronić przed tym smrodem i brudem. Krok po kroku pokonałem kamienne schody, które wieńczyła drewniana podłoga na pierwszym piętrze. Spojrzałem w prawo. W głębi długiego korytarza przemknęła jakaś postać. Spojrzałem w lewo. Drzwi

z numerem dwa spoglądały na mnie posępnym wzrokiem. Jeszcze mocniej docisnąłem futerał do ciała. Zadzwoiłem. Usłyszałem kroki, szcęk przekręcanego zamka. Uchyliły się potężne dębowe drzwi.

- Witam, jest pan bardzo punktualny. Czekamy z niecierpliwością - powiedział Wit, poprawiając kraciasty fular pod szyją. Zapraszającym gestem ręki zachęcił do wejścia. Podaliśmy sobie dłonie.

- Dzień dobry, straszny dziś upał, a jeszcze kilka dni temu padał deszcz i było nieprzyjemnie zimno - oznajmiłem niczym początkująca pogodynka po wieczornym Dzienniku.

- Tak, dziś przydałoby się trochę chłodniejszego powietrza ze wschodu.

- Jeszcze kilka lat wstecz za takie słowa mógłby pan na ten zimny wschód trafić.

Zaczęliśmy się śmiać, pokonując długi korytarz prowadzący w głąb mieszkania. Poczułem charakterystyczny zapach cygara.

- Oto Iv - powiedział gospodarz domu, wskazując siedzącą w głębokim fotelu kobietę.

- Fryderyk, bardzo mi miło - wydukałem, patrząc w jej oczy w kolorze czarnej gorzkiej czekolady. Nigdy nie widziałem takich źrenic. Okalające je długie rzęsy zdawały się wzniecać wiatr przy każdym delikatnym drgnięciu.

- Iv - powiedziała kaszmirowymi ustami i podała mi dłoń. Pochyliłem się, by ją ucałować. Futerał wyslizgnął mi się spod pachy, delikatnie uderzając o podłogę.

- Koncertu nie będzie? - zapytała z uśmiechem, pokazując piękne zęby.

- To solidne skrzypce, droga pani - oznajmiłem, opierając je o stojącą obok szafę.

- Solidnie się pan przygotował, panie Fryderyku. Sądziłem, że dziś tylko ustalimy zasady naszego koncertu. - Iv ponownie się uśmiechnęła, zaczesując za ucho swe długie kasztanowe włosy. Wstała z fotela. - Może kawy? - zaproponowała.

- Tak, chętnie. Bardzo lubię kawę. Co rano pijam ją z moją matką

przed śniadaniem, a później robimy repetę.

Iv bez słowa skierowała kroki do kuchni, zostawiając mnie i Wita. Gdy przemierzała salon, patrzyłem, z jaką gracją się porusza. Suknia okrywająca jej zgrabną sylwetkę była tylko dodatkiem do nietuzinkowej urody. Odruchowo spojrzałem na stopy kobiety. Były bosc. Delikatne stópkę wystające spod długiej sukni wzbudziły we mnie ciekawość. Pozornie brak obuwia nie współgrał z całością jej stroju. Pozornie. Ponieważ właśnie nagość stóp nadawała dodatkowej lekkości i miękkości jej ciała. Pomalowane na czerwono paznokcie idealnie współgrały z jej ustami w tym samym kolorze. „Ona jest piękna!” – zagrało w mej głowie. Niemożliwe, żeby była starsza ode mnie o kilka lat. Wyglądała na dwudziestokilkulatkę, a nie na czterdziestoletnią kobietę.

- Może usiądziemy? - zaproponował Wit, wskazując krzesło przy dębowym stole.

- Piękne mieszkanie - wyznałem, rozglądając się wokół.

- Dziękuję. Cały wystrój to zasługa Iv. Ona co miesiąc robi tu przemeblowanie. Przeszawia meble, coś zawsze dokłada, coś ujmuje, dokupuje.

- Nie ukrywam, że w moim, to znaczy w moim i matki, mieszkaniu jest podobny klimat. Moja Maria uwielbia bibelociki, których jest pełno w każdym kącie. Tu podobnie.

- Iv też lubi kupować wszystko, co jej wpadnie w oko. Jak to kobieta - podsumował Wit, zakładając nogę na nogę, a na widok córki wchodzącej do pokoju z tacą w dłoniach zawołał:

- Jest i kawka!

- Są też ciasto i lody. Lubi pan szarlotkę? Sama ją upiekłam, lody niestety ze sklepu, ale zapewniam, że pyszne - oświadczyła, stawiając na stole przyniesione wiktuały.

- Ja lubię prawie wszystko. No, może poza kaszanką, golonką i salcesonem.

Wszyscy się uśmiechnęliśmy.

- A może coś mocniejszego? - zaproponował Wit.

- Nie, dziękuję, tego miałem nadto przez ostatni czas, jak panu

wspominałem.

- Jest pan alkoholikiem? - zapytała bez ogródek Iv.

- Miałem takie zapędy, gdy rzuciłem pracę po wypadku. Połamałem rękę - dodałem tytułem wyjaśnienia. - Ale z alkoholem postanowiłem teraz skończyć. Poza tym ostatnio miewam bardzo niepokojące koszmary senne i to chyba był skutek nagłego odstawienia alkoholu. Organizm sam powiedział „stop”.

- Ja tam lubię sobie strzelić od czasu do czasu kieliszeczek wódeczki - wyznała Iv.

- Lubi pani wódkę?

- A co wy tak na pan i pani? - wtrącił Wit.

- Racja. Iv jestem.

- Fryderyk.

Pocałowaliśmy się w policzki.

- Tak, lubię wódkę. Ona odgania ode mnie strach - oznajmiła kobieta.

- Czego się boisz?

- Pomidorów.

- Boisz się pomidorów?

- Tak, wiem, że może się to wydawać dziwne, ale w moim umyśle pomidory są diaboliczne. Poza tym mają w sobie paskudne pestki.

- Ja niedawno robiłem sałatkę z pomidorów do obiadu. Rzeczywiście miały w sobie coś niepokojącego, poza tym są czerwone, a ostatnimi czasy czerwień mnie prześladowuje.

- Ale za to bardzo lubię obserwować i rysować muchy - oznajmiła Iv z uśmiechem na ustach. - Od dziecka lubiłam patrzeć, jak fruują i tak śmiesznie brzęczą. Czasem ich widok doprowadza mnie do prawdziwej ekstazy. Zawsze czekam na sezon muchowy.

Spojrzałem na Wita. W skupieniu słuchał naszej rozmowy. Na moje spojrzenie odpowiedział lekkim uśmiechem, po czym poprawił się na krześle, przekładając nogę na nogę.

- Tak, śmieszne są muchy, zwłaszcza jak usiądą na ścianie i przebierają przednimi kończynami przy pysku - oznajmiłem, nabijając

kawałek szarlotki na widelczyk. – Czym zajmujesz się zawodowo, droga Iv? Bo wiesz, ja jestem z wykształcenia krawcem, a ostatnio sprzątaczem podwórek.

– Ja jestem bibliotekarką, pracowałam w szkole, ale od dłuższego czasu siedzę w domu i rysuję muchy.

– Naprawdę rysujesz muchy?

– Tak, mówiłam ci, że je lubię. Lubię na nie patrzeć, ale też rysować. To chyba oczywiste. Tu na ścianie wisi pierwsza narysowana przeze mnie mucha – oznajmiła, wskazując dłonią wiszący nad stołem, oprawiony w barokowe ramy ołówkowy szkic muchy.

– Rzeczywiście ładny obrazek – pochwaliłem.

– Kiedyś ci pokażę moje prace. Mam ich dużo więcej. Poza tym mój kochany tatuś mnie utrzymuje, więc nie muszę pracować. Prawda, tato?

Oboje spojrzeliśmy na słuchającego nas pana domu. Uśmiechał się.

– Może przejdziemy do konkretów? – zaproponował.

– Racja, przecież po to tu przyszedłem. Czy zanim omówimy sprawę, życzą sobie państwo, bym coś zagrał? Ćwiczyłem specjalnie przez ostatnie kilka dni.

– Świetnie, zagraj coś. – Iv klasnęła w dłonie.

– Słyszałem, że lubisz *Ode do radości* – oświadczyłem, wyciągając skrzypce z futerału.

– Tak, a skąd wiesz?

– Moja matka mi opowiadała, że nie chciałaś kiedyś zejść z drzewa, dopóki tego właśnie utworu nie zagra ci orkiestra strażacka.

Iv się uśmiechnęła.

– To dziś wydaje się zabawne, ale wtedy naprawdę bałem się, że jak jej nie zorganizuję tej orkiestry, to skoczy z drzewa – wtrącił Wit.

– To co, może być *Oda*?

– Graj – rzekła, wpatrując się w me oczy.

Wzięłem głęboki oddech, przystawiłem skrzypce do szyi i poczułem ich delikatny chłód. Pierwszy takt, lekkie zachwianie. Drugi – mocne pociągnięcie, smyk sam falował po strunach. Dźwięki utworu zaczęły rozbrzmiewać, jakby grała najlepsza orkiestra świata. Dwuosobowa

widownia słuchała w skupieniu. Gdy skończyłem, zaczęli bić brawo. Poczujęm się dumny i szczęśliwy. Ja, sprzątac psych gówien, właśnie byłem oklaskiwany za wspaniałe wykonanie utworu. Ukłoniłem się w podzięcie. Odłożyłem skrzypce.

- Świetna technika, mówiłem. Pańska matka z pewnością byłaby teraz dumna. W sumie niedaleko pada jabłko...

- Dziękuję, naprawdę dziękuję. Muszę przyznać, że ćwiczyłem pod jej okiem.

- Tak, Maria jest świetnym pedagogiem. Ale czy teraz możemy konkretnie coś ustalić? - wznowił rozmowę Wit. - Uroczystość Iv jest za miesiąc, dokładnie piętnastego sierpnia. Jaką gażę pan sobie życzy?

- Przepraszam, ale zaskoczył mnie pan. Nigdy nie grałem za pieniądze.

- No jak? To miał być układ komercyjny, drogi panie Fryderyku, więc gdzie tu zaskoczenie? - Iv się uśmiechnęła.

- Nie wiem. Może umówimy się tak, że po wszystkim mi pan zapłaci. A jeśli nie zagram tak dobrze jak dziś i zapłata nie będzie adekwatna do usługi?

- Zgoda - oznajmił Wit, podając mi dłoń.

- No tak, ale jakie utwory mam przygotować, masz może specjalne życzenia? - zwróciłem się do Iv.

- To już zostawiam twojej wrażliwości. Wiesz, że lubię *Odę*, więc idź tą drogą. Naprawdę pięknie grasz i sądzę, że cokolwiek byś nie zagrał, będzie dobre i będę zadowolona. Ulżyło mi.

- Tę kwestię mamy dogadałą, ale mam jeszcze jedną sprawę - oznajmił Wit, spoglądając na córkę.

- No właśnie, mówił pan, że będzie mieć dla mnie kolejną propozycję.

- Owszem. To raczej propozycja Iv i ona powie, w czym rzecz.

- Tak. Jesteś krawcem. Chciałabym, żebyś specjalnie na tę uroczystość uszył sobie garnitur w kolorze niebieskim.

- Ale... - próbowałem przerwać.

- Tato zapłaci ekstra, tak, tatusiu?

- Tak, a tu jest zadatek. Myślę, że wystarczy na potrzebne materiały

- krótko oświadczył mężczyzna, wręczając mi wyjęty z portfela spory plik banknotów.

- Ale to jest za dużo. Za tę sumę mógłbym uszyć garnitury dla pięciu mężczyzn.

- Pieniądze nie grają roli. Zadowolenie Iv jest dla mnie najważniejsze.

- Poza tym ja dawno nie szyłem. Zamknąłem pracownię na cztery spusty. Nawet nie wiem, czy nie wyszedłem z wprawy - broniłem się.

- Na skrzypcach też pan długo nie grał, a jak świetnie poszło - ripostował Wit.

- Racja. Jednak czy zdążę w miesiąc?

- Wierzę w ciebie. - Kobieta zatrzepotała rękami.

- Tyle pieniędzy za uszycie jednego garnituru, który w dodatku ma być moją własnością? To naprawdę za dużo i czuję się niezręcznie. Fakt, wstyd przyznać, ale nie mam w szafie nawet marynarki. To coś jak szewc bez butów... - dodałem, spoglądając na dzierzony w dłoni zwitek banknotów.

- Proszę, weź te pieniądze - powiedziała Iv, kładąc swą delikatną dłoń na moim ramieniu.

- Zgoda, ale pod warunkiem, że koncert zagram za darmo.

Iv spojrzała na ojca, on nawet nie drgnął.

- Nie widzę problemu - oświadczył, chowając portfel do kieszeni.

- Ale koniecznie ma być niebieski ten garnitur? - zapytałem, odruchowo szukając wzrokiem w pokoju czegoś w takim kolorze. - Mnie chyba nie będzie ładnie w niebieskim - próbowałem walczyć.

- Niebieski jest piękny. Od dzieciństwa lubię tę barwę. Niebieski uspokaja. Poza tym masz ładne niebieskie oczy, idealnie się będzie komponować.

Z rezygnacją opuściłem głowę, jednocześnie nią potrząsając, na ustach pojawił mi się uśmiech. Schowałem pieniądze do kieszeni.

- Będę zabawnie wyglądał. Naprawdę musi być niebieski? A może brązowy? Niebieski kolor kojarzy mi się z czerwonym, który ostatnio mnie prześladowa w snach.

- I co teraz? - zapytała Iv, spoglądając błagalnym wzrokiem w me ślepie. Chwila milczenia.

- Jak niebieski, to niebieski - oznajmiłem stanowczym głosem. Widziałem ulgę w jej oczach. - W takim razie jesteśmy umówieni - powiedziałem, zbierając się do wyjścia. Wsadziłem futerał pod pachę. Iv i Wit odprowadzili mnie do drzwi. Przekroczyłem próg mieszkania. Usłyszałem zamykające się za mną drzwi i przekręcany zamek. Na szczęście świeciło się światło na klatce schodowej. Rozejrzałem się po posępnie wyglądającym korytarzu. Wyszedłem na zewnątrz. Do domu wracałem okrężną drogą, by w spokoju nasycić się urokiem tej wizyty i poukładać myśli. Nie ukrywam, że Iv zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Jest naprawdę piękna. Lubi wódkę, muchy, niebieski kolor i boi się pomidorów. Ja się kiedyś bałem pomalowanych na zielono ławek w parku i czarnej Wołgi, ale jej wszyscy się bali. Każdy ma swoje upodobania i fobie. Ja lubię palić fajkę i marzę o podróży do dalekiej Azji, a ostatnio boję się usnąć. Westchnąłem głęboko. Przemierzane przeze mnie ulice tętniły życiem. Klaksony aut, rozmowy, szum liści na drzewach. Życie. Prawdziwe fajne życie. Dodatkowo humor poprawiła mi świadomość tego, że dobrze zagrałem. Bili brawo! Jednak nie mogę spocząć na laurach. Muszę teraz dużo grać, a dodatkowo zżyć.

- Tyle pieniędzy dał mi za uszycie dla mnie garnituru? Naprawdę szalony ten Wit. Matka miała rację - powiedziałem do siebie, klepiąc się po kieszeni. Do domu dotarłem po około czterdziestu minutach. Koszula była przesiąknięta potem od trzymanego pod pachą nagrzanego czarnego futerału. - Już jestem! - krzyknąłem, odstawiając instrument na szafkę w przedpokoju.

- Jak było? - zapytała matka, patrząc na mnie mętным wzrokiem, do którego przywykłem.

- Miałaś rację, to dziwna rodzinka, ale są bardzo mili.

- Mówiłam ci. Rozumiem, że się dogadaliście.

- Owszem. Dostałem nawet pieniądze.

- Ooo...

- Ale nie zgadniesz, na co mam je przeznaczyć.

- Zamieniam się w ucho - oznajmiła Maria.

- Mam uszyć dla siebie garnitur na tę okoliczność. Właśnie na to dostałem te pieniądze. A muszę ci powiedzieć, że to całkiem spora suma. Zgodziłem się je przyjąć pod warunkiem, że koncert wykonam za darmo.

- Świetnie. Zagrałeś im coś?

- Tak, *Ode*. Byli zadowoleni.

- Cudownie, synku. To teraz w końcu będziesz szyć i grać - oświadczyła, po czym poszła do salonu czytać książkę. Podążyłem za nią.

- Wiesz co, mam? Fajna ta Iv.

Duńcia oderwała wzrok od lektury i spojrzała mi w oczy.

- Spodobała ci się.

- Tak, jest piękną kobietą. Mówiłaś że jest ode mnie starsza, a wygląda na dużo młodszą. Ma swoje dziwne upodobania, ale któż ich nie ma? - zapytałem retorycznie. - Aaa, zażyczyła sobie, żeby ten garnitur, który mam uszyć, był w niebieskim kolorze.

- Ładnie ci będzie w niebieskim, bo masz niebieskie oczy.

- Ona też to powiedziała. Lubi też wódkę, która chroni ją przed diabolicznymi pomidorami, uwielbia patrzeć na fruujące muchy i je rysuje.

- Dziwna ta Iv jak jej ojciec - spointowała.

- Każdy ma swoje dziwactwa, mammo.

Nie skomentowała moich słów. Zanurzyła się w lekturze, a ja zacząłem palić fajkę. Patrzyłem przez okno na dziejący się świat. Co jakiś czas słyszałem szelest przewracanych stron książki.

- Pół roku nie byłem w pracowni - powiedziałem w zadumie.

- Drogie dziecko, w końcu nadszedł czas przypomnieć sobie, jak się szyje ubrania.

- Dawno nie mówiłaś do mnie „dziecko”, nawet to miłe. Ale czułem, że nadejdzie taki dzień, kiedy będę musiał tam wejść. Może to początek powrotu do zawodu? Może to przypadkowe spotkanie z Witem na mieście było wpisane w mój życiorys? Wierzysz, mammo, w przeznaczenie? Ta Iv...

- Wykonaj zlecenie i tyle - powiedziała szorstko.

- To nie tylko chodzi o przeznaczenie i tę Iv. Tak w ogóle mówię, że

czasem przedziwne okoliczności doprowadzają człowieka do tego, co będzie robił, co się z nim będzie dziać.

Matka przemilczała mój pseudofilozoficzny wywód.

- Muszę poszukać dobrego gatunkowo niebieskiego materiału. Jakoś naprawdę nie widzę się w tym kolorze. Dobrze, że nie zażyczyła sobie czerwonego.

Widziałem, jak Duńcia kręci głową.

Parowóz przejechał przed moimi oczami. Usiadłem na torach. Z kieszeni wyjąłem butelkę wódki z czerwoną kartką, odkręciłem nakrętkę i zacząłem chlać z gwinta. Ja w niebieskim garniturze, wpatrzony w przejeżdżające pociągi z gapiącymi się na mnie pasażerami, chlamię beztrosko wódzochę. Czy siedzę na właściwym torze? Rosyjska ruletka, zajebista gra. Jeśli dróżnik zaśpi albo zapije, nie przestawi zwrotnicy, to najbliższy skład pociągu może przejechać po mnie, robiąc ze mnie pomidora do sałatki na obiad. Ciekawe, co powie na to Iv. Czekam. Piję i z każdym przemykającym po sąsiednim torze pociągiem śmieję się, zagłuszając w głowie jego metaliczny jazgot. Jak ja będę wyglądał w tym niebieskim garniturze? Chujowo. Chujowo to mało powiedziane, ale zobowiązanie trzeba wykonać. Musi się udać! Zdjąłem z drzwi pracowni poźółkłą i wyblakłą kartkę z napisem „Nieczynne do odwołania”. Wszedłem do środka.

- Kurwa, ale tu śmierdzi - powiedziałem do siebie, zatykając nos. Wyjąłem z kieszeni nabitą tytoniem fajkę. Zapaliłem, zabijając smród pracowni zapachem amfory. Maszyna do szycia stojąca w kącie małego pokoiku była pokryta kurzem. Przeciągnąłem po niej palcem. Gruba warstwa brudu przysłoniła czarny kolor Singera przytwierdzonego do drewnianego blatu na artystycznie splecionych, metalowych nogach, zaopatrzonego w nożny mechanizm połączony skórzanym paskiem z kołowrotem maszyny. Na igłę była nawleczona nić. Dziwne. Zawsze ją zdejmowałem, gdy kończyłem pracę. Miałem wrażenie, że ktoś tu był pół roku temu, zaraz po tym, jak ten przybytek zamknąłem, i uszył sobie

spodnie bez mojej wiedzy. Obok maszyny leżała niedbale rzucona metrówka, sparciała, nadgryziona zębiskami czasu, niedaleko śliska kreda do rysowania wzoru pod wycięcie na materiale. Na podłodze były porozrzucane pisma, katalogi mody i szkice ubrań. Zdziwiłem się tym bałaganem, bo zawsze dbałem o moje miejsce pracy i nigdy nie pozwoliłem, by moje rzeczy poniewierały się gdziekolwiek, a tym bardziej pod nogami. Zajrzałem za kotarę zakrywającą wnękę w ścianie. Stojący za nią manekin obszyty szarym płótnem czekał, aż w końcu go wykorzystam, wieszając na nim choćby szlafrok. Uśmiechnąłem się i go pogłaskałem po przyjacielsku. Pociągnąłem dym z Azji. Przeciągnąłem dłonią po szkło, za którym dumnie spoczywał dyplom mistrza krawiectwa Fryderyka Zaruskiego. Zerknąłem na porzucone na sąsiednim stole zwoje materiałów. Też były pokryte kurzem. „Wczoraj koncert na skrzypcach, dziś powrót do krawiectwa” – pomyślałem, zbliżając policzek do zimnej ściany. Postąłem przy niej kilka chwil, chłonąc atmosferę tego miejsca. Ileż tu przewinęło się ludzi, ile trosk i radości słyszały te ściany... Przeciągnąłem dłonią po lamperii, jakbym chciał poczuć rozmowy i wir pracy, jaki tu zostawiłem, furkot maszyny, dźwięk nożyc, krzątanie.

- Ja pierdolę, cudo! - powiedziałem, zamykając oczy. Dwa wdechy. Kurz wpadł prosto w moje płuca. Zakaszałem. - Trzeba by tu przewietrzyć. Ale żal wypuszczać stąd tę atmosferę - westchnąłem, rozglądając się wokół. Usiadłem na podłodze, opierając plecami o ścianę. Chłód lamperii na przepoconej koszuli spowodował naturalny przepływ dreszczy. - Muszę dziś kupić ten cholerny niebieski materiał. Ja w niebieskim! Ma dziewczyna fantazję.

Po godzinie spędzonej w pracowni poszedłem do sklepu po niebieski materiał, na ulicę Żeromskiego, gdzie zazwyczaj się zaopatruję. Ku mojemu zaskoczeniu kupiłem idealnie pasujący do moich potrzeb, to znaczy gustu Iv. Przechodząc radosnym krokiem z belą pod pachą między kamienicami leniwie spoglądającymi wzajemnie na siebie, zerknąłem na jedną z nich z numerem pięćdziesiąt sześć. „Może to zbieg okoliczności, ale może to właśnie tu mieszka tajemniczy Ziemowit

Perczak?” – pomyślałem, wspominając znaną w Brzozie kartkę i sen, w którym Ala napisała na suficie owe cyfry.

– To wszystko ostatnimi czasy zaczyna mnie przerastać, ale muszę to sprawdzić – powiedziałem półszepem, przekraczając drzwi wejściowe do klatki schodowej kamienicy. Szukałem na ścianie listy lokatorów. Próżne działanie. Spojrzałem między poręczami w górę. Trzy kondygnacje. Zapukam do pierwszych drzwi na parterze. Chwila ciszy. Ktoś idzie otworzyć.

– Dzień dobry – mówię do starszej pani w podomce i z wałkami na włosach.

– Słucham – wydukała oschle.

– Nazywam się Fryderyk Zaruski. Może wie pani, czy w tej kamienicy mieszka niejaki Ziemowit Perczak?

Kobieta podejrzliwym wzrokiem zmierzyła mnie od butów po włosy na głowie, po drodze skupiając wzrok na dzierzonym pod pachą niebieskim materiale.

– Pod piątką – odparła i zamknęła drzwi.

Ruszyłem do wskazanego mieszkania. Zadzwoiłem. Po chwili w jego progu stanęła kobieta. Przedstawiłem się z imienia i tym razem zapytałem konkretnie:

– Czy tu mieszka pan Ziemowit Perczak?

– Niech pan wejdzie. – Usłyszałem ochryply głos staruszki. Przeszliśmy do kuchni. Gospodyni bez słowa wstawiła wodę w czajniku. – Zrobię panu kawy, bo nie mam herbaty. Nie zdążyłam kupić – oświadczyła, po czym zasypała dwie filiżanki kawą, wyjęła papierosa z paczki, zapaliła i usiadła na taborecie. – Pyta pan o mojego męża, Ziemowita. On tu już nie mieszka.

– A gdzie, jeśli można wiedzieć? Chciałbym mu zadać kilka pytań. Ostatnio poszedłem do swojego mieszkania, w którym nie byłem od kilku dobrych lat i tam znalazłem karteczkę, na której było napisane *Ziemowit Perczak, ulica Żeromskiego*, bez numeru domu. Powiem pani, że zupełny przypadek sprawił, że odnalazłem ten adres i z ciekawości chciałbym się dowiedzieć, kim jest ten mężczyzna.

Staruszka zalała filiżanki wodą.

- Słodzi pan?

- Tak, dwie łyżeczki.

- Ale cukru też nie mam - oznajmiła, cedząc słowa przez papierosa trzymanego w ustach.

- Nie szkodzi, wypiję bez.

- Jak mówiłam, Ziemek tu nie mieszka.

- Więc gdzie go mogę znaleźć?

- Na cmentarzu.

- Jest grabarzem?

- Nie. On nie żyje.

Upiłem łyk kawy. Zatrzepało mną, bo gorzka.

- Moja matka miała rację, twierdząc, że sprawa może być nieaktualna. Ta kartka leżała tam, jak sędzę, dziewięć lat. Jak się mogę domyślać, pan Ziemowit był pani bliskim, ale co mógł mieć wspólnego z moją byłą żoną?

Staruszka puściła chmurę dymu w kierunku okna, po czym spojrzała mi w oczy.

- To mieszkanie kiedyś tętniło życiem. Do ukończenia pięćdziesiątego roku życia piłam tylko gorzką kawę. - oznajmiła bez związku.

- To miło. Ale...

- Teraz piję słodzoną. Co z tego, że mam dużo pieniędzy i cukrzycę, to i tak nie ma dla mnie żadnego znaczenia. Czasem przesalam zupę. Lubi pan słone?

- Zależy, co jem, ale raczej nie przesalam - oznajmiłem, podejrzliwie patrząc na rozmówczynię.

- Ja widzę tu tylko te ściany pomalowane na pomarańczowo, dywan i meble, które dawno temu razem z Ziemkiem kupiliśmy, wystając w długiej kolejce po nocach. Chodził zawsze ubrany w czarny długi do łydek płaszcz i seplenił. Bardzo seplenił, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. On był wtedy przewodniczącym komitetu kolejkowego. Czasem też zdarza mi się coś przesłodzić. Mam nadciśnienie i biorę leki. Lubi pan słodkie? - Nie odpowiedziałem. Starsza pani westchnęła

z rozrzewnieniem. - On zawsze lubił słodkie.

- Tak, ale wracając do mojego pytania: co pani nieżyjący mąż miał wspólnego z moją byłą żoną? Powiem pani, że ostatnio wszystko mnie zaskakuje. Dopadają mnie koszmary, przeszłość wynurza się z każdego kąta, każdy dzień przynosi nowe nierozwiązane fakty z życia mojej rodziny. Zaczynają się wokół mnie dziać dziwne rzeczy. Chciałbym to wszystko sobie poukładać.

- Kwaśne. Ja lubię kwaśne. Panie Fryderyku... - zrobiła pauzę na zaciągnięcie papierosem - same problemy. Ja lubię kwaśne i Kocham palić. Sporty bez filtra są najlepsze - oznajmiła, dusząc peta w popielniczkę.

- Czyli jednak wie pani o jakimś powiązaniu mojej byłej żony z pani mężem? - dociekałem.

- To wszystko jest teraz gorzkie. Nie lubię gorzkiego, bo jest ohydne. Lepiej milczeć.

- Bardzo mi na tym zależy, droga pani.

- Niech pan przyjdzie za dwa dni. Jak by pan mógł, to niech pan przyniesie ze sobą torebkę cukru. Będzie nam kawa bardziej smakować.

- Staruszka wyjęła kolejnego papierosa z paczki. Zapaliła. Czerwona chmura dymu z jej ust pokryła kuchnię. - Widział pan kiedyś żywego złotego krokodyla? - zapytała.

- Krokodyle nie są ze złota, chyba że to sztuczne miniaturowe figurki - oznajmiłem.

- Ja takiego miałam, żywego. Ale niestety ten piękny złoty krokodyl pożarł mi szczęście.

- Drań jeden - oświadczyłem, patrząc na czerwoną chmurę papierosowego dymu, który wkradał się wszędzie, nie oszczędzając niczego wokół. Był to dla mnie znak, by opuścić mieszkanie staruszki. - Do zobaczenia - rzekłem, zamykając za sobą drzwi.

Wszedłem do swojej pracowni. Rzuciłem na stół zakupiony kawałek niebieskiego materiału. Nerwowym gestem zaczesalem włosy. - Od

czego mam zacząć? Po tak długim czasie to brzmi jak odwieczne pytanie „być albo nie być”. W tym wypadku matka już mi nie pomoże, wszak nie zna się na krawiectwie. Muszę kupić starszce cukier. Dziwna z niej kobieta. Usłyszałem pukanie do drzwi. Czyżby klientela?

- Otwarte! - krzyknąłem. W progu stała Iv. - Co ty tu robisz? - zapytałem mocno zdziwiony.

- To tak się wita zleceńdodawcę? - oznajmiła z uśmiechem na swych pięknych, pomalowanych na marchewkowy kolor ustach.

- Dopiero co wszedłem. Nie spodziewałem się kogokolwiek, a tym bardziej ciebie. Skąd wiedziałaś, gdzie mam pracownię?

- Ojciec mi podał adres, to chyba oczywiste.

- Ale że mnie tu zastałaś? Mogło być zamknięte. Przed chwilą wróciłem ze sklepu z niebieskim materiałem na garnitur - oznajmiłem dumnym głosem.

- Mam intuicję, czułam, że cię teraz tu zastanę. - Uśmiechnęła się tajemniczo. - Mógłbyś tu wpuścić trochę świeżego powietrza? Straszny zaduch - powiedziała, wachlując dłonią przed nosem.

Bez słowa otworzyłem okno na całą szerokość. Iv podeszła do stołu, na którym leżał zakupiony materiał.

- Może być taki kolor? - zapytałem.

- Idealny - oświadczyła, przeciągając dłonią po tkaninie, patrząc na mnie.

- Swoje wymiary znam na pamięć, więc klienta mam przy sobie - próbowałem zażartować. - Może jeszcze dziś wezmę się do pracy.

Zauważyłem, że Iv skupia całą swą uwagę na tym, co mówię i jak się zachowuję. Ja również obserwowałem jej każdy ruch, gest, mimikę twarzy, jednak ona mnie prześwietlała. Miałem wrażenie, że wie, jakie mam pod spodniami majtki. Spacerowała po pracowni, zerkając na wszystko wokół, dotykając przy tym każdego napotkanego przedmiotu. Lekko się uśmiechała. Dopiero w tym momencie dostrzegłem jej oryginalny strój. Miała długą, sięgającą do połowy łydki czarną sukienkę z niewielkim dekoltem wykończonym prześwitującym materiałem. Pod nim widać było biały biustonosz łączący ze sobą jędrne piersi, a między

nimi seksownie wyglądającą szczelinę, w którą ma się ochotę zanurzyć pośliniony palec. Smukłą szyję zdobił bursztyn zawieszony na delikatnym rzemyku. Kasztanowe włosy miała upięte w kok i przebite krzyżującymi się na japońską modę dwoma kolorowymi patyczkami. Całość tworzyła fantastycznie wysmakowaną kompozycję na jej głowie. Stopy ochraniały skórzane czółenka, nogi zaś – czerwone pończochy stanowiące barwny akcent pomiędzy czarnymi butami i takąż sukienką. Całości dopełniała dużych rozmiarów wzorzysta torba z doczepioną na agrafkę plakietką AC/DC.

- Można zapalić? - zapytała Iv, sięgając do torby.

- Jak najbardziej. Ja często palę przy pracy. - Podałem jej krzesło. Usiadłem na rogu stołu. Sięgnąłem do kieszeni po fajkę. Gdy skupiłem się na nabijaniu Azji, poczułem zapach... cygara.

- Ty palisz cygara? - zapytałem.

- Tak, od kilku dobrych lat. Każdego to dziwi. Uwielbiam je.

- Zaskoczyłaś mnie. Kiedy wczoraj u was byłem, czułem ten zapach, ale sądziłem, że pali pan Wit. Nie spotkałem dotąd kobiety, która lubi cygara. Moja babka ponoć kopcila ogromnie dużo papierosów, poza tym wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie...

- Tak, wiem, palicie fajki. To szlachetne i lepiej wygląda, poza tym ładnie pachnie. Ja lubię zapach i smak cygar. Od kilku lat mam comiesięczną dostawę od mojego wuja z Niemiec.

Paliliśmy w milczeniu. W tym czasie próbowałem odczytać z jej twarzy prawdziwe intencje tej nieoczekiwanej wizyty.

- Wiem, że odeszła od ciebie żona - oznajmiła nagle poważnym tonem, zakładając nogę na nogę. Szelest pocieranych pończoch wywołał u mnie lekki stan podniecenia. Pociągnąłem większą dawkę dymu z fajki i czym prędzej wypuściłem go gęstym strumieniem, by zasłonić skrępowanie widoczne z pewnością na twarzy. „Jak ja dawno nie miałem kobiety!” - przeszła mi przez głowę myśl.

- Tak, porzuciła mnie dla innego faceta, ale nie chcę o tym mówić.

- Ja długi czas jestem sama. Każdy mężczyzna, którego poznaję, ucieka ode mnie po kilku spotkaniach. Może odstrasza ich paleniem

cygar, a oni marnie wyglądają przy mnie z tymi petami sterczącymi z ust.
- Uśmiechnęła się.

- Ja stwierdziłem, że nie nadaję się do poważnego związku z żadną kobietą. Rzuciłem picie alkoholu dopiero kilka dni temu, ale nie wiem, czy wytrzymam. Ostatnie pół roku włóczyłem się po knajpach z kumplami o podobnych skłonnościach i chlałem wodę bez opamiętania. Podejrzewam, że właśnie z tego powodu mam każdej nocy koszmary. Coś okropnego, aż szkoda gadać. Poza tym rzuciłem też swój wyuczony zawód na rzecz sprzątanía podwórek... To mało ambitne zajęcie jak na mistrza krawiectwa. Pracowałem w zasadzie tylko po to, by mieć pieniądze na alkohol. Mieszkam z matką i szczerze mówiąc, jestem na jej utrzymaniu. Posiadam co prawda własne lokum, ale nie chcę w nim mieszkać. Za dużo wspomnień z nim związanych mną targa, nawet po dziewięciu latach od wyprowadzki.

- Ale za to pięknie grasz na skrzypcach - zmieniła drażliwy temat.

- Dziękuję, mam nadzieję, że na twoim święcie nie zje mnie trema.

Znowu się uśmiechnęła i zaciągnęła. Wymieszany dym z mojej fajki i jej cygara tworzył zasłonę, spod której widzieliśmy tylko fragmenty naszych sylwetek. Otwarte okno nie wyrzucało na zewnątrz kłębow szarej trującej substancji. Powietrze wydawało się martwe. Iv poprosiła o popielniczkę.

- Mam tylko nakrętkę od słoika.

- Może być - rzuciła krótko. Przez chwilę paliliśmy w milczeniu. Ja postanowiłem powoli wygaszać fajkę. Wytworzyła się dziwna atmosfera zawieszenia myśli. Cały czas czułem, że Iv próbuje mnie przeświecić tymi swoimi czekoladowymi oczami. W głowie zaczęła mi nagle krążyć *Oda do radości*, którą wczoraj grałem dla niej z dużym zaangażowaniem.

Wtem dym z pomieszczenia bardzo szybko wyleciał przez okno, jakby ktoś łączył wentylator. Koncert na jedne skrzypce rozgrywany w mojej głowie przerwało głośne pukanie do drzwi. Widziałem, że Iv lekko się poruszyła.

- A któż to?

- Sprawdź. Może to klienci - oznajmiła.

W progu stał pan Władek, dozorca.

- Panie Frycku, co się dzieje? Wszystko w porządku?

- Jak najlepszym.

- To dobrze, ale nie posprzątałeś pan dziś podwórek. Potrącę z wypłaty.

- Skąd pan wiedział, że tu jestem?

- No tyle dymu wylatuje z tyj pana pracowni przez otwarte okno, że nietrudno się domyślić, że pan tu jesteś. Jak to zobaczyłem, tom pomyślał, że tu się coś podpałiło. Dzień dobry - zwrócił się do mej towarzyszki.

Skinęła głową.

- Muszę panu podziękować za pracę, panie Władku. Wracam do krawiectwa - oświadczyłem, spoglądając na Iv.

- Szczerze mówiąc, to sprzątanie to nie dla pana. Zawsze tak myślałem. Nawet z moją Kryską często my o tym rozmawiali. To nie dla takich rąk. - Wskazał palcem na me dłonie. - No, ale żeśta państwo zadymili! Pani pali cygara?

- Wszystkich to dziwi, to nawet zabawne - roześmiała się, strzepując grubą warstwę popiołu do nakrętki.

- To nie przeszkadzam - oznajmił z uśmiechem, obnażając potężne braki w uzębieniu. - Muszę poszukać kogoś na pana miejsce, ktuś to musi sprzątać, bo inaczej utoniemy w tych gównach. Ja i tak mam pełne łapska roboty, to i nie dam sam rady tego wszystkiego obskoczyć. Ja to złota rączka jestem i służę do każdej okazji. Na kranach się znam, glazurę położę, tapetę, samochód naprawię i takie tam. Ręce urobione po łokcie, a jeszcze te podwórka trza sprzątać. Sam nie dam rady. Nawet se pani nie zdaje sprawy, jak te psy i ludzie srają i szczają po podwórkach. Do widzenia.

Po wyjściu pana Władzia zrobiło się cicho. Nawet nie było słychać odgłosów ulicy. Miałem wrażenie, że jesteśmy zamknięci w szklanym balonie do wina zatkanym od góry korkiem. Przełknąłem ślinę. Poczułem, jak odtykają mi się uszy.

- Muszę już iść - oznajmiła Iv, podnosząc się z krzesła. Położyła do

połowy wypalone, dymiące się cygaro na zakrętkę.

- Miło, że przyszedłeś. Wpadaj, jak tylko będziesz mieć na to ochotę. Albo będę w domu na górze ćwiczył grę na skrzypcach, albo tu szył ten garnitur.

- Bardzo chętnie przyjdę - oznajmiła, poprawiając spódnicę. - Z pewnością przyjdę. - Wyszła, zostawiając po sobie cudowną aurę.

Postałem w ciszy dłuższą chwilę, chłonąc urok owego spotkania. Zapach wymieszanych zapachów z cygara i fajki pieścił mój zmysł węchu. Spojrzałem na tłący się gruby zwitek tytoniu w zakrętce. Wziąłem go w dwa palce, przystawiłem do ust i zaciągnąłem się.

- Dobrze, ale mocne jak diabli. Jak ona to może palić?! - powiedziałem, wypuszczając dym nosem. Odłożyłem resztki cygara, by samoczynnie dokończyło żywota w prowizorycznej popielniczce. Podeszedłem do stołu, na którym leżał niebieski materiał. Pogłaskałem jego delikatną strukturę, rozwinąłem cały płat i zarzuciłem sobie na grzbiet. Stałem przed lustrem, by sprawdzić, czy naprawdę ten kolor będzie mi pasować. Obracałem ciałem w każdą stronę, próbując znaleźć choćby jeden punkt, który mnie utwierdzi w tym, że to właściwy dla mnie kolor.

- Będzie ci bardzo ci ładnie. - Usłyszałem głos za swoimi plecami.

- Co ty tu robisz, mamo?

- Już nawet na ulicy mówią, że jesteś w zakładzie. Spotkałam pana Władzia. Powiedział, że już nie będziesz dla niego pracować. To dobrze, synku.

- Muszę zacząć szyć ten garnitur.

- Straszny tu smród. Co ty paliłeś?

- Była tu przed chwilą Iv. Oboje paliliśmy: ja fajkę, a ona lubuje się w cygarach.

- Ona pali cygara?

- Też byłem zaskoczony.

Matka podeszła do otwartego okna i zrobiła głęboki wdech.

- Kupiłam ci migdały - oświadczyła.

- Po co mi migdały? - Naprawdę byłem zdziwiony.

- Ponoć motywują do pracy.

- Migdały? Ja i tak jestem bardzo zaangażowany w to, co mam zrobić, więc po co mi migdały?

- Jak byłam we Francji, jadłam dużo migdałów przed każdym występem i pomagało na scenie. To mnie dodatkowo motywowało, niwelowało tremę i dobrze nastrajało do grania.

Nagle usłyszeliśmy pukanie do drzwi.

- Co się tu dziś dzieje? - zapytałem retorycznie. - Otwarte! - krzyknąłem. - Pani Celcia? O, i Bary. Ledwo przyszedłem tu po pół roku, a co chwilę ktoś mnie odwiedza.

- Dziwi to pana? Dzień dobry, Marysiu. W końcu pan Frycek się zdecydował, co? - rzekła sąsiadka, ciągnąc na długiej smyczy ledwo powłóczącego nogami pieska.

- Gdyby nie zbieg okoliczności, dalej by sprzątał podwórka - rzekła matka. Bary obwąchał każdy kąt pracowni. Kichnął.

- On nie dosyć, że ślepy, głuchy, to i alergię ma na kurz - zmartwionym głosem powiedziała Celcia. - Dobrze, że zdecydował się pan wrócić do zawodu, panie Frycku.

- Pani Celinko, trafiło mi się zlecenie, ale dość nietypowe, bo będę szył garnitur dla samego siebie.

- Ktoś zlecił panu uszycie sobie garnituru?

- Tak. Mam zagrać na uroczystości pewnej pięknej dziewczyny i właśnie ona chciała, żebym wystąpił w niebieskim garniturze. Jej tatuś za wszystko płaci.

- To może jak się ludzie dowiedzą, że pan zaczął znowu szyć, to i zamówienia się posypią. Ja też miałabym dla pana robótkę. Chciałabym kieckę na wesele siostrzenicy, a jak już pan szyje, to nie chcę kupować w sklepie. Wszystko tandetne i jednakowe.

Matka słuchała naszej rozmowy. Co chwilę zakładała włosy za ucho. Bary zaczął coraz częściej kichać.

- Idę, bo mi się psina wykończy. Ogromny smród po tej pana fajce tu czuć - oznajmiła Celcia i zabrawszy pupila, wyszła.

- Może faktycznie coś się ruszy w interesie i zaczną masowo szyć dla

ludzi – powiedziałem do zamyślonej matki.

- Najpierw dla siebie garnitur, synku, uszyj. - Po tych słowach wyszła.

Oda do radości wróciła do mej głowy niczym bumerang. Zacząłem nucić, doprowadzając pracownię do stanu używalności. Pozbierałem gazety z podłogi, ścierką wytarłem kurze wszędzie, gdzie się dało.

- Lubi palić cygara. Dobrze, że nie ma kotów, bo mam uczulenie – powiedziałem, rozkładając niebieski materiał na stole do krojenia tkanin. Wsparłem się dłońmi na blacie, pochylając jednocześnie nad niebieską połacią, z której miałem stworzyć odzienie. Wyglądała jak ogromny ocean niewzruszony wiatrem. Cisza. Zacznę od wykroju spodni. Albo nie. Od marynarki. Marynarka wymaga większego skupienia. Do tego będę musiał dokupić jeszcze buty. Może też niebieskie? Wszystko niebieskie? Jak ja będę wyglądał? Może jeszcze pod spód założę niebieskie majtki, koszulę i krawat? Usiadłem na taborecie, na którym kilka minut wcześniej siedziała Iv. Oparłem głowę o ścianę. Zamknąłem oczy.

- Nie rób tego. - Usłyszałem damski głos. Otworzyłem oczy. Wokół nikogo nie było.

- Kto to? - zapytałem, zrywając się z taboretu.

- Radzę ci, nie szyj tego garnituru - powiedział ten sam głos.

- Ale ja dostałem już zaliczkę.

Obok mnie stali pokryci niebieskimi piórami Natalia i Paweł. Ona trzymała w dłoniach skrzypce i smyk, on tkwił wpatrzony w jeden punkt pracowni. Nagle Natalia zaczęła grać nokturn *Es-dur nr 2 Op. 9* Chopina, Paweł zaczął tańczyć. Dźwięki pięknej muzyki odbijały się od ścian mojej zapuszczonej pracowni, rytmiczne płasanie mężczyzny wprowadzało w stan hipnozy. Dźwięki muzyki wsiąkały w niebieski materiał, wpadały do maszyny, przechodziły przez nici, igły, szarego manekina za kotarą.

- Wiesz, że muzyka Chopina jest najpiękniejsza na świecie? Twoja matka nauczyła mnie tego utworu w czasie okupacji i puściła go z adaptera, gdy mnie truła - oznajmiła, odkładając instrument po zagranii ostatnich taktów. Paweł oparł się o ścianę.

- Jak to cię truła?!

- A mnie, gdy podawała cyjanek, prosiła, żebym wcześniej z nią zatańczył. Zawsze pięknie nam się tańczyło. Byliśmy ze sobą naprawdę zżyci.

- Domyślam się. Poprosiliście ją, by została chrzestną waszej córki Ani. Ostatnio nawet pytałem o jej losy.

- A to też piękne. Musisz znać.

Natalia przyłożyła skrzypce do szyi, uniosła smyk ponad głowę, zamknęła oczy, Paweł szykował się do kolejnego tańca. Pracownia przybrała kolor czerwieni. Spojrzałem na drzwi.

- Przyjdź na obiad za pół godziny, synku. - Dobiegło mnie z tamtej strony.

- Dobrze, mamó, tylko wysłucham jeszcze jednego utworu Natalii i popatrzę na taniec Pawła. Oni są niesamowici.

- Jakiej Natalii? Jakiego Pawła, synku? Tu nikogo oprócz ciebie i mnie nie ma.

Rzeczywiście Natalii i Pawła już nie było.

Zamknąłem pracownię i ruszyłem z matką na górę. Zjadłem ziemniaki z jajkiem sadzonym i mizerią, nie zamieniając z Duncią ani jednego słowa. Poszedłem do swojego pokoju, by założyć świeżą koszulę. Nie wiem dlaczego, ale czułem potrzebę zmiany koszuli. Przewertowałem szafę.

- Wszystko stare i zżarte przez mole, do kurwy nędzy - powiedziałem, wyciągając z półek kolejne ubrania.

- Mamy gościa - powiedziała matka, pukając do drzwi mego pokoju. Wcisnąłem z powrotem do szafy wyciągnięte ciuchy.

- Któż tam znowu, do cholery?! - Wszedłem do salonu.

W fotelu siedział mój ojciec.

- Co ty tu robisz? Wy razem w jednym pomieszczeniu? - zapytałem mocno zaskoczony jego widokiem.

- Słyszałem, że wróciłeś do pracowni i dodatkowo szykuje ci się koncert, synu. Zagraj nam coś.

Oślupiałem.

- Słuchajcie oboje. Bardzo mi miło, że chcecie, żebym zagrał, ale nie

jestem teraz w nastroju do gry. Nie mam nawet jednej zdatnej do noszenia koszuli, muszę uszyć niebieski garnitur, w mojej pracowni śmierdzi, ściany są wilgotne, nawiedzają mnie koszmary, a w dodatku nie wysłuchałem kolejnego utworu Chopina, który chciała mi zagrać Natalia. Ona tak pięknie gra. Pierdolę to wszystko.

Matka i ojciec spojrzeli po sobie, nie mówiąc ani słowa. Wybiegłem z mieszkania. Wpadłem do pracowni. Zamknąłem za sobą drzwi na zamek, pod klamkę podłożyłem dodatkowo krzesło, by broń Boże nikt nie wszedł. Zatrzasnąłem okna.

- Muszę tu zainstalować zasłony. Nie, zasłony gównu dadzą! - Czym prędzej odstawiłem krzesło spod klamki, otworzyłem drzwi i wybiegłem na ulicę. Pośpiesznym krokiem udałem się do sklepu chemicznego. - Dwa kilo wapna i duży pędzel proszę - krzyknąłem do spoconego sprzedawcy z kiczowatymi bokobrodami i dużym nosem. Bez słowa podał mi żądane produkty, zapłaciłem i wróciłem do pracowni. Ponownie zaryglowałem drzwi, zastawiłem krzesłem. Rozpuściłem wapno w znalezionej w kącie małego składziku pordzewiałej misce. Zamalowałem okna. Białe wapno rozbryzgiwało się spod pędzla na wszystkie strony. Miałem białe włosy, ubranie. Wapno nie oszczędziło podłogi, ścian i wszystkiego, co napotkało na swej drodze. Moja wściekłość doszła do granic możliwości ludzkiej wytrzymałości. - W chuju mam wszystko! - wrzeszczałem, pociągając po sobie pędzlem. - Wszystko mi już jedno! - Upadłem. Resztki wapna patrzyły na mnie jak na niedomalowany przedmiot.

- Mam grać? - Ponownie usłyszałem głos Natalii.

- Graj, graj i nie przestawaj. Kocham muzykę Chopina. Ty graj, a ja będę pławił się w wapnie.

Natalia chwyciła za skrzypce, Paweł zasiadł na krześle. Oświadczywszy, że nie będzie tańczył, założył nogę na nogę i czekał na pierwsze takty muzyki. Ja taplałem się w białej mazi. Wiosenny walc Chopina rozbrzmiewał niczym leciutka mgła w wiosenny poranek. Cudo. Wszystko wokół wirowało. Natalia głaskała struny Chopinowskim walcem. Ściany mimo delikatności utworu drżały jak w czasie trzęsienia ziemi.

- Uciekaj od niej! - Usłyszałem głos przebijający się przez dźwięki. Farba całymi płatami spadała z sufitu na podłogę, maszyna do szycia wprawiała się w ruch, furkocząc. - Uciekaj jak najdalej!

Walc oblepiał moje schlapane wapnem ciało, łagodząc cierpienie. Muzyka cichła. Zgasła. Nie było już Natalii i Pawła. Znowu byłem sam. Nie zważając na pokryte wapnem ubranie i twarz, ponownie wyszedłem na ulicę. Wyglądałem jak robotnik, który udaje się z budowy po bułki do pobliskiej piekarni. „Ta pracownia jeszcze chyba nie jest gotowa na mój powrót” - pomyślałem, obserwując płyty chodnikowe pod stopami.

- Pamiętasz, jak w dzieciństwie poprosiłeś mnie, żebym ci kupił pasek do spodni? - Usłyszałem nagle czyjś głos. Obok mnie parkowymi uliczkami szedł mężczyzna. Wysoki, przystojny, z dobrze skrojoną marynarką na grzbiecie, przystrzyżoną bródką i laseczką w dłoni.

- Dziś się, proszę pana, nikt tak nie ubiera, to moda sprzed przynajmniej czterdziestu lat - oznajmiłem nieznajomemu.

- Ja nie żyję dziś.

Zamurowało mnie.

- To kiedy pan ma czas na życie?

- Ja żyję cały czas, bez dziś, bez jutra, bez wczoraj. Dla mnie nie ma przeszłości, nie ma przyszłości, jest teraźniejszość przeszłości, która niezauważalnie przechodzi do nicości. Ale ta obecna przeszłość niestety nie daje nam czasem o sobie zapomnieć, dlatego pytam, czy pamiętasz, gdy będąc dzieckiem, poprosiłeś mnie o to, bym kupił ci pasek do spodni.

- Kim pan jest, bo nie kojarzę?

- Wacław.

- Oczywiście ten ze zdjęcia? Już nawet mnie to nie dziwi. Prawie wszyscy z tej fotografii mnie nachodzą i nie dają spokoju.

- Jestem twoim prawdziwym biologicznym ojcem - oświadczył.

- Ja mam ojca i na pewno nie jest nim pan. On żyje naprawdę żywym teraźniejszym życiem. Proszę stąd odejść czym prędzej. Jaki pasek? Nie pamiętam, bym o cokolwiek kiedyś pana poprosił.

- Fakt, byłeś wtedy zbyt młody, żeby to pamiętać, a co dopiero zapamiętać mnie - oznajmił ponurym głosem.

- Z tego, co wiem, to podawał pan razem z moją matką Anią do chrztu. Więc albo ktoś pana oszukał, że jestem pana synem, albo jest pan w błędzie. Nieboszczyki również mają prawo się mylić, więc wybaczam panu tę pomyłkę.

Nagle Wacław zaczął zarastać niebieskimi piórami, zamieniając się we wronę.

- Tym mnie też pan już nie zaskoczy. Przerabiam ów problem od kilku dni. Cały czas nawiedzają mnie takie niebieskie wrony, mówią o wydarzeniach z przeszłości i przegania je czerwone wronisko, które jest moją matką. Pierdol się pan. Mam tego dość. Idę na spacer i chcę chwilę spokoju. Muszę później zacząć szyć garnitur na ważną uroczystość i poćwiczyć grę na skrzypcach. Zostaw mnie pan, bo mnie chuj jasny strzeli!

- Na fotografii stoję za twoją matką i trzymam ją za ramię - powiedział spokojnym głosem. - Ona trzyma na kolanach Anusię, która jednak nie jest córką Pawła i Natalii. Jest twoją rodzoną siostrą - oświadczył.

- Co pan bredzi, drogi panie?! Ja nigdy nie miałem siostry! - krzyknąłem z oburzeniem, przerywając mu wywód.

- Maria, czyli twoja matka, z pewnością za chwilę tu będzie, więc muszę się spieszyć, zanim mnie przegoni.

- Właśnie, niech mi pan wytłumaczy, dlaczego wszyscy się jej tak boją i uciekają, gdy się pojawia.

- Ona zabiła nasze ciała, więc ma dostęp do naszych dusz. Gdy człowiek sam umiera, dysponuje swoją duszą lub powierza ją Bogu. Natomiast gdy ktoś go zabije, staje się jego, można powiedzieć, współwłaścicielem. Wziął na siebie życie innego człowieka, więc w pewnym stopniu może nim dysponować nawet po śmierci.

- Chyba nasza religia o tym nie uczy - wtrąciłem.

- Religia nie ma nic wspólnego z sumieniem i wzięciem na siebie życia człowieka przez człowieka. Nawet Bóg nie jest w stanie uchronić człowieka lub go powstrzymać przed tym, co chce zrobić. To jest właśnie ta tajemnica, nad którą najwięksi mędracy łamią sobie głowy. Wszyscy

zadają sobie pytanie, gdzie był Bóg, gdy mordowano miliony ludzi. Bóg odpowiedzialność mordercy za zbrodnię pozostawia jego sumieniu. Inaczej wszyscy zbrodniarze tego świata byliby bezkarni, czując, że ktoś inny weźmie ich nieczne czyny na swe barki. To uczciwe postawienie sprawy. Pamiętaj, że Maria jeszcze żyje ciałem i duszą. Póki tak jest, to ona układa cały plan i decyduje o tym, co zrobiła, robi lub będzie robić. Uciekamy przed Marią dlatego, że próbuje nami kierować po tamtej stronie. Nie możemy do tego dopuścić, gdyż teraz, kiedy wszedłeś przez przypadek w nasz świat, naszym obowiązkiem jest wyjaśnić ci tę sprawę i wyjawić prawdę. O nas i twojej matce. Prawda musi żyć. A żyć będzie tylko wtedy, gdy żywi ją poznają. Spotkałeś już wuja Edwarda i jego współnika Mietka.

- Tak, byli u mnie i opowiedzieli o swoich interesach z moją rodziną.
- Oni, jak i inni z tej fotografii, nie zginęli przez przypadek.
- Ciężko mi uwierzyć w to, co pan mówi - westchnąłem.
- Z tego zdjęcia żyją do dziś Maria, Pedro i Ania - rzekł Wacław.
- Tak, Ania, ale nie wiadomo, co się z nią dzieje. Jednak kim jest ten Pedro?

- Ania czuje się dobrze, a Pedro... - nie dokończył, gdyż stało się to, co przewidział. Nagle wokół zaczęło robić się czerwono. Czerwona wrona przykryła nas swoimi skrzydłami. Wacław zniknął.

- Mamo, nawet nie jestem ciekaw, jak mnie tu znalazłaś, i powiem tylko, że dobrze cię widzieć, bo może w końcu mi to wszystko wyjaśnisz. Zaczepił mnie facet z tego twojego zdjęcia, Wacek, który twierdzi, że jest moim prawdziwym ojcem, a Ania nie jest córką Pawła i Natalii, tylko moją rodzoną siostrą. Twierdzi też, że go zabiłaś. Pytał, czy pamiętam, jak w dzieciństwie prosiłem go, żeby mi kupił pasek do spodni. Kim jest Pedro?! Powiedz mi, co się tu dzieje, bo mam naprawdę tego serdecznie dość!

- Wracaj do domu, synku. Najpierw odpocznij, później poćwiczymy grę na skrzypcach, a potem pójdziesz szyć ten swój garnitur - oznajmiła spokojnym głosem.

- Nie, mamo. Muszę się najebać wódą.

Poszedłem do sklepu po butelkę wódki. Zabrałem pół litra do pracowni. Zamknąłem się na cztery spusty. Usiadłem na krześle, naprzeciw stołu, na którym kroję materiały. Piłem z gwinta. Muszę zachlać mordę. To wszystko, co się teraz wydarza, jest nie do zniesienia i mnie przerasta wysoko ponad czuprynę. W połowie upitej butelki usłyszałem pukanie do drzwi.

- Kogo tam niesie? - krzyknąłem niegrzecznym tonem.

- To ja, Iv.

W sekundę otrzeźwiałem. Otworzyłem. Stała z bukietem kwiatów i pięknym uśmiechem na ustach.

- To dla ciebie. - Wręczyła mi pęk czerwonych róż.

- Ty mi dajesz kwiaty? Z jakiej okazji?

- Musi być okazja? Lubię cię, niech to będzie powód.

- Dobrze się składa. Co prawda nie mam pomidorów, których się boisz, mam za to wódkę. Upiłem połowę, ale resztę możemy dokończyć we dwoje.

- Twierdziłeś, że rzucasz picie.

- Robię sobie przerwę. Dziś mogę.

- Przyszłam zobaczyć, czy już zacząłeś szyć garnitur.

- Nie, jeszcze nie. Ale powoli się zbiorę. Właśnie mnie dopadły, delikatnie mówiąc, lekkie stany zmiany nastroju - wyznałem z rozbijająco szczerym uśmiechem.

- Palimy? - zapytała, wyciągając cygaro z torby.

Wygrzebałem z kieszeni Azję. Znowu nasze dymy połączyły się w jeden wielki smog.

- Nie otworzysz okna?

- Nie. Musisz mi wybaczyć.

- Dlaczego zamalowałeś szyby?

- Bo mnie życie wkurwiło.

- Co się stało?

- Ostatnio prześladowają mnie ludzie z pewnej fotografii, którą znalazłem w niepozornie wyglądającej skrytce mojej matki.

- To zgłoś to na policję.

- Tyle, że ci ludzie nie żyją. - Upiłem łyk wódki.

- Skoro nie żyją, to chyba nie mogą ci nic złego zrobić.

- Teoretycznie masz rację. Jednak ciężko mi to logicznie zrozumieć, a tym bardziej wytłumaczyć. W każdym razie oni chcą mi o czymś powiedzieć, ale za każdym razem, kiedy próbują naprowadzić mnie na konkretny trop, przegania ich moja matka pod postacią czerwonej wrony. A każdy z tych nachodzących mnie ludzi jest niebieską wroną. Tak, są porośnięci niebieskimi piórami. Dlatego gdy mnie poprosiłaś, bym uszył sobie niebieski garnitur, to mnie zatrzepało ze złości.

- Dziwna sytuacja - podsumowała, a w jej głosie wyczuwałem nieufność w me słowa, a nawet drwinę.

- Dziwna to jest krowa z pyskiem słonia i ogonem węża. To jest okropne! Nawet straciłem poczucie rzeczywistości. To się dzieje we mnie cały czas. Nie wiem, kiedy coś jest naprawdę, a kiedy nie. Nawet nie wiem, czy rzeczywiście w tej chwili z tobą rozmawiam, czy mi się to śni.

- Gwarantuję, że jestem tu ciałem - oznajmiła, wypychając swe jędrne piersi do przodu. Zaciągnęła się dymem z cygara, puszczając go prosto w moją twarz. Przybliżyłem się do niej na długość ołówka. Poczulem piękny zapach.

- Chanel? - zapytałem.

- Znasz się - oświadczyła, rozpinając bluzkę. - Możesz wachać niżej.

Dystans między nami zmalał do grubości kartki papieru. Zaczęliśmy się całować. Iv odłożyła cygaro do nakrętki, ja rzuciłem fajkę w kąt. Kolejny odpinany guzik obnażał piękne ciało. Zapięcie stanika puściło po jednym pstryknięciu.

- Masz wprawę - rzekła z na wpół przymkniętymi powiekami. Nie myliłem się. Jej piękne piersi były jędrne jak

u nastolatki. Sutki sterczały niczym dwie świeżo zerwane maliny. Zdjąłem jej sukienkę.

- Wiesz co? Śniło mi się dziś w nocy, że uprawialiśmy seks całą drogę, jadąc pociągiem do Krakowa - powiedziała, kładąc się na podłodze.

- A ile czasu jedzie się stąd do Krakowa? - zapytałem, patrząc jej

w oczy.

- Dwie godziny, niedawnojechałam.

- Tak krótko? - Odruchowo spojrzałem na zegarek. Nie odpowiedziała. Dostrzegłem na jej ustach uśmiech. Czułem, jak odpina mi spodnie.

Kochaliśmy się na podłodze, tarzając w kłębach kurzu, resztkach wapna, kawałkach materiałów. Każda cząstka naszych ciał pragnęła jak najwięcej zagarnąć dla siebie rozkoszy i jej przekazać. Oboje to czuliśmy. Moje dłonie i usta wędrowały po jej ciele niczym spragniony urokliwych górzystych widoków turysta. Krok po kroku wchodziłem na szczyt. Rzeczywiście jej ciało ulegało każdej mojej zachciance. Chłoneła i odwzajemniała każdy dotyk i pocałunek. Nasze wilgotne ciała skleiły się w jedno. Nieskończoność. Później długa cudowna cisza.

- To już jest jutro? - zapytała.

Spojrzałem na zegarek.

- Jutro.

- Szybko leci ten czas - oznajmiła z uśmiechem. Wyjęła z torby cygaro i paliliśmy je razem. - Rzeczywiście miałeś rację, że te dwie godziny do Krakowa to za krótko, mogłam dośnić jeszcze dwie dodatkowe na powrót - powiedziała, śmiejąc się i wtulając w mą pierś.

Nastała cisza, w której słyhać było bicie naszych serc. Cygaro smakowało wybornie.

- Dziś jestem umówiony z jedną panią.

- Mam nadzieję, że to stara i brzydka baba.

- Jakbyś ją widziała. Jest stara, brzydka i prosiła, żebym kupił jej kilo cukru.

- Opiekujesz się starszą osobą? To szlachetne.

- Nie. Ma mi powiedzieć, co łączyło jej męża i moją byłą żonę.

- Po co ci to?

- Sam nie wiem, ale myślę, że to element układanki, której jestem częścią od kilku dni. Wpieprzyłem się na własne życzenie.

Iv w milczeniu patrzyła na mnie długi czas.

- Daj spokój. Chce ci się wracać do przeszłości? - zapytała,

wypuszczając dym.

- W zasadzie masz rację, ale dzieje się wokół mnie coś dziwnego, czego nie potrafię zrozumieć. Te cholerne wroniska. Mam koszmarne sny.

- Mówiłeś, że to skutki uboczne picia alkoholu.

- Myślę jednak, że problem jest bardziej złożony. Mówiłem ci, że nieżyjący ludzie z fotografii próbują mi coś ważnego powiedzieć, wyjawiać jakąś tajemnicę z przeszłości.

- Co?

- Nie wiem, ale z pewnością coś dziwnego zadziało się w mojej rodzinie kilkanaście lat temu. Dziś rozmawiałem z facetem, który twierdzi, że jest moim prawdziwym ojcem. Powiedział, że zabiła go moja matka i że mam rodzoną siostrę.

Iv delikatnie się ode mnie odsunęła.

- Ja sądzę, że powinieneś wziąć się za szycie garnituru i nie myśleć o głupotach. Trupy ze starej fotografii do ciebie mówią? Naprawdę ciężko mi w to uwierzyć, chociaż to nawet może wydawać się zabawne.

- Ciebie to śmieszy, a mnie przeraża. Ci ludzie przychodzą do mnie pod postacią niebieskich wron.

- Idź do lekarza albo znowu zacznij pić wódkę.

- Nie wierzysz mi. - Opuściłem bezradnie głowę. Iv pogłaskała mnie po karku.

- Jakoś ciężko dać wiarę, że łązi za tobą stadko niebieskich wron i próbuje przekonać, że twoja rodzina ma coś do ukrycia.

- Moja matka sądzi podobnie. Mówi, żebym wziął się za konkretną robotę, to mi głupoty wyjdą głowy.

- Tu się z nią zgodzę - oznajmiła, wkładając mi cygaro między palce.

- A jak racjonalnie wytłumaczysz twój strach przed pomidorami?

Zamilkła. Długi czas paliliśmy w zupełnej ciszy, leżąc na podłodze. Mocno przytuliłem Iv do piersi. Delikatnie głaskała mnie po przedramieniu.

- Wiesz, że nie spałem z kobietą dłuższy czas?

- Ja też nie miałam faceta od roku. - Bielone wapnem szyby okien

pociemniały. Na zewnątrz nastał zmrok.

- Chyba muszę się zbierać do domu - powiedziała, całując mnie w policzek. Wstaliśmy. Iv założyła majtki, przeciągnęła z bioder na uda wymiętą sukienkę.

- Cztery godziny...? - Uśmiechnęła się. Wyszła.

Tej nocy w ogóle nie spałem. Myśl o cudownym popołudniu spędzonym z Iv całkowicie zawładnęła moją głową. Na szczęście nie usnąłem i po raz pierwszy od kilku dni nie pojawiły się te cholerne wrony. Miałem ich serdecznie dość. Do rana wypaliłem trzy nabicia fajki, przeczytałem kolejne strony *Złego*. Około szóstej rano jak zwykle matka zaparzyła kawę, zjadłem śniadanie. Jednak w czasie wspólnego posiłku ani słowa nie powiedziałem o wczorajszym wieczorze spędzonym z Iv ani o dzisiejszym zaplanowanym spotkaniu ze staruszką, której mam kupić kilo cukru. Dziwna ta kobieta. Kto normalny prosi gościa o kupno przed wizytą cukru? Ale ja też chyba nie jestem zupełnie normalny, skoro zgodziłem się na to. Czy to przekupstwo? Informacja za cukier! Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ktoś przekupował kogoś kilogramem cukru. Pamiętam, że jeszcze niedawno, by cokolwiek załatwić w urzędzie, dawało się „za fatygę” mydełka, kawę, bombonierkę, ale nie kilogram cukru.

Po porannej toalecie przeczesalem włosy, psiknałem dezodorantem pod pachami, nałożyłem krem na twarz. Teraz miałem dla kogo o siebie dbać. Nie ukrywam, że Iv bardzo mi się podoba, a po wczorajszym rewelacyjnym seksie czułem, że może być to początek prawdziwego związku.

Poszedłem do pracowni. Rozejrzałem się wokół. Pozostawiona na podłodze pusta butelka po wódce i wygaszone cygaro w nakrętce przywołały wspomnienia i uwiarygodniły to, co się wydarzyło. Westchnąłem.

- Ale czas zabrać się do roboty, mój drogi - powiedziałem, rozkładając niebieski materiał na stole. Białą kredą rozrysowałem miejsca cięcia. Tak jak zaplanowałem, zacząłem od marynarki. Dobrej jakości materiał świetnie poddawał się każdej mojej obróbce. Rewelacja.

Poczułem ogromną radość z powrotu do krawiectwa. Klimat pracowni, jej odgłosy, zapach... To jest to, czego potrzebowałem! Półroczna przerwa była mi najwyraźniej potrzebna, by to zrozumieć.

„Naprawdę sprzątanie psich gówien to nie moja bajka” – pomyślałem, tnąc kolejne kawałki tkaniny. Nożyce w mych dłoniach były niczym smyczek w rękach skrzypka grającego na najwyższym poziomie *Cztery pory roku* Vivaldiego. W sumie krawiectwo i gra na skrzypcach mają wspólną wartość – wymagają doskonałego warsztatu. Spojrzałem na zegarek. Boże, już trzynasta, pewnie matka czeka z obiadem! Ułożyłem porozcinane kawałki materiału w określonym porządku na stole. Zawsze gdy szyję cokolwiek, trzymam się wyrobionego i sprawdzonego przez lata praktyki schematu wykonywanych czynności, który bardzo ułatwia pracę. Wszystko na tym świecie musi mieć swój porządek. Zamknąłem pracownię i wróciłem do domu.

- Troszkę dziś popracowałem, mamó. Jak ja się cieszę, że znowu szyję. Ten Wit pojawił się w moim życiu we właściwym momencie – krzyknąłem od progu. Cisza. – Jestem już. Ugotowałaś obiad? – Wszedłem do kuchni. Ani śladu gotowania, ani śladu matki. Poszedłem do jej pokoju, salonu, nawet zajrzałem do łazienki. Znowu się wystraszyłem, jak ostatnim razem, gdy wyszła do sklepu po masło, nie uprzedzając mnie o tym. Ale że nie ugotowała obiadu? Dziwne. Nawet nie przyszła do mnie do pracowni powiedzieć, że gdzieś wychodzi. Naprawdę mocno się zaniepokoiłem. – Tylko spokojnie, Frycuś! – próbowałem uspokoić obawy. – W końcu twoja matka też może mieć własne życie i nie musi gotować ci ciągle kotlecików z ziemniaczkami i surówką – powiedziałem, rwąc kawałek kiełbasy wyjęty z lodówki. Usiadłem na taborecie, konsumując w spokoju dobrze naczosnkowaną wiejską, zanurzając ją przed każdym ugryzieniem w słoiku z musztardą. Jak zwykle po posiłku wypaliłem jedno nabicie fajki. Zegar kuchenny wskazał czternastą minut siedem. – Czas się zbierać do staruszki – powiedziałem, upychając Azję w kieszeni. Podniosłem tyłek z taboretu i powolnym krokiem szedłem w kierunku drzwi wyjściowych. Odruchowo spojrzałem do salonu. Na fotelu siedziała moja matka ubrana w czerwoną

sukienkę, w dłoni trzymała książkę. – Co ty tu robisz?!

– Mieszkam tu, synu – odparła, nie odrywając wzroku od lektury.

– Co to za kiecka?

– Sam mi ją kiedyś uszyłeś. Nie pamiętasz? Założyłam ją specjalnie dla ciebie, by uczcić twój powrót do krawiectwa – oznajmiła spokojnym głosem.

– Rzeczywiście, pamiętam, tyle że zapomniałem, w jakim była kolorze. To było tak dawno. Ale... Kiedy przyszaś? Gdy wróciłem z pracowni, to cię nie było. Myślałem, że przygotujesz obiad.

Milczała, kierując wzrok ponownie na książkę.

– Pamiętasz, mamó, nasz codzienny rytuał sprzed pół roku? Przychodziłem na gotowy obiad, później fajka, ty w tym czasie czytałaś. – Rozmarzyłem się.

Matka nadal milczała, nie odrywając wzroku od lektury.

– Wszystko w porządku, mamó? – Zaniepokoiłem się jej dziwnym zachowaniem.

Podniosła głowę i zwróciła ją w moją stronę. Jej oczy były czerwone. Nie było widać nawet źrenic.

Wybiegłem na ulicę i ruszyłem do pobliskiego sklepu.

– Kilo cukru poproszę – powiedziałem roztrzęsionym głosem do ekspedientki w białym fartuchu poplamionym jakąś zastygłą mazią na wysokości piersi.

Pani bez słowa zgarnęła żądany przeze mnie produkt z półki. Zapłaciłem i wyszedłem. Szybkim krokiem kierowałem się na ulicę Żeromskiego pięćdziesiąt sześć, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół. Nawet gdyby teraz wybuchła bomba w okolicy, też z pewnością nie przykułaby mojej uwagi. Po kilkunastu minutach byłem na miejscu. Drzwi otworzyła mi staruszka. Wyglądała dokładnie tak samo jak kilka dni temu. Miałem wrażenie, że wyskoczyłem na chwilę z jej mieszkania do sklepu po cukier, o który prosiła. Powiedziałem „dzień dobry”, wręczając jej pakunek. Wzięła, nie mówiąc ani słowa. Poszedłem za nią

do kuchni. Staruszka bez słowa postawiła czajnik z wodą na kuchence gazowej, zasypała trzy filiżanki arabiką.

- Kawka będzie teraz słodka - oznajmiła po długiej chwili. Odetchnąłem. - Szkoda, że nie kupił pan też papierosów. Kończą mi się, ten jest ostatni - oznajmiła, wyjmując sporta z paczki, którą następnie zmięła w dłoni i porzuciła na stole. Woda w czajniku zawrzała. Staruszka zalała w naczynkach brązowe ziarna, których aromat rozszedł się po kuchni.

- Dlaczego zaparzyła pani trzy filiżanki? - Właśnie do mnie to dotarło.

- To dla Ziemka, mojego męża.

- Ale przecież on nie żyje. Ach, rozumiem... Robi to pani z przyzwyczajenia. Miałem kiedyś kumpla, któremu umarła żona. Po jej śmierci przez długi czas też przygotowywał dla niej śniadanie i udawał, że razem siedzą przy stole i jedzą.

- Ludzie nigdy naprawdę nie umierają, drogi panie. Będzie mu miło, że i dla niego zaparzyłam. Lubi słodkie.

- Lubi?

- Lubi, lubi.

- To on żyje czy nie żyje?

- A pan żyje? - zapytała, wsypując dwie łyżeczki cukru do filiżanki.

Zimne poty oblały mi głowę, plecy, uda.

- Więc niech mi pani powie, co łączyło pani męża z moją Alą.

- Ich tak naprawdę nic intymnego, jeśli to ma pan na myśli. W każdym razie ja go ostrzegałam, żeby się nie angażował. Może pan jeszcze dosłodzi kawki? Tyle cukru pan kupił, że możemy słodzić i słodzić.

- Nie, ja słodzę tylko dwie łyżeczki. Wystarczy.

- Ziemek słodzi dwie pełne. Mamy syna - nagle oświadczyła.

Zamurowało mnie. Co ma wspólnego kilo cukru z Alą, panem Ziemkiem, który nie żyje, i jej synem?! „Kurwa!” - zakląłem w myślach.

Staruszka widziała moje zdenerwowanie. Nie potrafię ukrywać emocji.

- Może Ziemek wszystko lepiej wyjaśni, ja w tym czasie natapiruję włosy - oznajmiła.

Do pokoju wszedł elegancko ubrany mężczyzna. Dobrze skrojony garnitur, biała koszula, krawat, wypastowane buty.

- Dzień dobry, Ziemowit jestem - przedstawił się, podając mi dłoń. Była zimna jak lody Arktyki. W mojej głowie zawiroowało mocniej niż w nowo zakupionej pralce mojej matki.

- Pan ponoć nie żyje. O co tu chodzi? - zapytałem, a gardło ledwo wydusiło z siebie słowa.

Pan Ziemowit przedłożył mi przed oczy fotografię.

- Znowu, kurwa, jakieś zdjęcie?! - wrzasnąłem, wkładając głowę między dłonie.

- Tu jest nasz syn Wiktor - oznajmił spokojnym głosem staruszek.

Podniosłem ociężały łeb, spoglądając na odbitkę.

- To jest obecny mąż pana byłej żony, czyli mój i tej starszej pani w pokoju obok syn - oświadczył bez emocji.

- To ja zapalę. Można? - zapytałem, wyciągając Azję z kieszeni.

- Proszę. Moja żona kopci papierosy jak szalona i mnie to nie przeszkadza.

Zapaliłem.

- Pamięta pan, jak musiał wyjechać swego czasu na pogrzeb do Torunia? - zapytał.

- Tak.

- Wtedy pana żona była chora i nie mogła jechać.

- Fakt, tak było.

- Właśnie wtedy Ala poznała naszego syna.

Przechyliłem filiżankę, wypijając kawę duszkiem. Spojrzałem odruchowo na fusy. Ułożyły się w kształt ptaka bez oczu.

- Jak go poznała? Przecież wtedy była bardzo chora i leżała w łóżku.

- Właśnie dlatego. Nasz syn Wiktor jest lekarzem i przyszedł do niej na wizytę.

- Banał, drogi panie - powiedziałem, nerwowo się uśmiechając. - Zakochać się w lekarzu, który przychodzi na wizytę? Naprawdę banał. To

brzmi jak tani romans biurowy. To co? Tak mu dziękowała za wyleczenie, że musieli się ze sobą połączyć? Wie pan co? Naprawdę szkoda mojego czasu. Rzeczywiście niepotrzebnie państwu zawracam głowę i dociekam tej przeszłości. - Zacząłem się głośno śmiać.

Starszy pan wysłuchał mnie spokojnie.

- To jednak nie wszystko - oświadczył.

- To znaczy? - zainteresowałem się.

- To znaczy, że ich związek zaplanowała pańska matka.

Zachwiałem się na krześle. Świat wokół zaczął wirować jeszcze szybciej niż bęben w tej maminej pralce.

- Pan sobie kpi - oznajmiłem, łapiąc równowagę.

- Nie. Nasz syn Wiktor w tamtym czasie był w bardzo trudnej sytuacji. Rozwiódł się, nawet zaczął wpadać w alkoholizm. O mało nie stracił pracy w przychodni, bo leczył ludzi, będąc często pijanym. Popadł w długi. Przez przypadek spotkałem pańską matkę i jej o tym wszystkim opowiedziałem, bo musiałem się komuś wyzalić.

- Pan znał moją matkę?

- Od dawna, drogi Fryderyku. Marysia też mi powiedziała sporo o pana żonie. W tym czasie Ala zachorowała i był pretekst, by się spotkali. Wtedy Maria poprosiła mnie o pomoc mojego syna. Przyszedł. Ala wyszła za pana tylko dla majątku o ogromnej wartości po pana mamie, do którego nikt nie ma prawa, nawet pan.

- To bzdura! - wrzasnąłem, uderzając pięścią w stół.

- Proszę słuchać dalej - spokojnie oświadczył.

- Ala mnie kochała! Wiem o tym.

- Nie przeczę, że mogło tak być, jednak pańska matka czuła, że chodzi jej tylko o pieniądze, i by pozbyć się Ali, zaproponowała trójstronny układ. Ona, ja i Wiktor. Ja byłem pośrednikiem w tym zamieszaniu, miałem zrobić wszystko, by mój syn uwiódł pańską żonę. Dziś wiem, że Maria miała też pomysł na inne rozwiązanie owej sytuacji.

- Mianowicie?

- Chciała Alę zabić tak jak wszystkich, z którymi zawierała interesy.

- Pan oszalał! Skąd pan o nich wie?

- Gdy dobijaliśmy targu, jeszcze o tym nie wiedziałem, ale po tej stronie, mój drogi panie, wie się wszystko, o czym tu nie macie zielonego pojęcia.

- Nie wierzę! - krzyknąłem.

- Maria stwierdziła, że nie zabije Ali tylko dlatego, by udowodnić sobie, iż rzeczywiście jej chodziło wyłącznie o majątek. Jak widać, miała rację. Dogadały się. Wszyscy troje się dogadaliśmy. Maria dała nam wystarczająco dużo pieniędzy, by zapewnić dostatnie życie na długie lata. Ala doprowadziła do rozwodu. W kontrakcie było również to, że zamkną buzie i wyjadą na drugi koniec kraju, bo jeśli pisną słowo, to Maria ich znajdzie i... dalej się pan domyśla. Ona to kocha, drogi panie.

- Kocha zabijać?!

- Proszę słuchać dalej. Wyjechali. Tam kupili mieszkanie, Wiktor wyszedł na prostą, pracuje w jakimś szpitalu, mają dziecko i jest im dobrze.

- Mają dwoje, z tego, co wiem.

- To pierwsze jest pańskie, z tego, co ja wiem, i ma na imię Carysław.

- Dziwne imię. Czy pan powiedział, że to dziecko jest moje?!

- Bezsprzecznie. Ponoć przespaliście się na do widzenia. Tak Ala powiedziała Wiktorowi.

- Czy ma pan może wódkę? - zapytałem, kładąc głowę na stole.

Bez słowa wyciągnął z barku butelkę żytniej i dwa kieliszki.

- Poproszę szklankę - oznajmiłem.

Pan Ziemek poszedł do kuchni i wrócił ze szklanką. Nalałem sobie i jemu. Jednym haustem wypilem zawartość.

- Może pan mówić dalej - oznajmiłem.

- Kilka tygodni później potracił mnie samochód i zmarłem. Ot i cała historia.

W tym momencie do pokoju weszła starsza pani. Włosy na głowie sterczały jej jak po porażeniu prądem. Usta miała pomalowane na czerwono.

- Wiecie, że jak tapirowałam włosy, to ktoś mi pomalował usta czerwoną szminką? Nie mogę tego zmyć. Tarłam i nic. Cały czas są

czerwone - oznajmiła, poprawiając szlafrok. - Pogadaliście sobie, panowie? - zapytała jakby nigdy nic.

Z niedowierzaniem rozejrzałem się wokół. Spojrzałem na komodę pod ścianą.

- Kurwa, mój świecznik! - krzyknąłem na jego widok. - Stał w moim, to znaczy w moim i Ali, mieszkaniu na komodzie.

- Tak, wziąłem go jako bonus - oznajmił pan Ziemowit, upijając łyk wódki.

- Mówiłam mu, żeby się w to nie angażował, to pazerny dziad nie chciał słuchać - wtrąciła starsza pani. - Po co ci to było? I tak zginąłeś pod kołami samochodu, idioto.

- Dlaczego pani milczała w tej sprawie?

- Ja? A czy ja jestem?

Po wizycie u starszych państwa czułem się jak asfalt, po którym przejechał walec drogowy. Wracalem do domu z głową pełną najgorszych myśli. Kto tu kłamie? Czy to naprawdę urojenia? Jeśli tak, to dobrze! Jeśli nie, to co będzie dalej? Wszystkie mijane przeze mnie budynki, ulica, chodnik, ludzie i powietrze przybrały już wyłącznie kolor czerwieni. Wszedłem do mieszkania. Matka siedziała w swoim fotelu. Stałem w progu pokoju i patrzyłem, jak cały czas czyta książkę.

- Już wszystko wiesz w tej sprawie - oświadczyła, spoglądając na mnie.

- Skąd wiesz?

- Wiem. Wiem, gdzie byłeś.

- Skąd wiesz? - powtórzyłem pytanie.

- Czy to istotne? Nie mogłam wtedy inaczej postąpić. Uwierz mi, Ala naprawdę robiła wszystko, żeby przejąć to, co udało mi się zgromadzić. Za dużo poświęciłam w swoim życiu, by to mieć.

- Ty chyba oszalałaś. Moja Ala chciała przejąć twój majątek?!

- Nie, nie oszalałam. - Widać było pazerność w jej oczach. - Uwierz, wiem, co mówię. - Zrobiła pauzę i przeciągnęła dłońmi po włosach. -

Pozbyłam się jej w delikatny sposób. I tak sporo mnie to kosztowało.

Zamarłem. Patrzyłem na ciało matki porośnięte czerwonymi piórami, których kolor idealnie zlewał się z barwą sukienki.

- Jak mogłaś mi to zrobić? - wydusiłem. - Podobno mam z Alą dziecko. Wiesz o tym coś?

Jednoznacznie spojrzała na mnie, potwierdzając ten fakt.

- Dlaczego nie przyszedłaś dziś pod postacią czerwonej wrony do mieszkania tej staruszki na Żeromskiego i nie przerwałaś mojej rozmowy z Ziemowitem, jak zwykłaś to czynić, gdy spotykałem się z ludźmi ze zdjęcia?

- Gdy niespodziewanie przysłała Ala i napisała te cyfry na suficie, a naprawdę mnie zaskoczyła jej wizyta, stwierdziłam, że nie chcę dłużej przed tobą ukrywać powodu, dla którego odeszła Ala, i że macie dziecko. Tak swoją drogą Ziemek i jego żona już mi nie zagrażają.

Usiadłem na kanapie. Czułem, że cała energia wyszła z mojego ciała, stoi obok i nie wie, co ma ze sobą zrobić.

- Ala przysłała z twoim wnukiem, a moim synem! Trzymałem na rękach własne dziecko i nawet nie wiedziałem, że ono jest moje. Jakim prawem zdecydowałaś o moim życiu? Jak mogłaś sprzedać moje małżeństwo?!

- Nie pomyślałaś, że gdyby nie zależało jej na pieniądzach, to nie chciałaby nawet słyszeć o mojej propozycji?

Zamilkłem. Oparłem łokcie na kolanach, opuściłem bezradnie głowę.

- A czy teraz usłyszę od ciebie, a nie od nieboszczyków, całą prawdę o tym, co się wydarzyło w twoim życiu? Co się dzieje z Anią? Chcę wiedzieć wszystko, do cholery!

Matka milczała. Po chwili zatopiła wzrok w lekturze. Pióra z jej ciała nagle zniknęły.

- Nie jesteś głodny, synku? - zapytała, odstawiając książkę na etażerkę.

- Chętnie bym coś zjadł, ale muszę za chwilę iść do pracowni.

- Cieszę się, że zacząłeś znowu szyć, synku, ale chyba jest już późno.

Spojrzałem na zegar. Osiemnasta minut czterdzieści pięć.

- Może jeszcze coś uda mi się zrobić. Mam gotowe elementy na marynarkę, dziś może jeszcze wykroję na spodnie.

- Skoro tak, to pracuj. W zasadzie masz rację. Szyj, bo czas szybko mija. Został ci niecały miesiąc. Pamiętaj, że jeszcze powinieneś poćwiczyć grę na skrzypcach - oznajmiła matka, obrzucając mnie wzrokiem. Miałem wrażenie, że mnie dusi oczami. - Jakiś przygnębiony jesteś.

- Zmęczony.

Bez słowa komentarza poszła do kuchni, by przygotować mały posiłek. Zjadłem, następnie wypaliłem jedno nabicie fajki i poszedłem do pracowni. Rozłożyłem niebieski materiał na stole. Usiadłem na krześle.

„Czy to naprawdę możliwe, żeby moja matka była tak podła i zaplanowała pozbycie się Ali z mojego życia? Ja mam dziecko! Matko jedyna, tyle spraw mnie dotyczy, a ja o nich nawet nie wiem”. Dręczące myśli, wątpliwości odrywały od pracy. Przeszłość przerosła moją rzeczywistość. Gdzie jest granica? Nie wiedziałem. Czy naprawdę Ali zależało tylko na pieniądzach? Pamiętam, jak wspólnie jadaliliśmy śniadania, obieraliśmy warzywa na obiad. Kłóciliśmy się tylko o to, czy do rosółu będą ziemniaki, czy makaron. Od kiedy odeszła, przez kilka lat gdy jadłem rosół z makaronem, zawsze przypominała mi się Ala. Nigdy nie dojadłem go do końca. Patrzyłem w talerz, by zatrzymać czas, i tęskniłem. Tęskniłem za przegotowanym makaronem, kiedy to ważniejszy od niego był jej dotyk i pocałunek. Odkąd zamieszkałem z matką, rozgotowany makaron to zwykła breja, przegapiony czas i pustka. Teraz widzę nowe światło w tunelu. Może nic straconego? Cała nadzieja w Iv. Może razem będziemy przypalać kotlety? Makaron to przeszłość, życie mknie do przodu, ja też nie mam zamiaru tkwić w jednym miejscu. Chciałbym jedynie poznać swojego syna. Świadomie trzymać na rękach mówić do niego, przepytać z tabliczki mnożenia, przystroić choinkę na święta, iść do teatru na spektakl czy na przepyszne lody. Westchnąłem. Pamiętam, jak spotykałem dłuższy czas na ulicy faceta, który nosił drzwi pod pachą. Początkowo nie wzbudził mojej ciekawości, bo może się zdarzyć, że ktoś niesie drzwi. Może kupił? Ale

ten chodził z nimi co dzień. W końcu podszedłem do niego i zapytałem, dlaczego łązi z nimi jak z aktówką. Gość odpowiedział:

- Szukam do nich zawiasów. Tamte, na których były zaczepione, ktoś mi podstępnie skradł. Mam nadzieję, że je odnajdę.

Od tamtej pory już go nie spotkałem. Na ów czas bardzo go rozumiałem. Teraz, w tej chwili, twierdzę, że już nie warto zawracać sobie tym głowy. Skoro Ala dała się skraść - bo dała - to nie jest warta tego, by jej szukać nawet w myślach. Poczułem nagle, jakby oblewała mnie gorąca lawa soku z pomarańczy wiszącej nad moją głową. Wtem w pracowni zgasło światło. Spojrzałem w okno.

- Czy Ala teraz...? Nie. Nie chcę już wspomnień, chcę przyszłości - wyszeptałem. Spojrzałem na zegarek

Była dwudziesta pierwsza minut pięćdziesiąt. Nawet nie zauważyłem, że powoli zapada zmrok. Po chwili znów zabłysła jarzeniówka nad moją głową. Siedzę tu prawie cztery godziny i przez ten czas nic nie zrobiłem. W takim tempie nie uszyję tego garnituru nawet za rok, a miesiąc do uroczystości Iv minie szybko.

- Dziś i tak nic z szycia - powiedziałem z rezygnacją. W zadumie patrzyłem za okno, na gasnący świat. Światło latarń próbowało rozjaśnić choć w małym stopniu ciemne ulice. Daremny wysiłek, gdyż tylko co druga miała sprawną żarówkę. Gdzieś w oddali nad kamienicami widziałem niebieską poświatę neonu reklamującego sklep Jubiler. Miasto powoli układało się do snu. Nagle pod oknami pracowni zauważyłem przebiegającego mężczyznę. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że ta postać była naga. Przystawiłem twarz do szyby, by zobaczyć, dokąd pobiegł i czy naprawdę wzrok mnie nie mylił. Zniknął. Wzruszyłem ramionami i zabrałem się do porządkowania pracowni. W zasadzie nic nie było do sprzątnięcia, bo nic nie nabałaganiałem, ale zawsze jakieś zabłąkane drobiny materiału czy nici walają się po podłodze. Przed wyjściem jeszcze raz rzuciłem okiem czy wszystko jest na swoim miejscu, zgasłem światło i wyszedłem. Zamykając drzwi, zauważyłem, że ktoś na mnie patrzy z końca korytarza.

- Widziałeś tego nagiego faceta, który przed chwilą tędy biegł? -

Usłyszałem damski głos. Przyjrzałem się dokładniej mówiącej do mnie osobie. To Iv.

- Co ty tu robisz o tej godzinie? - Naprawdę się zdziwiłem.

- Właśnie przechodziłam niedaleko i zauważyłam światło w twojej pracowni. Chciałam wejść.

- Widziałem tego gościa. Wystraszył cię?

- Nie, to mój ojciec. To właśnie za nim szłam w razie, gdyby ktoś próbował go zaczepić, pobić. Różnie bywa - powiedziała.

- Co twój ojciec robi z gołym tyłkiem w środku miasta w świetle latarni?

- Czasem tak robi.

- Biega z gołą dupą?

- Tak, rzadko mu się to zdarza, ale jednak - oznajmiła, wyciągając cygaro z torby. Zapaliła.

- Ale co się stało? To chyba nienormalne - rzekłem zdumiony.

- Założył się z kimś o coś i przegrał ten zakład. Pewnie zaraz wróci do domu.

- Może go poszukamy? - zaproponowałem.

- Nie, może naprawdę jak mu ktoś skopie tę gołą dupę, to się nauczy, żeby nie przyjmować trudnych zakładów.

- To musiało być coś naprawdę wyjątkowego - powiedziałem, zapalając fajkę.

Nie skomentowała.

- Jakaś przechadzka? Piękna noc się zapowiada - zaproponowała, chwytając mnie za dłoń. Spacerowaliśmy długo, zanurzając się w najciemniejsze uliczki miasta, w których Iv mocniej ścisnęła moją dłoń. Cudne to było. Dawno nie szedłem z kobietą za rękę.

- Wiesz co? - odezwałem się po dłuższej chwili. - Siedziałem w pracowni kilka godzin i nawet nie dotknąłem materiału.

- Coś się stało? - zapytała zatroskana.

- Większość czasu myślałem o swoim zagmatwanym życiu. Byłem dziś po południu z kilogramem cukru u tej staruszki, która miała mi powiedzieć, co łączyło jej męża z moją byłą żoną.

- I czego się dowiedziałeś?

- Dowiedziałem się, że moja matka podstępnie podstawiała faceta, dla którego Ala mnie zostawiła.

- Twoja matka ci to zrobiła?! - powiedziała przerażona.

- W dodatku zapłaciła im ponoć dużą forszę za milczenie w tej sprawie i dała spore kieszonkowe, by daleko wyjechali. Dobrze, że skończyło się na tym, bo z tego, co się dowiedziałem, mogło być gorzej.

Iv bez słowa patrzyła przed siebie.

- Hm... - wymamrotała.

- Tak, podobno moja rodzicielka wyczuła, że Ala chce zagarnąć podstępnie jej majątek.

- Ale jak wyczuła?

- Tego nie wiem. Może kobieca intuicja albo wniknięcie w czyjeś myśli?

- Wybacz, że zapytam, ale dużo pieniędzy ma twoja matka?

- Nie mam pojęcia. Zgromadziła spory majątek, to pewne, ale ile tego jest, uwierz mi, sam nie wiem. Ona mnie nigdy w to nie wtajemniczyła, a ja specjalnie się nie interesowałem, jednak sądzę, że więcej, niż bym przypuszczał, skoro stać ją na to, żeby przekupić ludzi, namawiając do takiego czynu.

- Nie interesuje cię majątek twojej matki? Przecież kiedyś to będzie twoje.

- Niespecjalnie, ale jak w ogóle przejdzie na mnie, to wtedy będę się martwić, co z nim zrobić - powiedziałem z uśmiechem, lecz po chwili spoważniałem. - Jednak to nie wszystko. Dowiedziałem się również, że mam dziecko z Alą. - Usłyszałem, jak Iv przełyka głośno ślinę.

- Masz dziecko i o tym nie wiedziałeś?

- Może to dziwne, ale dziś powiedział mi o tym nieżyjący facet. Mąż tej kobiety od kilograma cukru. - Uśmiechnąłem się.

- Rozmawiałeś z trupem?

- Owszem. Bardzo miły i szczery człowiek.

Spojrzałem na twarz Iv. Była pokryta kroplami potu, jak i dłoń, którą jeszcze mocniej mi ścisnęła. Długo milczała, jakby układała sobie moje

irracjonalne informacje w głowie.

- Rozmawiałeś ze swoją matką o tym wszystkim, co mi teraz mówisz?

- I tak, i nie. Sam już nie wiem.

- Jak to?

- Tracę ostatnio poczucie realności. Rozmawiam z nią o poważnych sprawach, a ona po chwili pyta, czy bym coś zjadł, jak gdyby nic się nie działo i nie było tej rozmowy. To tak, jakby ktoś urwał ci obie ręce, po czym poprosił, byś mu podała papierosy ze stołu.

- Ja pierdolę... - podsumowała moje słowa Iv.

- Tak, ty to pierdolisz, a ja to odczuwam. Co powiesz na to, że trzymałem to swoje dziecko na rękach, patrzyłem na nie, ale tak naprawdę nigdy go nie widziałem na oczy i nie dotykałem?

- Zaczynasz mnie przerażać - oznajmiła, spoglądając podejrzliwie w me oczy.

- Wiem, że to wszystko brzmi niewiarygodnie, ale naprawdę ostatnio dzieją się wokół mnie różne dziwne sytuacje, których racjonalnie nie potrafię wytłumaczyć.

- Odprowadzisz mnie do domu? - zapytała, po czym wciągnęła dużą dawkę dymu z cygara, którą przetrzymała kilka chwil, mocno zaciskając wargi. W końcu wypuściła, a wylatująca z impetem siwa chmura odzwierciedlała nagromadzone w jej głowie emocje. - Mój ojciec biegający z gołą dupą po mieście to nic w porównaniu z tym, co mi mówisz. Mam jednak nadzieję, że tego nie zmyśliłeś i psychicznie jesteś zdrowy.

- Mam wrażenie, że cały świat jest mocno stuknięty, tylko u niektórych to stuknięcie słychać głośniejsze. Jeszcze kilka dni wstecz byłem zwykłym kandydatem na pijaka bez przyszłości. Teraz, jak wiesz, wracam do zawodu, zaczynam grać na skrzypcach, ale te dziwne sytuacje, których doświadczam, zakłócają mój powrót do normalności. Wiesz, tak jest, że jak zaczyna ci się coś układać, to zawsze coś musi temu przeszkadzać. To chyba jest wpisane w nasze życie i nijak nie wiadomo, jak temu zapobiec.

Iv, trzymając mnie za rękę i paląc cygaro, kroczyła powoli przed

siebie zamyślona. W ogarniającej nas ciszy uśpionej ulicy słyszeć było jedynie stukanie obcasów jej pantofelków o chodnik. Próbowałem wejść w jej myśli, jednak czułem zaporę blokującą do nich dostęp. Może to i lepiej. Mam dość wykradania cudzych myśli i dłubania palcem w nie swoich snach. Iv pozostawiała za naszymi plecami potężną chmurę dymu tworzącego kurtynę odgradzającą nas od przeszłości. Jednak to tylko dym, a on, jak wiadomo, rozchodzi się bez śladu i przeszłość wraca. Pożegnawszy Iv pod drzwiami jej domu, stałem tam jeszcze kilka minut, wpatrując się w okna jej pokoju wychodzące na ulicę. Zaświeciła lampkę nocną, widziałem przemieszczający się cień kobiecej sylwetki. Podeszła do okna, jednym szybkim ruchem ramion zaciągnęła kotary. Wyglądała przy tym jak kończący pokaz magik, który za zasłoną pozostawia sekrety swoich tajemnych sztuczek.

Wracając do domu, myślałem o niej. Naprawdę potrzebowałem kogoś takiego jak ona. Jakże życie zaskakuje! „Jeszcze kilka dni temu nawet cieszyłem się, że nie mam kobiety u swego boku, a teraz...?” – dumałem, pokonując kolejne zaułki chrapiącego miasta. Puste ulice brały głęboki oddech, wyrzucając przy każdym wydechu resztki męczącego dnia, jak gruźlik zalegającą w gardle flegmę. Miasto też musi odpocząć od goniących po jego ulicach ludzi i samochodów. Zacząłem wsłuchiwać się w rytm bicia jego serca. Gdzieś tam słyszeć szmery rozmów wydobywające się przez otwarte okna w ścianach mijanych przeze mnie kamienic, jęk pijaka, ostatnie szczeknięcie psa przed zaśnięciem. Nagle w oddali zauważyłem sylwetki pary mężczyzn w identycznie skrojonych długich, niemodnych płaszczach. W półmroku ledwo oświetlonej ulicy nie mogłem określić, czy stoją do mnie przodem, czy tyłem. Wyglądali jak dwa manekiny, na które ktoś ot tak dla zabawy zarzucił płachty ciężkiego materiału. Jednak to byli żywi ludzie i oceniając z ich statycznej postawy, stwierdziłem, że na kogoś czekają, bo cóż innego można robić tu, na tej martwej ulicy w środku nocy? Jednak z każdym krokiem w ich stronę czułem rosnący niepokój. Dziwne. Zazwyczaj nie bałem się spacerować o tej porze po Kielcach, nie raz wracałem późno z Czardaszki. Ale mój strach był zawsze utopiony w alkoholu. Na trzeźwo to miasto o tej

godzinie nabierało innego wyrazu. W tej jego ciszy było przerażenie. Ciarki przeszły mnie od głowy do stóp. Resztki śliny z oporem nawilżały gardło. Zawsze gdy czuję niepokój, czuję suchość w przełyku. To nie niemodne płaszcze, tylko pióra!

- Czekamy na ciebie - powiedział Edek.

- Nie dokończyliśmy rozmowy - oznajmił Mietek.

Przypatrywałem im się chwilę w milczeniu.

- Pamiętam. Zaczęliście mi mówić o jakimś Pedro. Właśnie, któż to taki? Niedawno zaczął mi o nim opowiadać człowiek, który twierdzi, że jest moim ojcem.

- Tak. Waclaw. Jesteś jego synem. Pedro natomiast to, można powiedzieć, najwierniejszy i najbardziej oddany człowiek twojej Duńci i jednocześnie facet, którego obecnie uważasz za swojego ojca. Tak, ten Roman to Pedro. To właśnie jego nogi są widoczne w lustrze na fotografii, którą wtedy robił nam ów szalony Wit - oświadczył Edek.

- Mam inne informacje w tej kwestii od matki.

- Okłamała cię - kontynuował opowieść. - W każdym razie w tamtym czasie Pedro przyłączył się do nas nagle. W zasadzie przyprowadziła go Maria. Nie mówiła, kim jest, skąd pochodzi, a nas nie interesowały te sprawy. Miał spory kapitał, więc powitaliśmy go jak rodzzonego brata. Był trochę dziwny. Cichy, skromnie się ubierał, mało uśmiechał, nawet nie pił alkoholu. Do tego zdjęcia też nie chciał pozować. Siedział gdzieś z boku w fotelu i chyba nawet nie interesowało go, co robimy. Zналиśmy jego skrytość, więc nikt go nachalnie nie namawiał, by stanął z nami do tej pamiątkowej fotografii. Trochę nie pasował do naszego rozbawionego towarzystwa. Ale najważniejsze, że świetnie się z nim pracowało. Nawiązywał dobre kontakty, a nam o to właśnie chodziło. Sprawdzał się w interesach. Jednak cały czas wiedzieliśmy, że jest pod butem Marii. Łączyła ich jakaś niepisana umowa. Był na każde jej kiwnięcie. Wiele spraw załatwiali tylko we dwoje, oczywiście informowali uczciwie o każdej transakcji, to pewne. W pewnym momencie Natalia i Paweł chcieli się wycofać z interesu, bo spodziewali się dziecka i stwierdzili, że mają wystarczająco dużo zgromadzonego majątku zabezpieczającego ich

przyszłość. Oczywiście mieli do tego prawo, ale Maria stwierdziła, że tak łatwo nie wychodzi się z układu, a jeśli już, to trzeba zapłacić „rozstaniowe”. Natalia i Paweł rozumieli sytuację i bez problemu na jednym z naszych wielu spotkań ustaliliśmy, jaka suma nas zadowoli. Jednak Marii to nie wystarczyło. Wtedy zaplanowała z Pedrem, że przejmą w całości ich majątek. Jedynym sposobem było oczywiście morderstwo. Wtedy dla Marii okazało się to proste, a co najgorsze, przyjemne.

- Naprawdę lubiła zabijać? - dopytałem z niedowierzaniem.

- Doświadczenia okrutnej wojny, widok mordowanych ludzi, palone żywcem ciała stały się dla niej czymś naturalnym - przejął opowieść Mieciu. - Widziała, jak Niemcy bez emocji, z uśmiechem na twarzy i przy dźwiękach muzyki traktowali bezbronnych ludzi, pozbawiając ich życia i majątku. Maria dużo o tym mówiła, gdy się spotykaliśmy. Początkowo jej opowieści nas dziwiły, bo każdy chciał o tym wszystkim zapomnieć. Zastanawiało nas, dlaczego mówiąc te okropności, zachowuje spokój, a z czasem zauważyliśmy, że to sprawia jej radość. Często się śmiała, gdy opowiadała, jak zabawnie wygląda uciekający przed kulą z karabinu człowiek: biegnie zygzakiem i podskakuje jak pijany sportowiec. Bawił ją widok płonących żywcem ludzi; nazywała ich „pochodniami Nerona”, bo przypominał jej się wtedy ten monumentalny obraz Siemiradzkiego. Gdy o tym mówiła, klaskała w dłonie.

- To nienormalne - wtrąciłem.

- Tak samo sądziliśmy i mówiliśmy, żeby z tego nie kpiła - ciągnął Mietek. - Ona na nasze słowa machała ręką i nazywała mięczakami. Uodporniła się na przemoc. I właśnie ta znieczulica jej bardzo pomogła w tym, czego się dopuściła. Zaprosiła Pawła do siebie, by dokonać finalnej transakcji. Ufaliśmy sobie, więc nikogo oprócz nich przy tym nie było. Włączyli muzykę, rozlali szampana i Maria poprosiła, by ostatni raz z nią zatańczył. Niepostrzeżenie wsypała mu do kieliszka cyjanku. Kilka dni później podobny los spotkał Natalię.

- Tak właśnie było. - Usłyszeliśmy nagle głos Pawła.

- Jak dobrze was widzieć - rzekła Natalia, wychylając się

niespodziewanie zza rogu kamienicy, przy której staliśmy.

Przywitaliśmy się uściskiem dłoni.

- Wszystkich nas wykończyła w ten sam sposób zaraz po pogrzebie Natalii i Pawła - kontynuował przerażającą opowieść Mietek. - Spotkaliśmy się, by omówić strategię dalszej współpracy po ich śmierci, i wtedy to zrobiła. Oczywiście była muzyka poważna, tort i nieodłączny alkohol. Ten jej Pedro zorganizował cyjanek, zajął się ukryciem przejętego po nas majątku i zacieraniem śladów zbrodni.

- Gdzie on to wszystko ukrył? - zapytałem.

- Tego ci nie powiem, bo też możesz mieć problem. W każdym razie myślę, że przyjdzie na to czas. Do dziś zachował się tylko oficjalny grób Natalii i Pawła na starym cmentarzu, nas Pedro wywiózł do lasu na Karczówce i zakopał we wspólnym grobowcu powstańców styczniowych. Nikt się nie domyśla, że tam jesteśmy. Nie ma ciał, nie ma zbrodni, nie ma winnego. Wtedy wiele osób ginęło bez śladu - oznajmił Wacław, który nagle pojawił się wśród nas. - Mnie, kochany synu, zamordowała, bo nie chciałem pomóc jej i Pedrowi w tych zbrodniach i nieczystych interesach. Twierdziła, że jako mąż mam obowiązek to robić. I tak długo zwlekała z zabiciem mnie - zaśmiał się.

- To jest okropne. Nie wierzę w to wszystko! - krzyknąłem.

- Każdej zbrodni towarzyszyły muzyka i tort - wtrąciła Natalia.

- A co z Anią? - zapytałem.

- Jest bezpieczna. Na szczęście przeżyła. Maria poczuła smak zabijania i obojętne jej już było, kogo morduje. Po tych zbrodniach była w totalnym amoku. Ani nie podała cyjanku, tylko wbiła jej nóż w plecy, zostawiła krwawiącą na tapczanie i wyszła z mieszkania. Uratował ją nie kto inny jak Pedro. Ruszyło go sumienie, bo stwierdził, że dzieci się nie morduje. Ukrył ją, gdzieś wywiózł, o czym Marię poinformował, ale dokąd, tego jej nie wyjawiał. Jest dziś bezpieczna. Wtedy twoja Duńcia mi powiedziała, że Ania zaginęła w nieznanym okolicznościach. Szukaliśmy jej, ale bez rezultatu. Tylko Pedro wiedział, gdzie ona jest. Od tego zdarzenia relacje twojej matki i Pedra nieco się popsęły. Prowadzili jeszcze interesy, ale to już nie było to samo. Gdy utraciła Anię, na świecie

pojawiłeś się ty. Wtedy na jakiś czas się uspokoiła, pewnie dlatego żyjesz, synu, ale mnie wykończyła niecałe dwa lata po twoim urodzeniu, a po mojej śmierci w ramach jakiegoś tylko im znanego układu ustalili, że to Pedro, czyli Roman, będzie oficjalnie twoim ojcem. Mnie zabiła, gdy dostrzegła, że nie ma ze mnie pożytku, i chyba nawet się obawiała, że wyjawię przed światem jej i Pedra nikczemne czyny – oznajmił spokojnym głosem Waclaw. – Z czasem przestali się do siebie odzywać, a wręcz zaczęli się unikać.

– Dlaczego matka nie zabiła Pedra? – zadałem okrutne pytanie.

– Ponieważ tylko on wie, gdzie jest ukryty przejęty po nas majątek. Paradoksalnie sama sobie zaszkodziła, ufając mu bezgranicznie. Umawiają się co jakiś czas telefonicznie w publicznym miejscu, a wtedy on w ogromnej skrytości i ostrożności daje jej pieniądze lub drogą biżuterię. Mimo wszystko oboje boją się wpadki. Wzajemnie się kryją, bo nie mają innego wyjścia. Przekazanie pieniędzy wygląda w ten sposób, że gdy teren jest czysty, on unosi kapelusz, a ona macha białą chusteczką. Szybki przekaz i każde idzie w swoją stronę. To jest jego polisa na życie. Trzyma chłop w ręku spory majątek. Dlatego żyje – oznajmił ojciec.

– Co się tu, kurwa, dzieje?! – wrzasnąłem. – Jeszcze jedno: czy z matką współpracował Wit, ojciec Iv? – rzuciłem pytanie.

– On nie miał z tym nic wspólnego. Był dobrym znajomym nas wszystkich i nie interesowały go nasze układy – tłumaczył Edek. – Miał jakieś oszczędności, uczciwie pracował, nawet nieźle mu się powodziło. Lubił się bawić, a nie babrać w nieczystych interesach. Chyba tylko dlatego przeżył. Był duszą towarzystwa. Świetny kompan do zabaw. Często grywaliśmy w brydża, piliśmy brandy, paliliśmy cygara i fajki. On zawsze się wygłupiał, przychodził na każde spotkanie śmiesznie ubrany, czym nas rozbawiał do łez. Poznał jakąś kobietę, która urodziła mu córkę, tę Iv. Gdy mała miała dwa latka, matka jej zmarła i Wit sam ją wychowywał. Kiedy się z nami spotykał, dziewczynka zawsze zostawała z opiekunką. Nie chciał, żeby dziecko brało udział w libacjach, to normalne.

Zanim zdążyłem otworzyć usta, by coś dopytać, usłyszałem

dobiegający z drugiej strony ulicy głos matki.

- Fryciu, co ty tu robisz?

Zaskoczony odwróciłem głowę, by się upewnić, czy mnie słuch nie myli i czy to rzeczywiście Duńcia.

- A co ty tu robisz? Bo ja, jak widzisz, właśnie spotkałem naszych wspólnych znajomych i czego ja się tu dowiaduję!

- Piękny wieczór, piękny spacer sobie zafundowałam, ale jakich znajomych spotkałeś? Ja tu nikogo poza tobą nie widzę.

Odwróciłem głowę. Rzeczywiście już ich nie było.

- Dlaczego mi to robisz, mamo?

- Ale co ja ci robię, synku? - zapytała z troską.

- Kolejny raz ktoś, z kim rozmawiam, ucieka na twój widok.

- Aż taka szkaradna jestem?

Widziałem, że kąciki jej ust lekko się uniosły.

- Na podstawie tego, co mi powiedzieli o tobie, twierdzą, że jesteś straszna. Zabiłaś ich wszystkich, nawet mojego prawdziwego ojca - oznajmiłem.

Matka spojrzała na mnie z podejrzliwym wyrazem twarzy.

- Synu, znowu wymyślasz jakieś niestworzone historie. Naprawdę już teraz martwię się bardzo o ciebie - powiedziała spokojnym głosem.

- Ale ja naprawdę rozmawiałem teraz z tymi ludźmi ze zdjęcia. To, co mi powiedzieli o tobie, jest przerażające!

- Szłam spacerkiem i z daleka widziałam, że jakiś człowiek tu stoi, ale gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że to ty i nikogo obok ciebie nie było.

Rozejrzałem się wokół dla pewności, czy rzeczywiście nikogo w pobliżu nie ma. Wstydzilem się spojrzeć matce w oczy.

- Właśnie odprowadziłem Iv do domu. Też byliśmy na spacerze. Ale nie bałaś się sama o tej godzinie wychodzić na przechadzkę? - Spojrzałem na zegarek. Wskazywał dwudziestą trzecią minut dwadzieścia jeden.

- O mnie się nie martw, synku.

- Póki co mieszkam z tobą, więc o kogo mam się martwić?

Duńcia zawiesiła w zamyśleniu wzrok ponad moją głowę.

- Dziś pierwszy raz od niepamiętnych czasów nie ugotowałam obiadu. Przyszedłem jak za dawnych czasów z pracowni o trzynastej, licząc na gorący posiłek, a tu tylko kiełbasa z lodówki uśmiechała się do mnie.

- Jednak sobie poradziłeś bez maminych obiadków. Musiałam wyjść, pozałatwiać kilka spraw na mieście. Ktoś czasem te rachunki za prąd i gaz powinien regulować, nie uważasz?

Opuściłem bezradnie głowę.

- A tobie jak idzie szycie?

- Spędziłem długi czas w pracowni, ale nijak mi szło. Nawet nie tknąłem roboty. Mózgownicę miałem pełną dziwnych myśli, wspomnień o Ali. Nie mogłem się skupić na pracy. Wyobraź sobie, że pod oknami mojej pracowni przebiegał nagi Wit.

Matka chwyciła mnie za dłoń.

- Synu, to, co się ostatnio z tobą wyprawia, te twoje wizje i sny... To wszystko robi się niebezpieczne. Ja wiem, że Wit to dziwak, że może nosić damskie kapelusze i buty na szpilce, ale wybacz...

- Naprawdę! Biegał z gołą dupą, bo ponoć się z kimś o coś założył i przegrał ten zakład. Tak mi powiedziała Iv, która za nim podążała, bo się bała, żeby go nikt nie zaczepił i manta nie spuścił. Bo wiesz, goły chłop w środku miasta może sprowokować tych oprychów spod Tekli.

- Proponuję, synu, byśmy teraz spokojnie wrócili do domu. Połóżysz się spać, odpoczniesz, a jutro weźmiesz do szycia. Mówiłam, że powinieneś zająć się czymś pożytecznym. Masz uszyć garnitur i ćwiczyć grę na skrzypcach. Zmarnowałeś dziś cały dzień na rozmyślaniach, zamiast szyc. Ja rozumiem, że możesz mieć ciężki okres, nie pijesz tej okropnej wódki już kilka dni, ale najlepszym lekarstwem na wszystkie dolegliwości ciała i ducha jest praca. Trzeba szyc. Musisz szyc. Szyć i jeszcze raz szyc. Szyć. Nie masz w ogóle garnituru. Co to za mężczyzna bez garnituru? Jak żołnierz bez karabinu. Twój ojciec zawsze miał, to znaczy ma mnóstwo garniturów. A jak się trafi jeszcze oprócz tej u Iv jakaś szczególna okazja, żeby przyodziać coś eleganckiego, to w podkoszulku pójdiesz i podartych portkach? Ciesz się, że trafiło ci się

takie zlecenie. Nierzadko się zdarza sytuacja, żeby ktoś krawcowi zafundował garnitur.

- Ale to ma być niebieski garnitur. Ja się nie widzę w tym kolorze, poza tym źle mi się kojarzy - broniłem swych przekonań.

- Nieistotny kolor. Istotne jest to, żebyś miał w końcu porządne ubranie. Marynarkę i spodnie uszyj sobie, a ja na tę uroczystość kupię ci piękną koszulę i buty.

Milczałem długą chwilę, czym pieczętowałem słusność jej słów.

- A jak Iv, synku? - przerwała ciszę Duńcia, widząc moje zakłopotanie.

- Jest naprawdę świetną dziewczyną. Dobrze nam się rozmawia. Chyba powoli się zakochuję, a może nawet już w pełni jestem w niej zakochany. Myślę, że ona czuje podobnie.

- Znasz ją dopiero parę dni. Jesteś pewny tego, co mówisz?

- Niczego nie jestem pewny, jednak mam nadzieję, że tym razem mi tego nie zepsujesz.

Teraz matka poczuła się skonfundowana. Miałem wrażenie, że stoimy na ringu i wzajemnie zadajemy sobie ciosy. Kto mocniej i boleśniej.

- Sam mówiłeś, że ona boi się pomidorów, które odstrasza piciem wódki. Pali cygara.

- Tak, uwielbia też rysować portrety much, i co z tego? Jednak tym razem będę decydować o swoim życiu osobiście, droga mamo. Zbyt długo jestem bez kobiety, by odpuścić tę dziewczynę tylko dlatego, że lubi rysować muchy!

- Ja myślę, że powinieneś na razie skupić się na rzetelnym wykonaniu zlecenia, jakie ci dał Wit. Uszyj sobie ten garnitur, zagraj porządny koncert, a resztę życie samo pokaże.

Wstałem rano z potwornym lękiem. Nie wiem, czy naprawdę rozmawiałem na ulicy z ludźmi z fotografii, czy spotkałem tam matkę, czy to był kolejny koszmarny sen. To wszystko, co mówili, było tak

nieprawdopodobne, że ciężko w to uwierzyć. Czułem przerażenie. Ale jeśli rzeczywiście ich spotkałem i jest prawdą to, co mówili? Sam już nie wiedziałem, co o tym myśleć. Słońce za oknem puściło do mnie oko, jakby dając znać, że w nagrodę za ciężką noc zafunduje mi wspaniały dzień. Jak zwykle poszedłem do kuchni. Matka nastawiła wodę na kawę, sprawdziła, czy kwiaty na parapecie mają dostatecznie dużo wilgoci. Po chwili aromat parzonej kawy panoszył się w naszych nosach. Poczułem się wspaniale.

- Późno wróciłeś. Już myślałam, że znowu polazłeś do tej Czardaszki na wódkę - powiedziała Duńcia, krojąc chleb do śniadania.

- To jednak nie spotkaliśmy się w nocy na ulicy?

- O czym ty mówisz? - zapytała zdziwiona.

- Wczoraj około dwudziestej trzeciej odprowadziłem Iv do domu, a potem spotkałem ciebie.

- Mnie?

- Tak mi się wydaje. Byłaś na spacerze. Rozmawialiśmy. Pytałaś mnie o Iv, mówiłaś, że kupisz mi koszulę i buty. Mamo, błagam, tylko mi nie mów, że to nieprawda, bo oszaleję!

- Jeśli potrzebujesz butów i koszuli, to ci kupię, synku.

- Nie! Tylko mi nie mów, że nie spotkaliśmy się w środku nocy na ulicy i że to wszystko nie jest prawdą!

Matka pokręciła głową.

- Nie mam ochoty na kawę, nie mam ochoty na śniadanie, nie mam ochoty nawet oddychać! - wybuchnąłem. - Mam wrażenie, że gdybym nagle ubzdurał sobie, że mi się nie chce oddychać, to i tak bym żył bez oddechu, bez jedzenia, śniadania i kawy. Wydaje mi się, że cały czas śpię i śnią mi się koszmary! Mamo, gdybym nagle postanowił zjeść swoją koszulę lub ten taboret spod tyłka, gdybym postanowił położyć się na suficie obok lampy, uwierz mi: to wszystko jestem teraz w stanie wykonać.

- Chcesz zjeść koszulę i spać na suficie, synku?

- Nie! Nie chcę zjadać koszuli, tylko chcę ci powiedzieć, że obecnie moja rzeczywistość staje się nierealna.

- Chyba nie ma czegoś takiego, synku. Albo coś jest, czego dotykamy, albo to coś nam się tylko wydaje, że fizycznie istnieje, bo tak naprawdę rodzi się w naszej głowie.

- Widzisz, mamó, a ja doświadczam właśnie tych niemożliwych fizycznie sytuacji. Chyba powoli zaczynam się do tego przyzwyczajać, więc jakby nigdy nic się nie wydarzyło, zaraz pójdę do pracowni i zajmę się robotą. W końcu muszę uszyć ten pierdolony garnitur. Chociaż nie wiem, czy gdy będę go szył, będę go szył naprawdę, czy mi się to wszystko będzie wydawało. Rozumiesz coś z tego, mamó?

Maria patrzyła na mnie jak zwykle obojętnym wzrokiem. Zszedłem do warsztatu, chociaż idąc po kamiennych schodach, zastanawiałem się, czy rzeczywiście tam idę i czy ten, który idzie, to naprawdę jestem ja. Otworzyłem drzwi pracowni i wszedłem do środka, zostawiając na zewnątrz doczesne sprawy. Charakterystyczny, piękny zapach tego miejsca uderzył z impetem w me nozdrza. Tak. Poczułem realny świat, w którym niewątpliwie się znalazłem. Na stole leżały porzucone wczoraj materiały, cierpliwie czekające, aż zrobię z nich garnitur. Rzeczywiście, zostawiając wspomnienia dzisiejszej nocy za drzwiami, postanowiłem niezwłocznie przystąpić do szycia. Zanim jednak wziąłem w dłonie niebieski materiał, włączyłem radio, z którego sączyła się muzyka. Zabrałem się do pracy. Spiker co jakiś czas między puszczanymi piosenkami mówił o sytuacji w kraju: że na Podlasiu urodziła się koza z dwoma ogonami, że nasze Tatry są piękne i że drzewa w okolicach Łowicza obrodzą soczystymi owocami, z których powstanie dobry dżem na nasze stoły. Zszyłem rękaw, wyciągnąłem fastrygę, zabrałem się za drugi. Robota szła mi naprawdę sprawnie. Rytmiczny stukot wprowadzonej stopą w ruch maszyny, starego singera, jeszcze mocniej podkręcał we mnie chęć do pracy. W końcu moja pracownia zaczęła żyć. W radiu puścili *Autobiografię* Perfektu. Zacząłem podśpiewywać pod nosem ten świetny utwór, który od dziesięciu lat chyba każdy dziś zna na pamięć.

Było nas trzech

*W każdym z nas inna krew
[...]
Słuchaj mnie tam!
Pokonałem się sam
Oto wyśnił się wielki mój sen
[...]
Otwieram drzwi
I nie mówię już nic
Do czterech ścian*

Mają chłopaki rację, trzeba walczyć i trwać w swych marzeniach z dzieciństwa i je realizować. Ja wymarzyłem sobie być krawcem i nim jestem. Zanim stanę samotnie jako stary człowiek w czterech ścianach pracowni, mogę zrobić jeszcze dużo dobrego dla innych i siebie. Mogę uszyć jeszcze mnóstwo pięknych ubrań. Czy moja matka stoi teraz w tych czterech ścianach i zastanawia się nad tym, ile i co zrobiła dla innych lub innym? Nie wiem. Lecz czuję, że przeszłość ją gryzie, a za rozwalenie mojego małżeństwa z Alą powinna dostać solidną pokutę. Ale co ja tu będę myślał o matce i jej życiu?! Miałem wszystkie sprawy zostawić za drzwiami pracowni, do cholery! Do roboty, kolego! Klapy kołnierza zszyte, kieszeń wykrojona, zabieram się za przód marynarki. Rozłożyłem to wszystko na stole i przypasowałem wypracowane elementy. „Świetnie!” - pomyślałem, spoglądając pierwszy raz tego dnia za okno. Niebo szarzało. Słońce powoli chowało się za kamienice. Przekręciłem kontakt w ścianie. Światło jarzeniówki rozeszło się po pracowni niczym biały pył spod worka rzuconego na podłogę posypaną mąką. Przetarłem palcami oczy, wyciągając z nich przyjemne zmęczenie. Usiadłem na krześle. W końcu mogłem zapalić fajkę. Radość, jaką nappełniła me serce wykonana dziś praca, była ogromna, jak Tatry, o których mówił spiker w radiu. To nic, że dziś w ogóle nie jadłem. Nawet lepiej. Na głodnego sprawniej idzie robota. Zdziwiło mnie tylko, że przez ten czas matka nie zajrzała do mojej pracowni i że nawet przez chwilę nie pomyślałem o Iv. Dobrze, że Duńcia nie przyszła, ale jeszcze lepiej, że Iv mnie nie

odwiedziła - ona potrafi rozproszyć. Uśmiechnąłem się, wypuszczając ponad głowę potężną chmurę dymu, aż zasłoniła jarzeniowe światło.

Gdy zmrok za oknem przykrył całe miasto, postanowiłem opuścić pracownię. Nie poszedłem do domu. Wyszedłem na ulicę, by zaczerpnąć powietrza. Spojrzałem do góry. Piękne czyste niebo odsłoniło całą galerię gwiazd. Byłem głodny, zmęczony, ale szczęśliwy, że wykonałem dziś kawał dobrej roboty. Miałem w sobie tak potężną dawkę emocji, że poczułem ogromną potrzebę modlitwy; wywalenia z siebie żalu, bólu, trwogi i zaczerpnięcia siły do pokonania własnych problemów. Kiedy byłem ostatnio w kościele, to może jedynie pamiętać Bóg. Ja nie. Kroki skierowałem w stronę pobliskiej katedry, pięknego barokowego kościoła na romańskiej podwalinie. Spojrzałem na zegar dzwonnicy. Dwudziesta druga minut siedem. Po stromych schodach wszedłem na dziedziniec przykościelny i poszedłem do głównego wejścia świątyni. Chwyciłem za klamkę. Zamknięte. Nie dając za wygraną, udałem się do bocznego wejścia. Otwarte. W drzwiach minąłem się ze starszym mężczyzną. Zerknął na mnie. W półmroku kruchty dostrzegłem jego spojrzenie, w którym widziałem ulgę. Tak wygląda człowiek oczyszczony? „Też tak chcę!” - pomyślałem, czyniąc znak krzyża. Przez skromnie wyglądające drzwi wszedłem na chłodną posadzkę kościoła. Rozejrzałem się wokół. Byłem sam. Bez namysłu ruszyłem do głównego ołtarza. Stukot obcasów moich butów odbijał się głośnym echem od kolumn i ścian. Doszedłem do bariery oddzielającej wiernych w nawie od prezbiterium. Usiadłem na zwykłym krześle na wprost ołtarza. Nie wiedziałem, jak się zachować. Od czego zacząć? Spojrzałem na krzyż po prawej stronie. Bezbronny Jezus zawisły na zbitych krzyżowo kawałkach drewna. Przejmujący widok. Sądzę, że patrzący na ten krzyż ludzie nawet nie zastanawiają się nad jego duchowym przekazem dotyczącym ziemskich spraw. Człowiek przybity gwoździami do drzewa. Właśnie w tej prostocie tkwi cała tajemnica życia i śmierci każdego z nas. Nie jestem człowiekiem praktykującym obyczaje Kościoła katolickiego, nie chadzam na msze, nie uznaję spowiedzi. Ale są takie momenty w moim życiu, że czuję, iż powinienem tu być. Nie potrafię się też modlić tak, jak zaleca to Kościół.

Nie znam pacierza, nie potrafię posługiwać się różańcem, ale czuję się takich miejsc. Zastanawia mnie, dlaczego na każdym krzyżu Jezus ma głowę opuszczoną na prawe ramię. Czy gdzieś zapisał to naoczny świadek, czy to wizja autora rzeźby, czy zupełny przypadek, że Jego głowa jest przechylona właśnie w tę stronę? Ciekawe, jak Jezus chodziłby dziś ubrany po ulicach. Czy nosiłby dekatyzowane spodnie, flanelową koszulę w kratę i buty sofixy kupione na bazarku? Czy może przyodziąłby parciany worek podarowany przez spółdzielnię młynarską? A jak by wyglądał w niebieskim garniturze? Może właśnie, gdyby został przybity do krzyża w niebieskim garniturze, ludzie bardziej by zwracali na Niego uwagę?

- Jezu, ja będę wyglądał w nim okropnie, bo nie wiem, czy wiesz, ale po pierwsze nie lubię niebieskiego, a po drugie nieładnie mi w tym kolorze. Ale powiem ci, że dostałem zlecenie i honor każe mi się z niego wywiązać. Poznałem pewną kobietę i dla niej to robię. Ona lubi kolor niebieski. Uśmiejesz się. Ona uwielbia muchy. Robi im portrety. Mówiła, że pokaże mi je wszystkie pewnego dnia. Dobrze, co? Pali cygara jak stara Kubanka, boi się pomidorów i strach przed nimi zapija wódką. Ale to świetna dziewczyna. Szyję teraz ten niebieski garnitur i dziś nawet nieźle mi poszło. Powinienem też ćwiczyć grę na skrzypcach, bo mam zagrać dla niej minikoncert. Nie mówiłem ci, ale kolejny raz się uśmiejesz. Ona od piętnastu lat co roku obchodzi rocznicę utraty cnoty. Takie odnawianie wejścia w dorosłość. Towarzyszy temu cała ceremonia. Tort, świece, kwiaty, wszyscy składają jej życzenia. Jak w czasie urodzin. Tym razem zapragnęła ten akt wzbogacić dodatkowo moim koncertem. Mam zagrać dla niej na skrzypcach, ubrany w ten nieszczęsny niebieski garnitur. Iv to piękna i wspaniała dziewczyna. Powiem ci szczerze, że się w niej zakochałem. Może kiedyś z nią tu przyjdę i ci ją przedstawię. - Opuściłem głowę i zamknąłem oczy.

- Może teraz mnie przedstawisz? - Usłyszałem kobiecy głos. Odwróciłem się.

- Iv! Co ty tu robisz?

- A co się robi w kościele, mój drogi? - Uśmiechnęła się.

- Jezu, to jest Iv. Iv, poznaj Jezusa - dokonałem prezentacji, jednocześnie nie kryjąc zaskoczenia jej obecnością.

Iv pochyliła na kilka chwil głowę. Gdy ją podniosła, jej loki delikatnie pokryły twarz. Jednym gestem odgarnęła gęste pukle z policzków, odsłaniając piękny uśmiech.

- Jesteś tu przez przypadek?

- Nie. Powiem szczerze, że cię śledziłam. Widziałam, jak wychodzisz z pracowni, więc poszłam za tobą.

- Dlaczego od razu nie podeszłaś?

- Nie przeszkadza się w modlitwie, ale jak już zdecydowałeś się mnie przedstawić Jezusowi, to wkroczyłam.

- Więc słyszałaś wszystko, co mówiłem...

Iv przez chwilę zawiesiła głos.

- Powiedzmy, że nie wszystko.

Poczułem się zakłopotany.

- Mam dla ciebie pierożki - oznajmiła, wyciągając przed siebie plastikowe pudełko.

- Tam są pierogi? - zapytałem zdumiony.

- Tak. Wiem, że lubisz, więc zrobiłam specjalnie dla ciebie. Wiem też, że nie jadłeś nic cały dzień.

- Skąd to wiesz?

- Od twojej mamy rzecz jasna, bo niby skąd? Byłam do południa z Witem na zakupach i ją spotkaliśmy. Też chodziła po sklepach. Mówiła, że szuka dla ciebie ładnej koszuli i butów do tego garnituru. Pogadaliśmy nawet chwilę. Powiedziała, że wyszedłeś bardzo zdenerwowany rano z mieszkania, nic nie jadłeś i poszedłeś do pracowni szyć. Nie chciała ci przeszkadzać. Ja ją rozumiem, też czasem chcę pobyć sama, gdy jestem zła, i wiem, że takiej osobie lepiej nie wchodzić w drogę. W środku masz widelec. Możesz zjeść.

- Tu mam jeść, w kościele?

- Każde miejsce jest dobre, jak człowiek jest głodny. Uwierz mi, mury tego kościoła nie takie rzeczy widziały.

Usiadła obok mnie na krześle, a ja otworzyłem wieko pudełka.

Zapach pierogów polanych skwarkami rozniósł się po świątyni.

- Nie, tu nie wypada. Chodźmy stąd - powiedziałem zdecydowanym głosem.

Iv bez słowa protestu wstała, chwyciła mnie za ramię i wyszliśmy, czyniąc wcześniej znak krzyża. Usiedliśmy na ławce w parku przy pomniku żołnierzy radzieckich. Patrzyła, jak pochłaniam pierogi.

- Lubię patrzeć, jak mężczyźni jedzą.

Uśmiechnąłem się.

- Ja lubię patrzeć, jak kobiety malują paznokcie u stóp.

Iv odruchowo spojrzała w dół.

- Dlaczego nie przyniosłaś mi tych smakołyków do pracowni? - zapytałem, trzymając przy ustach nabitego na widelec pieroga.

- Ty wiesz, ile przy tym roboty...? - zaczęła się śmiać. - Zresztą nie chciałam ci przeszkadzać w pracy. No właśnie, czemu wyszedłeś rano z domu zdenerwowany, stało się coś? - Położyła mi dłoń na ramieniu.

- Nie wiem, co się wokół mnie dzieje. Dowiedziałem się strasznych rzeczy o mojej matce. Cały czas nawiedzają mnie te niebieskie wrony, opowiadają straszliwe historie z przeszłości. Nie wiem, czy to wszystko to moje urojenia, czy naprawdę tak jest. - Spojrzałem w oczy Iv. Pokiwała głową ze zrozumieniem. Pierogi znikwały z pudełka jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. - Te wrony mówiły mi nawet o twoim ojcu, że fajny zgrywus z niego był.

- Tak mu zostało do dziś - wtrąciła.

- Powiedzieli, że twoja matka zmarła, gdy miałaś dwa lata.

- To prawda. Ale czy na pewno mówiły ci o tym te wrony, czy może twoja Duńcia? Mój ojciec i twoja Maria znają się dobrych kilkanaście lat, więc wiedzą co nieco o sobie...

- I co ja mam ci na to odpowiedzieć? Słuchaj, mam do ciebie prośbę - powiedziałem, przecierając nieelegancko wierzchem dłoni usta.

Iv wzięła z mych rąk puste pudełko po pierogach.

- Cóż to będzie? - zapytała.

- Czy możesz mi pożyczyć swój kolczyk?

- Po co ci mój kolczyk? Chcesz sobie go założyć? - Zerknęła na moje

uszy.

- Nie, jutro ci go oddam. Bardzo potrzebuję czegoś od ciebie, by się o czymś ważnym przekonać.

Już bez dodatkowych pytań zdjęła złotą zawieszkę z ucha, po czym położyła na mojej otwartej dłoni.

- Mam nadzieję, że jutro ci oddam - rzekłem, chowając go do kieszeni spodni.

- Co chcesz powiedzieć przez to, że masz nadzieję?

- Muszę się o czymś przekonać, więc już o nic więcej nie pytaj.

- Często się modlisz? - zmieniła temat.

- W ogóle tego nie robię i nawet nie potrafię, ale dziś poczułem taką potrzebę. Tak czasami jest, że człowiek czuje, że powinien coś zrobić. Ja jestem na jakimś zakręcie życiowym i właśnie dlatego poszedłem do kościoła wygadać się Bogu.

- Pomogło?

- To się okaże, ale czuję pewną ulgę. Jakby mały kamyk wyszedł mi z serca, przeciskał się przez żyły i wypadł ustami. Gdy wchodziłem do kościoła, minąłem starszego mężczyznę i widziałem na jego twarzy spokój. Pomyślałem wtedy, że też bym tak chciał, i chyba się

udało. No i cieszę się, że przyszedł z pierogami za mną do tego kościoła.

Uśmiechnęła się.

- Mam teraz do ciebie bardzo ważne pytanie.

- Słucham.

- Czy spotkaliśmy się wczoraj wieczorem, a około północy odprowadziłem cię pod dom?

Iv spojrzała na mnie podejrzliwie. Wsadziła pudełko pod pachę, chrząknęła.

- Nie pamiętasz?

- Właśnie pamiętam, tyle że chciałbym się upewnić.

Chwyciła mnie mocno za dłoń.

- Tak, wieczorem szłam za moim ojcem, który biegł obok twojej pracowni z gołym tyłkiem. Wtedy ty wyszedłeś na ulicę i się spotkaliśmy,

potem poszliśmy na spacer – powiedziała zupełnie poważnie.

– Ulżyło mi! Bo już myślałem, że to też mi się tylko wydawało. Właśnie, o co się twój ojciec założył i z kim?

– Pewnie jak zwykle o jakieś głupstwo, ale nie wiem, z kim. Ostatnim razem też przegrał z jakimś facetem. To było zimą. Postawił sporą kasę na to, że zje jajecznicę z czterdziestu jaj. W połowie się porzygał i musiał biegać w mrozie z gołą dupą. Zawsze się zakłada, że kto przegra, musi nago przebiec przez miasto. Czasem mi się wydaje, że on specjalnie przegrywa każdy zakład, bo sprawia mu radość bieganie nago po ulicach.

– Różne ludzie mają upodobania i czerpią z nich radość. Ja się dowiedziałem, że dokonanie morderstwa może być przyjemne.

– Co ty mówisz?! – krzyknęła Iv.

– Właśnie tego się dowiedziałem od niebieskich wron. Jestem tym wszystkim przerażony. – Spojrzałem na zegarek. – Już prawie jedenasta.

– Pewnie jesteś zmęczony?

– Troszkę. Ale też bardzo zadowolony, bo sporo zrobiłem jak na jeden dzień. Jeśli będę szył w takim tempie, to skończę za tydzień. – Uśmiechnąłem się.

Iv patrzyła na mnie tymi czekoladowymi oczami, z których sączył się cukier na mą duszę.

– Cieszę się, że cię poznałem. Jesteś obecnie jedyną osobą, której mogę zaufać i szczerze porozmawiać.

Pracownia tętniła życiem. Ostry dźwięk nożyc, głuchy stukot maszyny do szycia, tańczące igły i nici falujące pod palcami, fastrygi, podszewki, myśli o Iv. Wszystko wzmagало chęć do szycia. Wschód słońca, blask księżyca. Mleczne światło jarzeniówki, mucha na ścianie, szpulka nici pod stopami. Szyję i żyję. Wrony, wojna, czerwień, muzyka, tort. Wspominam i umieram. Wybieram szycie. Przerwy w pracy wypełniałem paleniem Azji. Zjadłem pęto swojskiej maczanej w musztardzie, popiłem herbatą. Praca. Osiemnasta godzina przy maszynie. Szew na plecach idealny, przód jak ulał, doszyte rękawy. Marynarka nabiera charakteru.

- Widzę, że ci dobrze idzie, synku, ale już prawie dwudziesta druga. Może odpoczniesz? - Matka nieoczekiwanie pojawiła się przy mnie.

- Mama? Miło, że przyszłaś mnie odwiedzić. Jeszcze dwa lub trzy dni i całość będzie gotowa.

- Mam coś dla ciebie - oznajmiła, podając małe plastikowe pudełko. Otworzyłem.

- Szarlotka? - zdziwiłem się.

- Tak, lecz nie ja ją piekłam. To podarunek od Iv. Była u mnie dziś.

- Jak to? Tak po prostu przyszła do ciebie?

- Owszem. Świetnie nam się rozmawiało. To miła dziewczyna, miałeś rację.

- Szkoda, że tu nie zajrzała.

- Powiedziała, że nie chce cię rozpraszać. - Matka znacząco się uśmiechnęła.

Chwyciłem pudełko, otworzyłem wieko. Zapach świeżo upieczonego jabłecznika z cynamonem rozszedł się wokół. Oderwałem kawałek ciasta i wsadziłem do ust. Mięsz spieczonych jabłek wszedł mi pod paznokcie.

- To jest pyszne!

- Ona cię kocha, synku.

O mało się nie zakrztusiłem. Zacząłem kasłać.

- Powiedziała ci to? - wydukałem po chwili.

- Nie, ale widziałam po jej spojrzeniu i tym, w jaki sposób o tobie mówiła. Zapowiedziała, że przyjdzie jutro po jakąś biżuterię, którą od niej pożyczyłeś. Kończ i wracaj do domu. - Po tych słowach Duńcia wyszła.

Złapałem za kieszeń spodni, po czym delikatnie wyciągnąłem kolczyk i położyłem na stole.

- Rzeczywiście jest. Jednak nie śniłem! - krzyknąłem.

Przyglądając mu się, łapczywie dojadłem słodki smakołyk, czując w nim dłonie Iv: piękne długie palce, delikatnie prześwitujące przez aksamitną skórę żyły, zadbane paznokcie. Z delektowania się smakiem szarlotki wytrąciło mnie pukanie do drzwi.

- Proszę, otwarte - zawołałem, odkładając pudełko na stół.

W progu stanęła zapłakana sąsiadka Celina. Nawet nie musiałem pytać, co się stało.

- Przed chwilą zdechł... - wydukała przez łyzy. - Wyprowadziłam go jak zwykle na siku przed spaniem. Pięknie też zrobił kupę. Spotkałam pańską mamę przed kamienicą. Wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza. Zdążyła tylko pogłaskać psinę. To wyglądało jak pożegnanie. Nawet dała mu coś do zjedzenia. Chyba kawałek szarlotki, bo mi tak zapachniało.

- Naprawdę pogłaskała Barego? - zdziwiłem się, gdyż nigdy tego nie robiła. Zawsze mówiła, że się go brzydzi, bo śmierdzi z daleka jak przepocony drwal. Spojrzałem z przerażeniem na leżące na stole resztki szarlotki. Gęsia skórka pojawiła mi się na całym ciele. Ledwo przełknąłem ślinę.

- Tak, panie Frycku. Tak pięknie chwyciła jego smutny pyszczek w swoje dłonie, potem przeciągnęła palcami po sierści.

- Jak po klawiszach fortepianu?! - zapytałem przerażony.

- Od głowy do ogona. Faktycznie, ma pan rację, tak faliście przebierała po nim palcami, jakby grała mu pożegnalną melodię. On mlasnął, oblizał się, ostatkiem sił zamerdał ogonem, potem Maria poszła do domu, a ten dosłownie po chwili padł martwy. Przykryłam go kocem i leży teraz na podwórku. Mówię panu, wygląda, jakby spał.

Celcia ryknęła potwornym płaczem, chowając twarz w dłoniach. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czy w obliczu utraty kogoś tak wiernego i bliskiego potrzebne są słowa pocieszenia? Nie wiem. Pokiwałem głową. Odjęło mi mowę. Łzy same napływały do oczu. Gdy po chwili sąsiadka wyszła z pracowni zapłakana jak skarczone niesłusznie dziecko, patrzyłem długo w okno. Z bezradności kiwałem głową. Spojrzałem ponownie na szarlotkę. Chwyciłem się odruchowo za gardło.

- Spokojnie, Fryc! - warknąłem, czochrając włosy.

Włączyłem małe radyjko. Freddie Mercury śpiewał *You take my breath away*. Zanuciłem kilka taktów. Ogarnął mnie stan melancholii. Ten utwór przypomniawszy mi czas, kiedy z winowej płyty słuchałem zespołu Queen, paląc w ciszy i spokoju moją Azję. „Najwyżej zdechnę jak Bary” - pomyślałem, delikatnie postukując stopą o posadzkę.

- Piękny utwór. - Usłyszałem znieńcka.

- Dziadek Stachu?

- We własnym duchu - zaśmiał się.

- Właśnie wspominałem, jak słuchając Queen, paliłem twoją fajkę - powiedziałem, wyjmując Azję z kieszeni.

- Jak pamiętasz, ona była ostatnią, jaką pykałem za życia. Ale powiem ci, że tam, gdzie od jakiegoś czasu jestem, mam jeszcze jedną. - Wyciągnął z marynarki piękną zakręcaną fajkę. - To Waleria. Miałem za życia wiele kobiet - rzekł dumnie. - Zakurzymy? - zapytał z dziarskim uśmiechem.

- Bardzo chętnie - oznajmiłem, nabijając Azję amforą. Dziadkowa fajka już się paliła, gdy swoją traktowałem zapałką. Po chwili obaj delectowaliśmy się smakiem i aromatem prażonego tytoniu, patrząc sobie w oczy.

- Twoja matka włożyła mi ją do trumny. Chociaż tyle dobrego na koniec dla mnie zrobiła. Dziękuję jej za to. Chyba czuła się winna.

- Czy ciebie też zabiła?

Dziadek się uśmiechnął, przytakując.

- Pamiętasz, zanim umarłem, prosiłeś, bym ci opowiedział o pogromie kieleckim. Pamiętam go doskonale. - Zaciągnął się dymem. Wypuszczał przed siebie bardzo powoli ogromną chmurę, która zakryła mu twarz. - Przechodziłem tamtego dnia przez Planty i widziałem, co się działo. Tłukli tych biednych Żydów bez opamiętania. Krew się lała strumieniami, ciała wylatywały przez okna, padały strzały. Wszyscy wrzeszczeli. Zobaczyłem wśród rozjuszonego tłumu gapiów twoją matkę, która podjudzała tych bandziorów do zabijania. Krzyczała i klaskała w dłonie, widząc kolejne zabite ciało. Rzuciła w ich stronę kamień. Nawet podrygiwała z radości. Wieczorem tego samego dnia rozmawialiśmy o tym, co się tam wydarzyło. Powiedziałem, że też tam byłem, i zapytałem, dlaczego podsyciała amok oprawców. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego w taki sposób reagowała na zbrodnię. Nic nie odpowiedziała.

- Nienawidzi Żydów?

- Nie ma nic przeciw nim, ale dziś wiem, że podnieca ją widok zabijanych ludzi. Myślę, że dlatego mnie zabiła, że się obawiała, iż ci opowiem o jej nikczemnym zachowaniu w tamtej chwili.

- Zabiła cię! Ona naprawdę cię zabiła i to na moich oczach! - krzyknąłem.

- Uspokój się. Było. Minęło. To moja córka. Dziecku można wszystko wybaczyć. Dosypała mi jakiegoś trującego świństwa do kawy i zmarłem spokojnie. Pamiętam, jak umierałem. Siedziałeś naprzeciwko mnie, paliłem fajkę, a w sąsiednim pokoju sączył się z adapterowej płyty *Walc a-moll* Chopina. Piękny utwór...

Nakryłem rękami głowę. Pod czaszką grało mi milion fortepianów naraz.

- Wiesz, że bez śladu zniknęła cała kolekcja twoich fajek? - powiedziałem, przełykając ślinę.

Dziadek się zaśmiał.

- Maria je ukryła. Leżą na strychu, tuż nad twoim pokojem, w takim niepozornym szarym pudle. Chciała je sprzedać, ale nie znalazła klientów, bo były używane.

- Okłamała mnie, mówiąc, że nie wie, co się z nimi stało...

- Twoja matka żyje muzyką, kłamstwem i zbrodnią. Uśmiecha się tylko wtedy, gdy kogoś krzywdzi.

- To przerażające! Rzeczywiście jej twarz to maska z betonu. Raz się tylko uśmiechnęła, kilka dni temu, na wspomnienie o tym, jak Wit przyszedł kiedyś do nich na brydża w damskich pantofelkach. Nawet widziałem, jak płacze. To był cudowny widok. Może są w niej jeszcze jakieś ludzkie uczucia? - zapytałem retorycznie.

Dziadek zaciągał się Walerią w milczeniu, zamknął oczy i oparł głowę na ramieniu. Dzierżona w dłoni fajka tliła się ciągłym długim strumieniem sięgającym sufitu. Znowu umierał? Czy można umrzeć dwa razy? Zmrużyłem powieki. Docisnąłem je tak mocno, jakbym chciał wygnieść ze środka zalegające łzy. Nawet kropla nie poleciała. Gdy otworzyłem oczy, dziadka już nie było. Paliłem sam. Po chwili dotarło do mnie, że naszej rozmowy nie przerwała czerwona wrona. Nie

przeszkodziła też wczoraj, gdy rozmawiałem z ludźmi ze zdjęcia, a opowiadali mi o okrucieństwach, jakich na nich dokonała. To dziwne. Dokończyłem palić. Gdy miałem zamiar zabrać się za szycie, odruchowo spojrzałem pod krzesło, na którym siedział dziadek. Leżała tam jego Waleria! Jeszcze się żarzyła. Wziąłem ją w rękę, przystawiłem do ust i zaciągnąłem się. Łzy same napłynęły mi do oczu.

- Dziękuję, dziadku - powiedziałem, uśmiechając się w kierunku sufitu. Dopaliłem obie, schowałem do kieszeni. Nie miałem siły na szycie. Wróciłem do domu.

Matka siedziała w kuchni wpatrzona w okno.

- Nie kładziesz się spać? Już późno - powiedziałem.

Odwróciła głowę w moją stronę. Milczała.

- Bary zdechł - prowokowałem do rozmowy.

Przytaknęła.

- Co ci jest? Źle się czujesz?

- Zdechł? A tak pięknie merdał ogonem - w końcu przemówiła.

- Podobno go pogłaskałaś.

- Tak, pogłaskałam - odpowiedziała, jakby miała suchy piach w ustach.

- Był u mnie w pracowni dziadek Stanisław, mamo.

- Pozdrowiłeś go ode mnie? - powiedziała sarkastycznym tonem.

Bez słowa opuściłem kuchnię, poszedłem do swojego pokoju, położyłem się na łóżku. Długo patrzyłem w bładny sufit ze zwisającą smutną lampą. Co się tu, do kurwy nędzy, dzieje?! Zasnąłem.

Ranek jak zwykle przywitał mnie aromatem parzonej kawy. Zerwałem się na równe nogi, spoglądając odruchowo na zegarek. Pięta minut czterdzieści dziewięć. Poszedłem do kuchni. Matka siedziała przy stole, trzymając dwoma palcami uszko swojej filiżanki.

- Znowu usnąłem w ubraniu. - Spojrzałem na siebie z obrzydzeniem.

- Zaparzysz dla mnie też?

Rodzicielka bez słowa zrobiła to, o co ją poprosiłem. Usiadłem na

taborecie. Piłem kawę, a Duńcia w milczeniu kroїła chleb na śniadanie. Miałem wrażenie, że siedzę na parapecie okna i patrzę na siebie i matkę. „Tak swoją drogą, lubię zaglądać ludziom w okna. Bez świadomości, że ktoś ich podgląda, są naprawdę sobą. Drapią się po tyłku, dłubią w nosie, potykają o dywan, klnąc przy tym” – myślałem, sącząc arabikę. Nagle poczułem, że coś mocno gniecie mnie w pachwinę i odruchowo chwyciłem jej okolice.

- Co to? - powiedziałem, wyciągając z kieszeni dwie fajki.

Matka nawet na mnie nie spojrzała.

- Poznajesz? To Waleria, fajka twojego ojca, którą włożyłaś mu do trumny. Widzisz, że mi się nie przywidziało, był u mnie.

Znowu nie zareagowała. Miałem dosyć jej milczenia. Uderzyłem ręką w stół. Dziadkowa fajka wypadła mi na podłogę. Schyliłem się, by ją podnieść, jednak już jej nie było. Rozejrzałem się wokół, zajrzałem w najbardziej niedostępne miejsca kuchni. Rozpłynęła się?

- Kurwa, zgubiłem Walerię! Jak można zgubić coś, co upadło pod stopy?! - krzyknąłem.

Matka nawet nie spojrzała w moją stronę. Cięła chleb, a spod noża zamiast okruszków leciała woda.

- Co ty, wodę kroisz? - zapytałem zdziwiony.

- Co ty, wodę kroisz? - powiedziała to w taki sposób, jakby wciągała z całej siły powietrze do płuc, zaciskając krtań.

- Wystraszyłem się. Nie mów w ten sposób.

- Wystraszyłem się. Nie mów w ten sposób - powtórzyła identycznie jak poprzednie zdanie.

- Mamo, to brzmi okropnie! - krzyknąłem.

- Mamo, to brzmi okropnie!

Zatkawszy uszy, czym prędzej wybiegłem z mieszkania na podwórko. Miałem wrażenie, że serce wyskoczy mi z piersi. Byłem przerażony. Podniosłem głowę najwyżej jak mogłem, by złapać oddech.

- Co się panu stało, panie Frycku? - Usłyszałem głos Celinki.

- Moja mama dziwnie się zachowuje. Powtarza po mnie każde zdanie, ale tak, jakby miała w sobie włączony odkurzacz. Wciąga każdą

literkę w głąb siebie. – Wtem poczułem, że coś mnie łaskocze po łydce. – Bary żyje?! – wrzasnąłem.

– A co, ma nie żyć? – zapytała zdziwiona Celina, po czym wyszła z psem z podwórka.

Klęknąłem na bruku, kryjąc głowę w dłoniach. Wyłem z rozpacz. Wrzeszczałem, a głos zostawał we mnie. Wokół cisza. Pustka. Noc. Podniosłem się i wyskoczyłem na ulicę. Szare ulice, szare kamienice, szare słońce. Wszystko wokół było szurzo szare. Szedłem przed siebie bez celu. Szaro. Śmierdziałem dniem wczorajszym, który nawet nie wiem, czy był. Poszedłem do Czardaszki. Przy stolikach jak zwykle siedziało moje stare towarzystwo i chlali wódkę. Wyglądali, jakby zatrzymali się w czasie. Spojrzeli na mnie z takim zdziwieniem, jak gdybym porósł mchem i oblał się bitą śmietaną. Tak też się czułem. Z nikim się nie przywitałem, nawet zwykłego „dzień dobry” nie powiedziałem. Złapałem pierwszy lepszy kieliszek z wódką i wlałem zawartość prosto do gardła. Smak był ohydny, też szary. Bez słowa wyszedłem. Znowu zacząłem błąkać się ulicami miasta. Sześć okrążeń wokół rynkowej fontanny, prażące mój mózg słońce, potrącający mnie spacerowicze, klaksony samochodów. Wszystko szare. Wróciłem do domu. Czym prędzej zabrałem skrzypce i zszedłem z nimi do pracowni. Zamknąłem się od środka na zamek, podstawiając dodatkowo krzesło pod klamkę. Wyjąłem instrument z futerału, stanąłem nad leżącym na stole skrojonym niebieskim materiałem i zacząłem dla niego grać. Chopin, Vivaldi, Mozart, Szostakowicz wychodziły spod strun niczym górski strumień. Czasem gładko, czasem rwąco, lecz zimno. Grałem, czekając na Godota? Czy to wszystko się skończy? I jak? Upadłem. Pracownia wirowała jak szalony, obłąkany tancerz, któremu przestali grać, a on wciąż tańczy. W jedną chwilę wszystko ustało. Dostrzegłem na ścianie zabłąkaną muchę.

– Coś dla Iv. Fajny eksponat do portretu.

– Rzeczywiście ładna muszka. – Iv stała przy ścianie, wpatrzona w owada.

Podniosłem się na łokciach. Przetarłem dłonią twarz.

- Jak się tu dostałaś? Przecież zamknąłem drzwi i dodatkowo postawiłem krzesło pod klamkę.

- Normalnie. Otwarte było. Zapukałam, nie odzywałeś się, więc złapałam za klamkę i weszłam - oznajmiła spokojnym głosem.

Wstałem z podłogi.

- Miałaś mi coś oddać - powiedziała z uśmiechem.

Podszedłem do stołu. Kolczyk leżał tam, gdzie go położyłem.

- Dziękuję ci, naprawdę mi się przydał.

Iv w milczeniu założyła złotą zawieszkę na ucho. Zdziwiło mnie, że nie zapytała, do czego mi był potrzebny jej kolczyk, ale i dobrze, bo nie chciałem jej tego tłumaczyć.

- Widzę, że sporo już uszyłeś. Masz zamiar tu ćwiczyć grę? - zapytała, widząc oparte o ścianę skrzypce.

- Gram, szyję, palę, jem, śpię. Teraz wszystko tu już chyba robię. - Usiadłem na krawędzi stołu, a ona na krzesło, które wczoraj zajmował dziadek Stach.

- Jakie ciepłe - oznajmiła.

- Tak, ojciec mojej matki je zagrzał, ale dziwne, że tak długo trzyma temperaturę.

- On przecież nie żyje.

- Bary, pies sąsiadki, też wczoraj zdechł, a dziś obwąchiwał mi nogawkę. Matka kroi wodę, jej głos brzmi jak wciągający kurz odkurzacz. Do tego paliłem fajkę dziadka, która się gdzieś rozpląnęła jak dym na wietrze, i mam watę zamiast mózgu.

Iv przytuliła mnie mocno do siebie. Poczułem bicie jej serca.

- Posiedzisz tu ze mną?

- Masz zamiar szyc, grać czy będziemy się kochać? - zapytała, wyciągając cygaro z torby.

Uśmiechnąłem się.

- Wszystko, ale zacznę od szycia.

Iv zapaliła cohibę, a ja zasiadłem do maszyny.

- Dziś szyję spodnie - krótko oznajmiłem. Wziąłem w dłonie skrojone, gotowe do zszycia kawałki materiału.

Iv paliła, patrząc, jak pracuję. Długi czas nie rozmawialiśmy, każde robiło swoje. Wyglądaliśmy jak fajne stare małżeństwo, które cieszy się z każdej wspólnie spędzonej chwili mimo upływu lat. Gdy Iv odłożyła końcówkę wypalonego cygara na zakrętkę, wyjęła z torby szkicownik i ołówek.

- Gdzie ta mucha? - Wstała z krzesła i zaczęła chodzić po pracowni, zaglądając w każdy kąt. - Jest! - wykrzyknęła uradowana. - Nie ruszaj się, złociutka.

Mucha zrozumiała polecenie. Stała przyczepiona do ściany, jakby naprawdę wiedziała, że będzie pozować do portretu. Iv szybkimi ruchami dłoni kreśliła postać owada. Słychać było szelest papieru i krótkie skrzypienie grafitu.

- Ładne? - zapytała Iv, pokazując mi narysowaną muchę.

- Doskonałe! Wygląda naprawdę wyjątkowo. Do tej pory miałem wrażenie, że mucha to zwykły owad, który fruwa tylko w poszukiwaniu żarcia i żeby denerwować swoim bzyczeniem, a spod twojej ręki wyszło stworzenie, które ma świadomość swego istnienia. Jesteś genialna.

- Wszystko ma swą duszę. Nawet narysowana mucha.

- Wiem coś na ten temat. Moja matka całe życie mi to powtarza. - Odłożyłem spodnie na stół. Wziąłem w dłonie skrzypce i smyk. Przystawiłem instrument do szyi. - A to lubisz? - zapytałem po odegraniu kilku taktów niepozornego wstępu, *Czardasza* Vittoria Montiego. Nie czekając na odpowiedź, wyprowadziłem muzykę na otwartą przestrzeń wirtuozerii. Dźwięki skakały pod moimi palcami jak szalone, zataczając w powietrzu młynki. Coraz szybciej, skoczniej, pewniej, barwniej.

- Nie wierzę, że człowiek jest w stanie skomponować taki utwór. Czuć w tym umysł Boga - powiedziała Iv, gdy po skończonym utworze oparłem skrzypce o kolano. - Myślę, że sztuka to nie wymysł ludzki - dokończyła myśl.

- Będę musiał teraz baczniej przyjrzeć się tym wszystkim skarbowi mojej matki.

- Masz w mieszkaniu naprawdę imponującą kolekcję dzieł. Wyspiański, Malczewski, Hofman, nawet jakiś szkic Wyczółkowskiego,

nie mówiąc już o porcelanach i srebrnych sztuccach.

Opuściłem głowę.

- Wiem, ale jak sobie uświadomię, w jaki sposób to zostało nabyte... - uciałem zdanie.

Iv zdjęła buty, obnażając swe piękne stopy. Bezszelestnie podeszła do mnie na paluszkach, cały czas patrząc mi w oczy. Wzięła z mych rąk smyk i skrzypce, po czym położyła je na stole obok niebieskich spodni. Bez słowa zaczęła mnie rozbierać. Delikatnie rozpiniała koszulę z góry ku dołowi, zgrabnie przechodząc do rozporka. Gdy po chwili stałem zupełnie nagi, ujrzałem i jej spragnione ciało. Nasze skóry zaczęły zlepiać się w jedno. Rzuciłem kochankę na stół obok niebieskich spodni i skrzypiec. Wiliśmy się w miłosnym splocie niczym dwa węże ścigające się po ostatnie jabłko z rajskiego drzewa. Chwyciliśmy je w tym samym czasie. Poczuliśmy to oboje. Ześlizgnąłem się z Iv, położyłem obok i w milczeniu patrzyliśmy w sufit. Nadzy, spoceni, piękni.

- Synu, za dwa dni twój ważny dzień - powiedziała matka, zalewając poranną kawę. - Mam dla ciebie obiecany prezent, Frycku.

- Co ty mi obiecałaś?

Duńcia wstała od stołu, poszła do pokoju. Słyszałem, jak otwiera szafę, gmera w niej i ją zamyka. Wróciła.

- Proszę, to obiecane buty i koszula.

- Rzeczywiście! Zapomniałem o tym na śmierć. - Pocałowałem ją w policzek. Przymierzyłem koszulę. Idealna. Założyłem buty. Jak na mnie szyte. Wszystko pod kolor garnituru.

- To teraz możesz pokazać mi się w całej krasie?

- Dopiero w dniu tej uroczystości. Nie chcę zapeszać. To tak jak z tym zabobonem, żeby nie widzieć panny młodej w sukni ślubnej w dniu ślubu - zaśmiałem się.

Na ustach Duńci pojawił się szczyry uśmiech!

- Mamo, ty się śmiejesz! - krzyknąłem. Z wrażenia uszczypnąłem się w rękę i odruchowo szukałem czerwonej chmury wokół.

- Tak, cieszę się, że uszyłeś sobie ten garnitur.
- Sporo też ćwiczyłem na skrzypcach przez ten miesiąc.
- Wiem, synku. Wszyscy w kamienicy słyszeli, jak grałeś w pracowni.

Może z tego drugi wnuk będzie? - znowu się zaśmiała.

- Skąd wiesz? - zapytałem zdumiony.
- Matka wie takie rzeczy, dziecko drogie.

Oboje zaczęliśmy się śmiać, popijając kawę.

- Dziś ja zrobię dla nas śniadanie - oświadczyłem, wstając od stołu.
- Jeśli chcesz.

Wyjąłem z lodówki wędlinę, ser, jaja. Usmażyłem jajecznicę. Duńcia spokojnie siedziała na krześle, bacznie mi się przyglądając. Podałem do stołu.

- Smakuje wybornie, Frycku.

- Szkoda, że przez te ostatnie lata ani razu nie przyrządziłem ci jajecznicy.

- Szkoda, bo jest pyszna.

Po skończonym posiłku nadal siedzieliśmy na swych miejscach, czując wyjątkową atmosferę wspólnie spożytego śniadania. Odruchowo spojrzałem do wnętrza filiżanki matki. Fusy spokojnie leżały na spodzie. Ku mojemu zaskoczeniu nie było zacieków po wewnętrznej stronie porcelanowego naczynka. Wyglądało to tak, jakby matka piła przez słomkę. Wzruszyłem ramionami.

- Co tam wyczytałeś? - zapytała, przyglądając włosy.

- Właśnie nic. Pustka.

- Oj, mój ty wróżbito kochany.

Matka powiedziała do mnie „kochany”! Uśmiecha się! Gdzie są, kurwa, wrony?! Gdzie ta jebana czerwień?

Od wizyty dziadka Stasia ani razu żadna wrona mnie nie nawiedziła. Może to wszystko było naprawdę tylko snem, który minął bezpowrotnie?

Po śniadaniu Duńcia pozmywała naczynia, ogarnęła kuchnię, ja poszedłem do salonu palić fajkę. Nabiłem swoją Azję, podпалиłem i po chwili rozkoszowałem się wszechobecnym zapachem amfory. Do pokoju weszła moja Maria. Bez słowa usiadła w swoim fotelu, wzięła ze stolika

książkę i zaczęła czytać. Przed przełożeniem każdej strony nawilżała palec śliną. Nigdy tego nie robiła albo dotąd nie zwracałem na to uwagi. Co jakiś czas przeciągała dłonią po włosach, po oparciu fotela, przekładała nogę na nogę, raz nawet ziewnęła. Obserwowałem z niepokojem każdy jej ruch. Zaciągnąłem się mocniej dymem, który wpadł mi do płuc. Zacząłem potwornie kasłać. Miałem wrażenie, że w gardle utknął mi potężny kawałek drutu. Kaszląc, spoglądałem na matkę, nawet nie zerknęła w moją stronę. Czytała, śliniła palec, przekładała nogi, głaskała włosy. Ja kaslałem i miałem wrażenie, że będę to robił do końca życia. Ona spokojnie czytała książkę. Gdy kaszel mi ustał, zapytała:

- Może mi coś zagrasz?

Położyłem Azję na stole i poszedłem po skrzypce do pracowni. Gdy wróciłem do mieszkania, matka siedziała na fotelu ubrana w czerwoną sukienkę.

- Czemu się przebrałaś?

- Pomyślałam, że będzie ci miło. Postanowiłam zakładać ją w wyjątkowych sytuacjach.

Bez komentarza wyjąłem skrzypce i smyk z futerału.

- Ni chuja, koncertu nie będzie! - wrzasnąłem, rozbijając instrument o podłogę.

Fragmenty drewna rozsypały się na różne strony, struny zabrzęczały głuchym brzdękiem. Matka spokojnym wzrokiem obserwowała, jak demoluję rodową pamiątkę.

Obudziłem się o piątej minut trzydzieści. Kuchnia, kawa, matka, śniadanie.

- Jutro masz ten koncert, synku - oznajmiła, spoglądając w kuchenne okno.

- Wyrzuciłaś skrzypce?

- Jakie skrzypce miałam wyrzucić, synku?

- Te, które wczoraj połamałem.

Maria pokręciła głową, okazując bezradność. Wstałem od stołu i wyszedłem na dziedziniec przed kamienicę.

- Dzień dobry, panie Frycku - przywitała mnie Celina.

- Dobry? - zapytałem nerwowym głosem.

- A co pan taki nie w sosie?

- Gdzie jest Bary, pani Celciu?

- Zakopałam go w lesie na Karczówce.

- Na Karczówce, powiada pani. To jednak zdechł.

- Mnie też jest się ciężko z tym pogodzić. Ale dziwny pan jest, taki blady, co się stało?

- Nic. Jutro mam koncert i chyba trema mnie dopadła - powiedziałem na odczepnego.

- U tej Iv?

- U niej.

- Piękna z niej dziewczyna. Dobrze, że się spotykacie. Powiem panu, że kilka razy z nią rozmawiałam,

jak tu przychodziła. Chwaliła się, że specjalnie dla niej uszył pan sobie garnitur i wrócił do grania. To dobrze. Mówiłam, że potrzebna panu kobieta. Ładna z was para.

- Bardzo się boję, pani Celinko.

- Nie ma się co bać, cudnie pan gra. Słuchałam przez okno te Szopeny i inne takie tam, jak pan ćwiczył w pracowni. Pięknie, naprawdę pięknie.

- Bardzo się boję - powtórzyłem, po czym wyszedłem na ulicę.

Płyty chodnikowe pod moimi stopami miauczały jak stado zarzynanych kotów. Splunąłem. Kroki skierowałem do sklepu, kupiłem pół litra żytniej, po czym poszedłem do pracowni. Niebieska marynarka dumnie wisiała na szarym manekinie. Spodnie wyprasowane spoczywały na stole. Spojrzałem na ścianę. Kolejna zabłąkana mucha patrzyła na mnie. Może dowiedziała się, że tu portretują? Odkręciłem nakrętkę, rzuciłem w kąt. Długi czas wpatrywałem się w etykietę. Ręce mi się zaczęły trząść. Podniosłem butelkę nad głowę i po chwili całą zawartość wylałem na siebie. Wódka ściekała mi z włosów, twarzy, przez szyję na

koszulę, dotarła do spodni, aż poczułem ją w butach. Oparłem się o ścianę.

- Szkoda, że nie kupiłem czystego spirytusu, to bym się podpalił. Wyglądałbym jak te pochodnie Nerona. Matka miałaby radość. Pewnie by klaskała w dłonie - powiedziałem.

- Kto by klaskał w dłonie? - Do pracowni weszła Iv.

Spojrzałem na nią mętным wzrokiem, upuściłem butelkę, która rozbiła się u mych stóp.

- Moja matka. Ona ponoć uwielbiała patrzeć, jak płoną ludzie.

- Oszalałeś. Ale mam lepszy sposób, żebyś zapłonął. - Podeszła do mnie i zaczęła zlizywać z mej twarzy wódkę. - Cudnie smakujesz... - Rozpinając koszulę, lizała piersi i brzuch. Schodziła coraz niżej.

Chwyciłem ją pod pachy, podniosłem z kolan. Przełknąłem ślinę tak głośno, że chyba było słyhać w całej kamienicy.

- Nie chcę, żebyś jutro zagrał na moją cześć - powiedziała.

Otrząsnąłem się.

- Co się stało? - zapytałem, poprawiając ubranie.

Iv wyjęła z torby cygaro. Zapaliła.

- Nie chcę i już - powiedziała zdecydowanym głosem.

- Dlaczego? - dopytywałem.

- Bo się naprawdę w tobie zakochałam.

Oślupiałem.

- Też cię kocham. I właśnie dlatego zagram.

- To był układ - oświadczyła.

- Jak to?!

- Twoja matka przekupiła mnie i mojego ojca.

- Jak to? - powtórzyłem przerażony.

- Ojciec nie spotkał cię przypadkiem na ulicy. Tamtego dnia on cię śledził. Po twoim wyjściu z domu matka zadzwoniła do niego i powiedziała, dokąd idziesz. Gdy przystanąłeś przy jakimś afiszu, podszedł i zaproponował zagranie koncertu. Twoja Duńcia sponsorowała wszystko. Dała pieniądze na twój garnitur i na całe przyjęcie.

- Czemu to zrobiła?

- Chciała, żebyś wrócił do szycia. Miała powyżej uszu twojego chlania, łażenia po knajpach, sprzątania podwórek z psich gówien. Widziała, że się staczasz na dno. Pamiętaj, to matka. Nie wiedziała, jak cię namówić do powrotu do pracowni, więc wymyśliła całe to przedstawienie. Miała nadzieję, że jak zaczniesz szyć, to się już nie wycofasz. Ja miałam być kimś, kto kontroluje, czy faktycznie szyjesz i nie chlasz. Zawsze byłam wyrachowaną suką, która zbywała facetów po kilku randkach. Mój ojciec pod tym względem jest taki sam. Mam to po nim.

- Dlaczego mnie okłamywałaś?!

- Początkowo rzeczywiście byłeś mi obojętny. Jeden numerek i baj, baj, byle do imprezy dociągnąć. Gdy ty szyłeś, ja przychodziłam do twojej matki i zdawałam relację z tego, jak ci idzie robota. I nie tylko. Wszystko jej mówiłam. Początkowo ustalałyśmy, kiedy mam cię odwiedzać w pracowni. Gdy widziała, że nie szyjesz i nie ćwiczysz gry na skrzypcach, bo masz te swoje chore urojenia z wronami, ja wkraczałam. Ale muszę przyznać, że ten numer z pierogami i szarlotką sama wymyśliłam i naprawdę tymi rękami przygotowałam. Wtedy już zaczęłam inaczej na ciebie patrzeć. Moje uczucia zaczęły wymykać się spod kontroli. Im częściej przychodziłam, tym większym zaczynałam darzyć cię uczuciem. Teraz jestem pewna, że cię naprawdę kocham. Dziś oddałam mojemu ojcu swoją dolę i powiedziałam, żeby zwrócił ją twojej matce.

- Wszyscy wokół mnie kłamią! - powiedziałem złamanym głosem.

- Myślę, że twoja matka naprawdę chciała twojego dobra. Nie wiedziała, jak cię do tego namówić, więc zrobiła to podstępem. Chociaż też mi coś tu nie pasuje, ale... - urwała.

- I co ja mam teraz zrobić? W ogóle nie przyjdę.

- Nie mówiłam, żebyś nie przychodził, tylko że nie chcę, żebyś grał.

- Uszyłem ten pierdolony niebieski garnitur, matka kupiła mi koszulę i buty, gram na skrzypcach jak zawodowy muzyk. Do dupy to wszystko.

- Przyjdź jutro. Ta uroczystość się odbędzie, ale naprawdę nie musisz na niej grać i zakładać tego garnituru. Tym bardziej że jego kolor też

ustalała ona. Kłamałam, że to mój ulubiony, ale wszystko inne jest prawdą. Boję się pomidorów, zapijam strach wódką, uwielbiam muchy, cygara i kocham cię najprawdziwiej. Przyjdź. Będzie naprawdę fajnie. Wypijemy po lampce szampana, zjemy coś smacznego, potańczymy. Powiem ci jeszcze jedno. Postanowiłam, że to będzie moje ostatnie przyjęcie z tej okazji, ale wszystko teraz zależy od ciebie.

- Ode mnie?

- Tak. Jak wiesz, piętnaście lat temu przespałam się z kimś, kogo zupełnie nie kochałam, nawet nie lubiłam; zwykły skok na chłopca, by to mieć za sobą. Dlatego co roku odnawiam symbolicznie swoją cnotę. Teraz przysięgam, że jeśli ożenisz się ze mną, w przyszłym roku nie chcę już jej mieć. Będę twoja i tylko twoja. Chcę urodzić ci dzieci, które będziesz brał na ręce, chodził z nimi do teatru czy na szczepienia, razem będziecie ubierać choinkę na święta... - zamilkła, czekając na mą reakcję.

Usiadłem na krześle, patrząc z obrzydzeniem na garnitur i spodnie. Miliony myśli przechodziły przez mój mózg.

- Przyjdę jutro na tę uroczystość - rzekłem po długim namyśle.

- Cudownie! - Iv pocałowała mnie w usta.

- Jednakże założę ten garnitur i zagram zgodnie z umową. To sprawa honorowa. Będę się zachowywał tak, jakbym nie wiedział o waszym układzie.

Iv objęła moją szyję ramionami i mocno przycisnęła wargi do moich.

W noc poprzedzającą koncert prawie w ogóle nie spałem. Paliłem Azję, czytałem *Złego* i przede wszystkim myślałem o tej mistyfikacji. Spojrzałem na zegarek stojący na stole - druga minut siedem. Roześmiałem się niemal na wspomnienie nawiedzających mnie wron. Nawet zacząłem za nimi tęsknić. Skoro nie potrafiłem tyle lat szczerze rozmawiać z żywymi, to zmarli byli w tej sytuacji doskonałymi kompanami do dyskusji. Skoro ubzdurałem sobie, że wchodzę ludziom do snów i je wykradam, to mam za swoje. Wszystko to urojenia

spowodowane gwałtownym odstawieniem alkoholu. Prawdą było to, że zepsułem szkatułkę, i to, że była w niej fotografia, no i że Bary zdechł. Wszystko, co te wyimaginowane niebieskie wrony mówiły o mojej matce, to jedna wielka bzdura. Teraz wiem, że ta kobieta kłamała w dobrej wierze, by mnie ratować. Zmarnowałem pół roku życia i to był ostatni dzwonek, by mnie z tego bagna wyciągnąć. Ala odeszła do innego faceta, bo ja nie potrafiłem podjąć decyzji o dziecku. Moja matka szefem przestępczej grupy i morderczynią! Bzdura. Za oknem świta, muszę się zdrzemnąć. Odruchowo zerknąłem na zegarek - druga minut siedem. Kurwa! Przystawiłem ucho do jego tarczy. Cyka. Wszystko działa, a wskazówki stoją w miejscu! Podniosłem się z łóżka, podszedłem do okna. Słońce powoli oświetlało kamienicę pomarańczowym blaskiem. Na parapecie siedziała biała wrona trzymająca jakiś błyszczący przedmiot w dziobie. Zbliżyłem głowę do okna. Bałem się, żeby nie otuliła jej mgła jak poprzednim razem. Na szczęście widziałem ją wyraźnie. Jej szyja była owinięta bandażem. Pomachała mi skrzydełkiem, zastukała w szybę. Otworzyłem. Wyciągnąłem rękę w jej stronę, ona położyła mi świecidełko na dłoni.

- Ania? - zapytałem.

- Tak, twoja siostra - oznajmiła z uśmiechem.

- Czy to złoto? Pamiętam, jak przyfrunęłaś tu pierwszy raz z tamtymi wronami i tą błyskotką w dziobie. To prezent dla mnie? - zapytałem uradowany.

- Nie, to zwykła blacha pomalowana farbami na złoty kolor. Pamiętaj, nie ufaj. Dałeś się nabrać. - Po tych słowach odfrunęła.

Patrzyłem na punkt, w którym zniknęła. Słońce coraz wyżej wschodziło nad miastem. Poszedłem do kuchni. Tradycyjnie poprosiłem matkę o kawę. Spojrzałem na zegar. Piąta minut pięćdziesiąt trzy.

- Chyba mi się zepsuł budzik, mamó. Słysząc, jak cyka, a wskazówki stoją w miejscu. Czas zatrzymał się o drugiej siedem - powiedziałem, popijając kawę.

- Musisz dać do naprawy. Dziś twój dzień, synku. Wyspałeś się?

- W ogóle nie spałem. Przynajmniej tak mi się wydaje - oznajmiłem,

mając w myśli nocną wizytę Ani z błyskotką w dziobie.

Matka podejrzliwie na mnie spojrzała.

- Ja spałam jak zabita. Wiesz co? Wprosiłam się na tę dzisiejszą imprezę. Zadzwoiłam do Wita i zapytałam, czy będę mogła przyjść. Zgodził się, a nawet ucieszył. Chcę posłuchać, jak grasz. Nie masz chyba nic przeciwko temu?

- Bardzo się cieszę, mamó. Będzie mi raźniej, bo nie ukrywam, że czuję dużą treść.

- Ja muszę tylko iść po jakiś prezent dla Iv - oznajmiła z uśmiechem.

Po śniadaniu zszedłem do pracowni, zabierając nowe buty i koszulę. Usiadłem na krześle, wypaliłem jedno nabicie fajki. Długo w milczeniu patrzyłem na wszystkie przedmioty, które wypełniały moje miejsce pracy i tworzyły jej niepowtarzalny klimat. Stara maszyna, stół krawiecki, szpulki z nićmi, metrówka, igły, kreda, szpilki, dyplom mistrzowski na ścianie, radio na półce, manekin pokryty nowo uszytą niebieską marynarką, rozbita butelka po wódce, krzesło i ten zapach. Piękny zapach pracowni. Po około godzinie wróciłem do domu. Wszedłem do wanny. Długa kąpiel w ciepłej wodzie koła moje obawy przed dzisiejszym wydarzeniem. Zgoliłem zarost, twarz ochlapałem wodą kolońską, psiknąłem się dezodorantem pod pachami, przeczesalem włosy. Stałem nagi przed lustrem i długo się sobie przyglądałem. Przypomniał mi się Wit, który biegał z gołą dupą po mieście. Założyłem majtki, podkoszulek, starą koszulę i spodnie, po czym poszedłem do salonu.

Matka jak zwykle siedziała w swoim fotelu i czytała. Nie odezwałem się ani słowem, by nie wybić jej z lektury. Spacerowałem po pokoju, spoglądając na otaczające mnie przedmioty. Książki na półkach, portret Piłsudskiego na ścianie, miniaturowe bibeloty, pozytywkę z muzyką Chopina. Poczulem się jak wtedy, gdy natknąłem się na tę pokrytą aksamitem szkatułkę ze zdjęciem. Nawet odruchowo spojrzałem w to miejsce, w którym ją odkryłem, lecz jej tam nie było.

- Gdzie ta szkatułka, mamó? - zapytałem.

Duńcia oderwała wzrok od lektury. Patrzyła na mnie, lekko się

uśmiechając.

- Pozbyłam się jej. Podarłam też zdjęcie i wyrzuciłam - oświadczyła.

- Dlaczego?

- Miałaś rację, złe wspomnienia trzeba wyrzucać z pamięci.

Niepotrzebnie tyle lat chowałam tę fotografię.

- To powiesz mi w końcu, co się wtedy wydarzyło?

Matka zamknęła książkę. Przez chwilę zbierała myśli.

- Bardzo byłam zżyta z tymi ludźmi ze zdjęcia. Po wojnie sobie pomagaliśmy. Jak to się mówi, kromkę chleba dzieliliśmy na wiele osób. Trudne czasy i naprawdę ciężko było się podźwignąć. Jednak postanowiliśmy sobie radzić mimo wszystko. Ja oczywiście koncertowałam, sporo wyjeżdżałam, nawiązywałam nowe znajomości. Rzeczywiście handlowaliśmy, czym się dało.

- Ty naprawdę handlowałaś?

- Tak. Twój ojciec zaczął pracę w banku i krok po kroku wychodziliśmy na prostą. Wuj Edek, nasz przyjaciel Mieciu, Waclaw, Natalia, Paweł - byliśmy jedną wielką rodziną. Spotykaliśmy się u nas na brydza, piliśmy drogie alkohole, były tańce i zabawy do rana. Później dołączył do nas Wit, ale on tylko jako dusza towarzystwa. Po jakimś czasie Natalia i Paweł doczekali się potomstwa i nawet mnie i Waclawa poprosili na rodziców chrzestnych. To była sielanka w piekle tamtych lat. Z czasem właśnie Natalia i Paweł dostrzegli, że mnie i twojemu ojcu powodzi się coraz lepiej. Zwłaszcza jej zaczęło to przeszkadzać. Była zachłanna. Robiła nam różne świństwa, a Paweł jej w tym pomagał. Sądziła, że się o tym nie dowiem. On jednak nie był tak pazerny na pieniądze jak ona. Czasem nawet dochodziło do sprzeczek między nimi. Przez Natalię wsadzili twojego dziadka Stasia do więzienia, bo doniosła, że handluje na lewo drzewem z tartaku. Nie ukrywam, że tak właśnie było. Edek, Mieciu i Waclaw spokojnie prowadzili własne interesy, podrzucając nam czasem jakieś intratne kontrakty. Pewnego dnia Natalia i Paweł mocno się pokłócili, do tego stopnia, że on dostał zawału i zmarł. Kilka dni później ona odebrała sobie życie. Ania trafiła do domu dziecka. Ot i cała historia.

- Co z Edkiem, Mieciem i Wackiem? - dopytałem.

- Oni we trzech jechali w interesach do Łodzi. Mieli tam jakiegoś solidnego klienta. Mogli sporo zarobić. Ale po drodze doszło do wypadku. Wpadli w poślizg, samochód uderzył w drzewo i zaczął się palić. Spłonęli we wraku. Po nich wszystkich zostało mi tylko to zdjęcie, które odgrzebałeś. Trzymałam je osobno. Nie chciałam go wyrzucić, ale też nie mogłam na nie patrzeć. Dlatego gdy je odkryłeś, wróciły wszystkie wspomnienia i byłam przerażona, dlatego miałam do ciebie żal, że je wyciągnąłeś z tej szkatułki. Po stracie przyjaciół zostałam sama.

- A ojciec? Miałaś jego.

- Tak, ale po tym wszystkim zaczęło się psuć między nami. Znalazł sobie inną kobietę. Zostawił mnie i ciebie. Od tamtej pory ciężko mi przychodzi się uśmiechać, jak słusznie zauważyłeś. Nawet płakać mi trudno.

- Mamo, kto to jest Pedro?

Duńcia spojrzała na mnie zimnym wzrokiem.

- Nie znam nikogo o tym imieniu. Czemu pytasz?

- Przez ten mój dziwny ostatni czas mówiłem ci, że mnie nawiedzają niebieskie wrony. One mi powiedziały, że mężczyzna o tym imieniu był twoim zaufanym współnikiem.

- Boże, nie wracajmy już do tego. Miałam nadzieję, że przeszły ci te urojenia - westchnęła. - Skup się na dzisiejszym święcie.

Wstałem z kanapy, po czym poszedłem do swojego pokoju po Azję. Wróciłem do matki. Ona wróciła do lektury, a ja paliłem fajkę. Spędziliśmy w zupełnej ciszy dwie godziny. Przywoływałem we wspomnieniach ostatni szalony miesiąc.

- Powoli trzeba się zbierać, synku - powiedziała w końcu rodzicielka, podnosząc się z fotela.

Wybity z zadumy spojrzałem na zegar - szesnasta minut piętnaście.

- Mamo, teraz pójdę do pracowni się przebrać i spotkamy się o osiemnastej u Wita i Iv - oświadczyłem, wstając z kanapy. Wziąłem skrzypce z pokoju i poszedłem do warsztatu. Zaświeciłem jarzeniówkę przy suficie, włączyłem radio. Spiker jak zwykle coś mamrotał i puszczał

muzykę. Ja w tym czasie zakładałem na siebie przygotowane ubrania. Wszystko pasowało jak ulał. Cmoknąłem na widok dobrze wykonanej roboty.

- Faktycznie nawet nieźle mi w niebieskim - powiedziałem, oglądając się w ogromnym lustrze wiszącym na ścianie. Koszula i buty idealnie dopasowane. Zacząłem sobie pogwizdywać równo z jakąś melodią z radia.

Nagle spiker oznajmił, że nad nasz kraj nadciąga czerwona chmura.

- Jak to, kurwa, czerwona chmura?! - krzyknąłem, wyglądając przez okno. Jasno, piękne słońce, zero obłoków na niebie. - Co on pierdoli?! Może coś źle zrozumiałem albo naprawdę łapie mnie trema? Fryc, tylko spokój! - Wyłączyłem odbiornik. Spojrzałem na zegarek: siedemnasta minut dziewięć. - Jeszcze pięćdziesiąt jeden minut. Chyba dostanę zawału ze strachu. - Czułem potworną tremę. Po około piętnastu minutach wyszedłem z pracowni, dzierżąc pod pachą futerał z instrumentem wewnątrz. Czułem, jak pot zalewa moje ciało. - Będę śmierdział jak cap - wymamrotałem, wlokąc się w kierunku domu Iv.

„Bardziej się boję niż przed pierwszą u nich wizytą. Boże! Mam garnitur doskonale skrojony, repertuar przećwiczony i czego ja się boję? Po pierwsze to święto Iv, nie moje, ja jestem tylko uzupełnieniem tej uroczystości. Zagram, co mam zagrać, ukłonię się, zjem coś dobrego, popiję szampanem i po sprawie. Potem luźne rozmowy, żarty, jak to na każdej imprezie” - tłumaczyłem sobie w myślach.

Siedemnasta minut czterdzieści siedem. Powoli u do celu. Siedemnasta minut pięćdziesiąt dziewięć. Zapukałem. Drzwi otworzył Wit. Podał mi dłoń na powitanie, pokazując przy tym szczery uśmiech. Zaprosił do pokoju. Iv wstała z fotela. Podeszła do mnie, pocałowała w usta. Coś mówiła.

- ...że już jesteś - w końcu do mnie dotarły jakieś słowa.

- Co ze jestem? - dopytałem.

- Mówię, że cieszę się, że już jesteś. Zaraz powinni przybyć pozostali goście. Może kawy?

- Chętnie. - Usiadłem na kanapie, futerał postawiłem obok. Wit

patrzył na mnie dziwnym wzrokiem. Miałem wrażenie, że topnieję jak lód na wiosnę.

Po chwili do pokoju weszła Iv z tacą, na której stały trzy filiżanki z kawą, cukiernica i mały dzbanuszek z mlekiem. Postawiła je na stole i usiadła na krześle obok mnie.

- Naprawdę pięknie ci w tym niebieskim - oznajmiła, nabierając łyżeczką cukier.

Podziękowałem za komplement kiwnięciem głowy i półuśmiechem.

- Widzę, że jesteś spięty. - Zamieszała kawę. Upiła jeden łyk. - Chodź, pokażę ci swoją galerię z portretami much - oznajmiła, chwytając mnie za rękę.

Weszliśmy do jej pokoju. To, co ujrzałem, przeszło moje największe wyobrażenie o kolekcjach czegokolwiek. Wszystko, dosłownie wszystko było pokryte portretami much: ściany, podłoga, sufit, meble, abażur nocnej lampki, nawet jej łóżko. Patrzyłem, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa na wyrażenie mojego zaskoczenia.

- Ładne? - zapytała.

- Ładne, ale tego dużo! - krótko stwierdziłem. - Ile tu jest tych portretów?

- Dokładnie sześćset dwadzieścia siedem.

- Tyle to chyba tylko w Luwrze albo Ermitażu można spotkać obrazów.

Iv się zaśmiała.

- A ten jest dla ciebie - powiedziała, wyciągając z szafki oprawiony portret muchy.

- To ta z mojej pracowni! - krzyknąłem.

- Tak, to ta sama. - Znowu radość pojawiła się na jej twarzy.

- Masz gościa, Iv. - Usłyszeliśmy z za drzwi głos Wita, a ona natychmiast wychyliła głowę z pokoju.

- Jakże mi miło! - krzyknęła, zostawiając mnie z kolekcją much.

Słyszałem jakiś damski głos składający jej życzenia, cmokanie w policzki, podziękowania.

- Chodź do nas, Fryc - powiedziała jubilatka, zaglądając do

muchowej komnaty.

Wypuściwszy powoli powietrze z płuc, wróciłem do pokoju, gdzie stygła moja kawa. Za stołem siedziała Duńcia ubrana w czerwoną sukienkę.

- Dzień dobry - powiedziałem.

Matka się uśmiechnęła. Iv usiadła na honorowym, specjalnie przygotowanym dla niej krześle ozdobionym kwiatami, Wit zasiadł po jej lewej stronie.

- Siadaj tu. - Iv wskazała mi krzesło przy swym prawym boku.

- Synu - rzekła matka, patrząc na nas - nie ukrywam, że nie sądziłam, iż doczekam takiej sytuacji. Rzuciłeś alkohol, wróciłeś do pracy, ponownie zacząłeś grać na skrzypcach, poznałeś wspaniałą kobietę - uśmiechnęła się do Iv - więc cóż więcej trzeba matce, która widzi szczęście dziecka? - oznajmiła ciepłym głosem. - Ta uroczystość okazała się doskonałą okazją do tego, by się spotkać. Najważniejsza jest dziś Iv, ale ty również możesz odegrać swoje fanfary sukcesu, synku. Myślę, że wszyscy zgodzą się ze mną. - Każdy z obecnych z uśmiechem jednomyślnie przytaknął.

Poczułem się naprawdę dziwnie. „Zebraliśmy się po to, by uczcić dzień utraty cnoty przez Iv, a oni większość uwagi skupiają na mnie” - pomyślałem, spoglądając z niepokojem na obecnych. Poczułem, jak Iv kładzie mi dłoń na ramieniu i delikatnie pociera. Wit wstał z krzesła.

- Tradycją tej uroczystości jest to, że Iv obcina swoje włosy. To jest dla niej prawdziwe odnowienie, powrót do lat niewinności. Dokonuje tego sama. Jednak zanim to nastąpi, chciałbym, byśmy przed tym wszyscy wzniesli toast lampką szampana - powiedział, otwierając trunek. Strzał korka był głośny.

Moja matka podeszła do Wita, powiedziała mu coś szeptem do ucha i z uśmiechem na ustach wróciła do stołu. Po chwili on napełnił kieliszki. Robił to perfekcyjnie. Do każdego pucharka wlał dokładnie tyle samo, jakby miał na każdym z nich narysowaną kreskę. Poczułem lekką treść, gdyż wiedziałem, że po toaście nastąpi mój ważny moment. Spojrzałem na oparty o kanapę futerał. Nerwowo uśmiechnąłem się, próbując

zagłuszyć treść. „Szkoda, że nie mam migdałów” – pomyślałem. Po twarzach zebranych widziałem, że są naprawdę podnieceni tą uroczystością. Zauważyłem, że moja matka mówi coś do Iv, odpowiada z uśmiechem na pytanie Wita, rozmawiają, dowcipkują, czekając na podanie szampana, składanie życzeń i mój koncert. Ja kretyńsko się szczerzyłem, czując potworną treść.

Nagle Iv wstała z krzesła, podeszła do oddalanej o trzy kroki stołu szafki, na której leżały nożyczki owinięte czerwoną wstążką. Wzięła je w dłoń, po czym uniosła nad głowę.

- Co tu się dzieje? Nie mówiłaś mi o tym, że obcinasz włosy z tej okazji - oznajmiłem zdziwiony, gdyż nagle dotarło do mojej świadomości to, co się zaczęło wydarzać.

- Chciałam zostawić jakąś tajemnicę tego rytuału - oświadczyła z uśmiechem, trzymając cały czas nożyczki nad włosami.

Przytaknąłem ze zrozumieniem. Przełknąłem ślinę. Moja matka patrzyła na Iv, a Wit podchodził do każdego z nas, podając z tacy kieliszki z szampanem. Spojrzałem na skrzypce oparte o kanapę. Przerzuciłem wzrok w stronę okna. Blade światło przechodziło przez grubo szyte firanki. Zerknąłem na matkę. Cały czas obserwowała Iv, która niezmiennie trzymała nożyczki nad głową. Wit stanął między stołem a swoim krzesłem. Iv podeszła do stołu, zanurzyła nożyczki w swoim kieliszku i przytrzymała kilka sekund. Gdy je wyjęła, czerwona wstążka owinięta wokół nich zrobiła się fioletowa.

- Niech te ścięte włosy przywrócą twą dziewiczą niewinność! - zawołał Wit.

Wszyscy wznieśliśmy toast. Jednym haustem wlałem zawartość kieliszka prosto do gardła. Bohaterka ceremonii chwyciła gruby pukiel włosów w garść. Cały czas patrzyła mi głęboko w oczy. Czułem w tym rytuale tajemną siłę, która rzeczywiście jest zdolna do tego, by przywrócić jej utracone dziewictwo. Ciarki przeszły mi po plecach.

- Kochasz mnie i ożenisz się ze mną, Fryderyku? - zapytała.

Oślupiałem. Rozejrzałem się po zebranych, którzy wyraźnie nie byli zaskoczeni tym pytaniem i czekali na moją odpowiedź.

Odpowiedź nadeszła od strony niczego.

Spojrzałem w kierunku okna. Stado niebieskich wron siedziało na parapecie. Wszystkie panicznie stukały dzióbkami w szybę. Usłyszałem czerwony śmiech. Odwróciwszy się w kierunku drzwi, ujrzałem stojącą w progu pokoju matkę, która grała na skrzypcach *Ode do radości*. Podeszedłem do okna, usiadłem na parapecie i patrzyłem na osuwających się bezwładnie na krzesłach uczestników tej uroczystości. „Umieramy!” – pomyślałem.

Muzyka ucichła. Matka upuściła skrzypce i smyk na podłogę. Brzęk roztrzaskiwanego drewna i pękających strun rozszedł się po mieszkaniu niczym wybuch bomby atomowej w Hiroszynie. Bez słowa patrzyłem na Iv, Wita i siebie. Leżeliśmy przerzuceni przez oparcia krzeseł jak kukły, które ktoś niechlujnie porzucił w pośpiechu.

- Dlaczego to zrobiłaś, mamó? - zapytałem.

- Pamiętasz, synu, z jaką przyjemnością spalałeś tytoń, który ci kupiłam? Miałeś wrażenie, że dokonujesz zbrodni na kimś niewinnym. Syczałeś z podniecenia, więc powinieneś mnie zrozumieć. To po pierwsze.

- Ale spalanie tytoniu to nie to samo co zabijanie ludzi - zachnąłem się.

- To jest to samo uczucie, synku. W czasie okupacji napatrzyłam się na zabijane bezbronne istoty. Ich oprawcy czynili to z uśmiechem, często przy dźwiękach muzyki, bez skrępowań przejmując ich majątek - to po drugie. Tu też jest co przejąć. - Rozejrzała się po mieszkaniu. - W tamtym podłym czasie wojny doszłam do wniosku, że życie człowieka czy psa jest tyle warte, co ten tytoń w fajce. *À propos*, Barego zabiłam z litości. Podałam mu jakąś truczkę na szczury w kawałku szarlotki. Był tak słaby, że i tak kichnięcie by go powaliło. Ale gdy go trułam, czułam ogromne podniecenie i przyjemność. To nie mija. Celinę też musiałam przekupić, by milczała o mojej przeszłości. Nie zabiłam jej dlatego, że w czasie wojny wyciągnęła mnie spod gradu niemieckich kul.

- Jesteś szalona...

- Nie, to życie jest szalone. Rodzimy się niewinni, jednak żyjemy w kłamstwie, chciwości i grzechu, robiąc po drodze różne rzeczy, mniej lub bardziej chwalebne czy podłe, w końcu umieramy zmęczeni w poczuciu bezradności wobec śmierci. Moje życie było podłe, twoje straciło wartość i stało się podłe. Tak, synku, wszystko, co mówili ci o mnie ludzie z fotografii, to prawda. Byłeś nieświadomy tego, iż wiem o każdym twoim kroku. Wchodząc do ich umysłów, otworzyłeś swój również dla mnie. Przekupiłam Wita i Iv, by pomogli mi w tej całej maskaradzie, czyli twoim powrocie do pracowni i gry na skrzypcach. Byli zupełnie nieświadomi moich planów. Myśleli, że naprawdę chcę ci pomóc wrócić na dobrą drogę. Potrafię być wiarygodna. Dostali pieniądze na zorganizowanie tej imprezy i nawet ten niebieski garnitur to mój pomysł. Chciałam, żebyś ładnie w trumnie wyglądał - zaśmiała się na czerwono.

- To okropne! - krzyknąłem.

- Musiałam was otruć. Bałam się, że nasza tajemnica z przejęciem majątku ludzi z fotografii i okoliczności, w jakich to się odbyło, wyjdzie na jaw. Bałam się, że gdy się o wszystkim dowiesz i w to rzeczywiście uwierzysz, zrobisz jakieś głupstwo. Różne rzeczy gadałeś mi po pijanemu. Opowiadałeś nieraz, co mówią znajomi, klienci i te pijaki w Czardaszcze. Język ci się rozwiązywał przy byle okazji. Poza tym prędej czy później chciałbyś przejąć mój majątek. Uwierz. Mnie zbyt dużo zabiegów kosztowało, by go zdobyć. Pedro to drań, ale regularnie wywiązuje się z naszej umowy. Co miesiąc dzieli się ze mną bogactwami, które gdzieś tam ukrył. Na szczęście twoje pijaństwo i te koszmary senne okazały się przydatne w moim planie. Myślałeś, że masz omamy po nagłym odstawieniu alkoholu... - znów się zaśmiała się.

- Co z Anią?! - spytałem przerażony.

Matka parsknęła czerwonym śmiechem. Patrzyłem z niedowierzaniem na rodzicielkę i na bezwładnie leżących na krzesłach ludzi. Z przerażenia chwyciłem głowę w dłonie, zamknąłem oczy. Gdy je otworzyłem i spojrzałem przed siebie, zauważyłem, że nagle wszyscy zaczynamy wracać do życia! Iv się przeciągała, ziewając, Wit o mało nie

upadł na podłogę, ja otworzyłem oczy i patrzyłem na matkę. Nagle w progu pokoju pojawił się Pedro.

- Brawo! - zawołał z uśmiechem na ustach.

Wszyscy spojrzeli po sobie, nie mając świadomości, co się stało. Moja matka na widok budzących się ze snu ludzi przecierała przerażone oczy.

- Co jest?! - krzyknęła do Pedra.

- To twoja własna broń, lecz już nieskuteczna - oznajmił, pokazując małą buteleczkę. - To nie cyjanek, jak sądziłaś, tylko dobry środek nasenny, droga Mario, który wlałaś potajemnie do szampana. Troszkę uśpiłaś towarzystwo, ale już jest po wszystkim.

- Komu mam wierzyć? - zapytałem, zamykając oczy.

Spojrzałem na parapet. Czerwona wrona stała na nim odwrócona do mnie plecami.

- Życie to jedno wielkie kłamstwo, synku, a w nim nic nie jest jednoznaczne i klarowne, jak byśmy tego oczekiwali. „Nie żądaj od życia wiele, lecz żądaj wszystkiego” to moja dewiza życiowa - powiedziała i po chwili zniknęła na zawsze. Ale czy na pewno...?

W pokoju słycać pukanie do drzwi. Kroki. Trzask przekręcanego zamka.

- Kim pani jest?

- Ania.

- W końcu doszło do naszego spotkania, Aniu. Powieś płaszcz, a ja zaparzę kawę.

Zadzwoił telefon.

- Odbierzesz? - krzyknąłem z kuchni.

- Wiem, kiedy umarłaś, Aniu - powiedział głos w słuchawce.

Ta historia wydarzyła się naprawdę.

Złodziej snów

Wydanie pierwsze, ISBN 978-83-8147-353-8

© Andrzej Syska-Szafrański i Wydawnictwo Novae Res 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Barbara Kaszubowska

KOREKTA: Kinga Dolczewska

OKŁADKA: Paulina Radomska-Skierkowska

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: Inkpad.pl

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 698 21 61, e-mail: sekretariat@novaeres.pl, <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej zaczytani.pl.